

„DO RZECZY” PRZECIW CENZURZE LGBT

Publikujemy opowiadanie Jacka Komudy
z „Nowej Fantastyki” – część 1



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 34/387 17–23 SIERPNIA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Po co PiS druga kadencja u władzy?
– zastanawia się Ziemkiewicz

**WOLTER,
MARKS, ENGELS**
– RASIŚCI,
ANTYSEMICI
I HOMOFABI
POD OCHRONĄ
LEWICY?



Białorusini mają dość
Łukaszenki, ale nie Rosji

Esej Leszka Żebrowskiego

KARIERA NA ANTYPOLONIZMIE



**Jan Tomasz Gross i Jan Grabowski
zrzucają na Polaków winę za Holocaust**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 268829
9 772299 850000
Nakład: 58 000 egzemplarzy

Piękno i moc jadą w parze



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RentIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Długa droga przed nami

Twierdzenie, że rewolucja zżera własne dzieci, nie jest niczym odkrywczym. Wiedzą to wszyscy, którzy badali rozwój wypadków we Francji pod koniec XVIII w. Nie zdziwiła mnie zatem szczególnie awantura o Radio Nowy Świat, które właśnie straciło prezesa. Największą przewiną Piotra Jedlińskiego było to, że uznał, iż skoro aktywista Michał Sz. zwany przez siebie samego „Margot” jest obiektywnie i zgodnie z faktami mężczyzną, to należy o tym w taki właśnie sposób słuchaczy informować. Biedak nie zrozumiał, że rewolucja poszła już krok dalej. Nie wystarczy psioczyć na PiS i ogłaszać końca demokracji. Nie wystarczy mówić o wyzwoleniu spod politycznej (rzekomej) opresji. Nie, ten okres mamy za sobą. Teraz trzeba głosić, że prawdziwa emancypacja polega na tym, iż każdy sam określa, kim jest, jaką ma płć, a społeczeństwo ma obowiązek to samookreślenie, jakiegokolwiek by ono było, uznać. Kto tego nie robi, ten dyskryminuje. Prawdziwa rewolucja ma na celu nie przewrót polityczny, ale totalny: negację natury, biologii i rzeczywistości.

Ledwo zatem zarządzane przez pana Jedlińskiego radio użyło określenia wskazującego na to, że osobnik ganiający z nożem po ulicach i określający siebie jako „Margot” to po prostu mężczyzna, na stację rzuciła się zgraja trolli i pobudzonych ideologicznie szaleńców, która uznała, że mówiąc prawdę, wyrządza się owemu „Margot” straszną krzywdę. Pewnie. Skoro „Margot” chce nazywać się kobietą, to trzeba to uznać. Pan Jedliński próbował jeszcze nieśmiało się bronić. Mówił, że przecież skoro broni się wolności, to on ma też prawo do swojego zdania i uznania, że „Margot” to pan, a nie pani. Bo przecież jest jeszcze coś takiego jak prawo i zdrowy rozum. Obrona pokazała, że były już prezes nic nie rozumie z dynamiki tęczowej rewolucji. W żargonie ekstremistów wolność nie polega na tym, że każdy może wypowiedzieć swoją opinię, ale na tym, że każdy musi wypowiedzieć taką opinię, jaką oni uznają za słuszną. A słusne jest to, co postępowe. Postępowe zaś to, co zrywa z normą. Jedyną miarą ma być wola kreującej siebie jednostki. Nie każdej jednostki, ale takiej, która się stwarza, która sama określa siebie, która odrzuca to, co

obiektywne i naturalne. Choroba i anomalia mają być wyniesione na piedestał.

Oczywiście ta rewolucyjna zasada nie ma ograniczeń i musi prowadzić do kolejnych przekroczeń. Przed polskimi aktywistami jeszcze długa droga. Całkiem niedawno przeczytałem informację o Brytyjczyku, który ogłosił, że... czuje się psem. W związku z tym Kaz James zachowuje się jak zwierzę. I domaga się od innych, by tak właśnie go nazywali i określali. 37-letni mężczyzna wykorzystuje specjalnie przygotowane kostiumy oraz zachowuje się jak pies: je z miski, szczeka na innych ludzi oraz nosi w zębach przedmioty. Kaz James nie jest jedyny – napisał książkę „How to train a human pup” („Jak wytresować ludzkie szczenię”), która ma całkiem sporo czytelników.

Brytyjczyk uważa, że już w dzieciństwie zaczął czuć się jak pies, ale ludzki system wychowania tłumił jego prawdziwe skłonności. Według niego dopiero, kiedy stał się dorosły i sam zaczął decydować o własnym życiu, postanowił odkryć swoją prawdziwą tożsamość. – Po raz pierwszy usłyszałem termin „bycia szczeniakiem” od „szczeniaka”, którego poznałem on-line. Następnie poznałem inne „szczeniata” i nauczyłem się zupełnie nowego języka – stwierdził. Nie on jeden – liczba Brytyjczyków, którzy uważają siebie za psy, rośnie. Jak łatwo przewidzieć, uważają oni, że nazywanie ich ludźmi, a nie psami, narusza ich podstawowe prawo do niedyskryminacji. Chociaż w tym momencie pojawia się problem i sprzeczność: Czy określenie człowieka człowiekiem, a nie psem, jeśli ten człowiek czuje się psem, stanowi przypadek naruszenia praw człowieka czy psa?

Ale takie dylematy są dopiero przed nami. Na razie polscy radykałowie chcą prawa do swobodnego samookreślenia płci. Walka o samookreślenie gatunkowe przyjdzie później. ©

RYСУNEK TYGODNIA

*Triumf ducha nad ciałem,
od dzisiaj jestem dziewczynką!*





TEMAT TYGODNIA

12 LESZEK ŻEBROWSKI
GRABOWSKI JAK GROSS
Pisanie antypolskiej historii



RAPORT SPECJALNY

63 POLSKA
GOSPODARKA ROŚNIE W SIŁĘ

STYL



72 RADOŚŁAW WOJTAS
AMBASADORZY BALIGRODU
Bieszczadzkie lasy w książkach i na Facebooku

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM



74 WOJCIECH
CEJROWSKI
DOLINA MUMINKÓW
Pierwszy Muminek przyszedł na świat w wygódce

KRAJ

18 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM
**IDEOŁODZY LGBT
CHCĄ ANARCHIZACJI PAŃSTWA**
A co, jeśli ktoś uzna, że jest myśłą?

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PIS: RZĄDZIMY, ALE NIC NIE MOŻEMY

24 TOMASZ ROWIŃSKI
REWOLUCJA SPOŁECZNA „NA OFIARĘ”

26 MARCIN MAKOWSKI
KULTURA WYKLUCZENIA

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
E-RECEPTA JEST ŚLEPA?

30 ŁUKASZ WARZECHA
PANDEMICZNE ABSURDY

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KRÓLEWSKI PREZYDENT

KULTURA

34 JACEK KOMUDA
DALIAN, BĘDZIESZ ĆWIARTOWANY!
Opowiadanie „o wojach i rycerzach na koniach, ścigających z pochodniami ostatniego światłego geja”

40 PIOTR GOCIEK
KRAINA ZŁYCH BIAŁYCH

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 GRZEGORZ KUCHARCZYK
**OBALANIE POMNIKÓW
– O KIM ZAPOMNIELI LEWACY**
Przed rewolucyjnymi brygadami dużo „pracy”

HISTORIA

52 MAREK JUREK
OSTATNI KRONIKARZ KORONY
Kustosz dziejów Polski

54 ROZMOWA Z DOROTĄ SKOTARCZAK
**ZBRODNI
SPOMIĘDZY OKŁADEK**

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
**MAJĄ DOŚĆ ŁUKASZENKI,
ALE NIE ROSJI**
Osłabienie dyktatora Białorusi jest Putinowi na rękę

O ZDROWIU

76 ROZMOWA
Z PROF. JOANNĄ GÓRĄ-TYBOR
DAĆ SZANSĘ NA PRZESZCZEP
Ostra białaczka limfoblastyczna

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (57), GABRYEL, WARZECHA (62), KOMUDA (80), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), NOWAK (82)

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pandemia czy psychoza?”, Tomasz Cukiernik, „DRz” 23/2020

Dzień dobry,
jestem Waszym czytelnikiem i z zawodu inżynierem. Zawsze staram się analizować problemy z wykorzystaniem logiki, faktów oraz określonego prawdopodobieństwa.

Czytając artykuł, odniosłem wrażenie, że SARS-CoV-2 jest odmianą sezonowej grypy.

Daleki jestem od bezpośredniej krytyki, jednakże brakuje mi w analizie autora aspektów:

1. Porównania śmiertelności ogólnej na milion mieszkańców pomiędzy krajami, które inaczej podeszły do kwestii „mrożenia” gospodarki.

2. Uwzględnienia wpływu obostrzeń na zmniejszenie ogólnej śmiertelności. Taki wpływ zaburza analizę śmiertelności z powodu COVID-19.

W treści pojawia się cytat: „Wybraliśmy najdroższy i najbardziej nietrafiony model walki”. Proszę zauważyć, że śmiertelność w Polsce z powodu COVID na milion mieszkańców jest bardzo niska. W krajach takich jak Włochy, Hiszpania czy Brazylia statystyka nie wygląda „dobrze”.

Cenię i nie staram się atakować autora artykułu. Z pewnością w tekście jest wiele informacji zmuszających do szerszego spojrzenia na pandemię.

Bardzo proszę o krótki komentarz.

Serdecznie pozdrawiam

Michał

Od autora

Panie Michale,
dziękuję za list. Można w artykule przedstawić różne analizy i aspekty, ale tekst nie może przekraczać pewnej objętości, a mój był i tak wyjątkowo długi. Zagadnienia, o których Pan pisze, wymagałyby napisania odrębnego artykułu. Ponadto trudno wyizolować niektóre czynniki. Dodam, że sama oficjalna liczba przypadków śmiertelnych z powodu koronawirusa jest mało wiarygodna z co najmniej dwóch powodów: niepewnych testów używanych do wykrywania wirusa oraz zawyżania ofiar śmiertelnych wirusa przez szpitale, które za pacjenta COVID-owego dostają dodatkowe fundusze. Co do przytoczonego przez Pana cytatu: przede wszystkim trzeba zadać sobie pytanie o gigantyczny koszt lockdownu, którego ponoszenie – zdaniem wielu ekspertów – w ogóle nie było konieczne.

Pozdrawiam
Tomasz Cukiernik

„Na probostwie w Wyszkowie”, „DRz” 33/2020

Szanowna Redakcjo,
z wielką przyjemnością przeczytałem ten już wiekowy tekst Stefana Żeromskiego. Jakże on ciągle żywy i zachęcający do dalszej pracy przy tym, co budowali nasi ojcowie. Trafność tych starych linijek wskazuje na żywe bogactwo tego dziedzictwa, z którego możemy i powinniśmy czerpać. Apeluję więc do was, droga Redakcjo, abyście mając w głowach i sercach dzieła polskiej literatury, przywoływali ich fragmenty na jednej lub kilku stronach tygodnika. Te fragmenty które, tak jak tekst Żeromskiego, opisują, można powiedzieć, dzisiejszą rzeczywistość. Nie trzeba chyba wymieniać korzyści wynikających z obcowania z nimi. Korzyści dla nas i przede wszystkim dla tej młodszej grupy czytających „Tygodnik Lisickiego”.

Niestety, nie zostało podane, kto przygotował opis do wspomnienia Żeromskiego, a więc myślę, że i osoby będącej pomysłodawcą jego zamieszczenia. W każdym razie tej osobie chcę szczególnie podziękować.

Z poważaniem
Sebastian Janek



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Tomasz Cukiernik,
Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jackie Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szwach Weiss,
Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibińska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jackie Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoreporter: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobos**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Jackie Turczyk/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PRENUMERATA: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detailed ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Z głębokim smutkiem żegnamy



Dariusza Baliszewskiego

dziennikarza z pasją
zajmującego się historią Polski

Składamy wyrazy współczucia
Rodzinie i Bliskim

przyjaciele z „Do Rzeczy”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Stawką jest wolność słowa

Imponujące CV! Ma Pani tę robotę” – mówi na rysunku rysownika Goorsky’ego szef firmy do starającego się o pracę. „Została jeszcze tylko mała formalność” – dodaje. „Czy Margot jest kobietą czy mężczyzną?”.

Ten test można nazywać już testem Jedlińskiego. Piotr Jedliński, dziennikarz, który odszedł z radiowej Trójki, uskarżając się na ograniczenia w swobodzie słowa, przeszedł do Radia Nowy Świat, którego twarzami są inni ekstrójkowicze – Magdalena Jethon i Wojciech Mann. Gdy wybuchła afera z udziałem Michała Sz. określającego się jako „Margot”, Jedliński, omawiając sprawę, postanowił używać męskich form, wypowiadając się o słynnym działaczu ruchu LGBT.

„Jeśli Margot oraz akolici tak bardzo apelują o poszanowanie wolności, to dlaczego nie szanują wolności mediów oraz mojej, jako osoby? Dlaczego chcą mi na siłę narzucić sposób postrzegania świata, zmuszając, żebym określał kogoś, kogo odbieram jako mężczyznę, za imkami żeńskimi” – pisał Jedliński na Facebooku.

Środowiska LGBT sposób myślenia Jedlińskiego uznały za trans-

fobię i hałaśliwie zaprotestowały. „Transfobia to nowy antysemityzm” – orzekła Katarzyna Markusz, korespondentka Jewish Telegraphic Agency. „W ostatnich dniach widać, że dotyczy to też przedstawicieli mediów, ludzi wykształconych, kulturalnych. A jednak. 100 lat temu tacy sami by tłumaczyli, dlaczego dobrze jest pozbyć się Żydów z Polski. Dziś boją się imienia Margot. Ten sam mechanizm”. Jedliński nie wspominał, że chciałby się pozbyć „Margot” z Polski, ale dościsło go porównanie do antysemitów.

Szybko głos zabrały władze radia, które poinformowały w oficjalnym komunikacie, że Jedliński przestał pełnić funkcję szefa spółki zarządzającej Radiem Nowy Świat. Krótko mówiąc, wyleciał z hukiem.

Z satysfakcją przyjęła to solidaryzująca się z ruchem LGBT dziennikarka Agata Kowalska: „Nie-samowite. Ktoś z mediów poniósł konsekwencje za transfobiczny język. Na naszych oczach dokonuje się zmiana w dziennikarskiej świadomości”. Ta pochwała zmieniania cudzego myślenia za pomocą pałki w postaci groźby utraty pracy to kolejny niepokojący przykład myślenia tęczyowych aktywistów. Zmiany

w świadomości – tak jak w latach 50. – mają być wymuszane represją.

Cała ta sprawa przypomina, że polemika z aktywnym LGBT to kwestia wolności słowa. Że działacze, którzy jeszcze dekadę temu odwoływali się do zasad tolerancji i wolności, teraz zamieniają się w surowych i bezlitosnych cenzorów. Ale jeszcze bardziej niepokojące wrażenie robi skuteczność nacisku nieformalnego.

Magdalena Jethon i Wojciech Mann musieli zdawać sobie sprawę, jak kompromitujące będzie dla radiostacji powołujące się na ideę wolności słowa karne usunięcie szefa spółki, który na tę zasadę wolności słowa się powoływał. A jednak polityczna poprawność wymusiła na nich decyzję, nie tylko niesprawiedliwą, lecz także taką, która okryła ich śmiesznością. Jeśli ruch LGBT budzi obawy, to właśnie wskutek tej skuteczności. Każda utopia sięga po przymus, bo ludzki zdrowy rozsądek, a nie żadna nienawiść, buntuje się przeciw utopijnym dogmatom. I tu jest też największa słabość ideologii LGBT.

Doktryna silna przymusem, słaba wskutek wewnętrznych przeciwności. Skąd my to znamy? ©

ĆWICZENIA Z OBRONY EUROPY

Śmigłowce Black Hawk oraz Mi-24, czołgi Abrams, wozy bojowe Bradley, transportery opancerzone Rosomak, moździerz Rak oraz niemal tysiąc polskich i amerykańskich żołnierzy wzięło udział w drugiej fazie ćwiczeń DEFENDER-Europe 20 Plus. Na terenie poligonu w Drawsku Pomorskim polskie i amerykańskie załogi wozów bojowych pokonywały m.in. przeszkody wodne. Żołnierze poznawali też wzajemnie swoje procedury. Jak informuje MON, poligon w Drawsku ma stać się Centrum Szkolenia Bojowego. (jap) ©



FOT. MAJA HTI/GETTY IMAGES



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tajemnica RPO

Teoretycznie Adam Bodnar przestanie pełnić urząd Rzecznika Praw Obywatelskich za trzy tygodnie. W praktyce – nie wiadomo, bo PiS nie zgłosił w ustawowym terminie kandydata na nowego RPO. Czy oznacza to, że chce pozostawić ten urząd w rękach opozycji, pozwalając na wybór kandydatki „pozapartyjnej”, zachwalanej przez cały anty-PiS i jego „autorytety”, czy może próba wyboru skończy się patem i pan Bodnar będzie wiecznym „pełniącym obowiązki”, podobnie jak Jarosław Kurski w „Gazecie Wyborczej”?

Z biura, którego działalność za czasów śp. Janusza Kochanowskiego budowała szacunek dla prawa i przynosiła pożytek obywatelom, doktor Bodnar zrobił ideologiczną jacejkę, wspierającą lewicowe or-

ganizacje we wmawianiu świata, że w Polsce panuje totalitaryzm, są represje oraz zakazy wstępu dla homoseksualistów. Jego interwencje często cechował aż zenujący brak profesjonalizmu – np. atakował policję za to, że podczas aresztowania szczególnie odrażającego mordercy „upokorzyła go”, zakładając mu tzw. kajdanki zespolone, a nawet nie zadał sobie trudu zapoznania się z obowiązującymi podczas zatrzymania procedurami.

W mojej pamięci pozostanie p. Bodnar przede wszystkim autorem obfitej korespondencji do władz TVP i nieustannych skarg do KRRiT na program „W tyle wizji”. A to, że pokazaliśmy in extenso kompromitujące wypowiedzi prof. Rafała Pankowskiego, mentora pana Bodnara, który zrobił sobie intratny biznes z opowiadania po

świecie o panującym w Polsce neonazizmie. A to, że dopuściliśmy się rasizmu, nazywając członków koreańskiego boysbandu „skośnookami” (polski fanklub tego boysbandu używa adresu skosnoocy.pl). A to, że powiedziałem o żydowskich roszczeniach wobec Polski, albo, innym razem, o judenratach, bo „to wypowiedzi wpisujące się w antysemitki kontekst”.

Jak rozumieć zachowanie partii rządzącej? Niektórzy mówią, że czeka ona na zapowiadane „odbicie Senatu”, którego zgoda jest do powołania nowego rzecznika niezbędna. Możliwe jednak, że ktoś ocenił, iż całą swą działalnością pan Bodnar więcej robi szkody przeciwnikom władzy, kompromitując ich swą gorliwością, niż jej samej, więc po co mu przeszkadzać. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Światopoglądowcy

Są kwestie ustrojowe, są również ustrojowe gry i zabawy. Zaczniemy od tych drugich: walka o zwiększenie kompetencji organów kontrolowanych przez władze i zmniejszenie niekontrolowanych jest ważną sprawą polityczną, ale raczej instytucjonalną niż ściśle ustrojową. Ustrój dotyczy instytucji, ale jest kwestią znacznie szerszą. Zawiera się na przykład w genezie państwa, źródle jego władzy, a także w jego związkach międzynarodowych. Królestwo Kongresowe (przy całym jego niespełnionym potencjale), choć formalnie było monarchią konstytucyjną, tak jak Rzeczpospolita po konstytucji majowej – miało inny ustrój, bo było nie bezpośrednią

kontynuacją polskiej państwowości, ale państwem ustanowionym przez porozumienie mocarstw i formalnie zależnym od Rosji.

Tym bardziej ustrój zawiera się w celu państwa, w jego prawach podstawowych, w tym, co definiuje jako niezmiennie. Wszystkie państwa komunistyczne formalnie były demokratycznymi republikami, wyprowadzającymi swój legitymizm z wyborów. Ich demokratyczna specyfika polegała jedynie – jak mówił Stalin – na liczeniu głosów, potem również na problemach ze zgłaszaniem kandydatów.

Dzisiaj zasadniczą kwestią ustrojową jest wybór między państwem dobra wspólnego i praw rodziny a państwem genderowym i aborcyjnym. To dwa zupełnie

inne systemy. Pierwszy chroni społeczeństwo i chce kontynuacji jego społecznej i historycznej ciągłości, drugi chce zburzyć stare społeczeństwo, a suwerenność związać z aprobatą i kontrolą zideologizowanych instytucji międzynarodowych.

Ten wybór nie dotyczy kwestii „światopoglądowych”, jak twierdzą przywołani w tytule politycy, redukujący politykę do gry o władzę i własną (indywidualną czy grupową) pozycję. Dotyczy przyszłości narodu i naszej cywilizacji. Bo przyszłość ta w dość ograniczonym stopniu zależy od zwiększania lub zmniejszania parlamentu o 50 miejsc albo od stworzenia lub rozwiązania trzech województw. ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O odkryciach geograficznych włoskich polityków

Gdy doszło do eksplozji w porcie w Bejrucie, pani senator Elisa Pirro z rewolucyjnego Ruchu 5 Gwiazd (najliczniej reprezentowane ugrupowanie w parlamencie) popełniła kilka wpisów w mediach społecznościowych, w których solidaryzowała się z „przyjaciółmi z Libii”. Ale to mały pikuś. Libię z Libanem na FB i Twitterze pomylił też jej kolega partyjny, wiceminister spraw zagranicznych Manlio Di Stefano. Przyznacie, że nieco głupio, gdy w MSZ nie znają geografii.

Najwidoczniej przykład idzie z góry. Obecny szef tego resortu Luigi Di Maio (też Ruch 5 Gwiazd), gdy był wicepremierem, składając oficjalną wizytę w Waszyngtonie, zapewnił gospodarzy, że „Włochy są sojusznikami USA, ale również utrzymują dobre stosunki z wieloma krajami basenu Morza Śródziemnego, np. z Rosją”. Ten

sam mąż stanu nieco wcześniej porównał rzekome dyktatorskie zapędy premiera Matteo Renziego do wyczynów Augusta Pinocheta w... Wenezueli.

Deficyt wiedzy wśród polityków Ruchu jest naprawdę imponujący. Alessandro Di Battista, przywódca frakcji radykalnej partii, do niedawna wiceszef komisji spraw zagranicznych w Izbie Deputowanych, był przekonany, że Napoleon odniósł swoje największe zwycięstwo nie pod Austerlitz, a pod Auschwitz.

Natomiast minister transportu Danilo Toninelli (też z Ruchu) w rozmowie z komisarzem europejską ds. transportu Adiną Valean domagał się subwencji na zwiększenie przepustowości tunelu Brenner między Austrią a Italią. Każdy Włoch oprócz ministra transportu wie, że tam nie ma tunelu, a jedynie przejście graniczne.

Dodajmy do tego, że Carlo Sibilija z Ruchu, jeden z wiceszefów MSW, nie wierzy w lądowanie Amerykanów na Księżycu. Natomiast deputowany Paolo Bernini, a jakże, też z Ruchu, był przekonany, że w USA noworodkom wszczepiane są do mózgu mikrochipy, które potem pozwolą władzom sprawować kontrolę nad obywatelami. Widział to na jakimś filmie.

Tacy ludzie rządzą i stanowią prawo we Włoszech. Zgroza. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Fakty nieautentyczne

Czy fakty w dzisiejszym świecie mają jeszcze znaczenie? Zapraszam na podróż eksperymentalną po Twitterze. „Dwa miesiące więzienia dla Margot. Za poglądy. Za własne zdanie. Za niezależność. Za prawo do bycia sobą” – napisał Włodzimierz Czarzasty. „Rzeczywistość: zarzuty dotyczą uszkodzenia mienia na ponad 6 tys. zł oraz stosowania przemocy (przewrót człowieka na chodnik). Dla jasności: nie wiem, jak było. Pan Czarzasty też nie. Ale zarzuty są za chuliganerie, nie poglądy” – odpowiedział szefowi SLD dziennikarz Patryk Słowik.

Kto by się jednak przejmował detalami?

„Wzywam do natychmiastowego uwolnienia Margot ze »Stop Bzdurum«, aresztowanej wczoraj za blokowanie furgonetki nawołującej do hejtu wobec osób LGBT i wieszanie tęczyowych flag na pomnikach #Warszawa. 2 miesiące aresztu to bardzo zły znak dla #WolnośćSłowa i praw osób #LGBT w #Polska’ – zaapelowała nieco później unijna komisarz ds. praw człowieka. Personalistów osoby, która miałaby cofnąć decyzję sądu, jednak nie ujawniła.

Podobnie enigmatyczny był również jeden z europosłów KO.

„Brutalna reakcja policji wobec działaczy LGBT ma na celu przekonanie społeczeństwa, że LGBT jest zagrożeniem dla Polski. Ma odwrócić uwagę od powrotu pandemii i PiS-owskich afer. Przypomniał mi się 1968 r., kiedy pałowało nas ZOMO na Krakowskim Przedmieściu. Idą ponure czasy” – kasandrycznie wyznał Dariusz Rosati. Jak doszło do pałowania byłego ministra w 1968 r., skoro dwa lata wcześniej wstąpił do PZPR, był sekretarzem Komitetu Studenckiego partii oraz kandydatem na TW? O tym epizodzie historia milczy.

O sytuacji na Białorusi nie milczał jednak szef europejskich chadeków.

„Polski rząd powinien domagać się natychmiastowego zwolnienia Rady Europejskiej. Wsparcie Białorusinów to zarówno moralny obowiązek, jak i polska racja stanu. Na co czekacie?!” – tweetnął Donald Tusk. Również Donald Tusk kilka minut później: „Premier Morawiecki złożył już wniosek o zwolnienie Rady. Umnęło to mojej uwadze, za co przepraszam. Liczę na skuteczność akcji premiera”. I tę szybko oraz nieczęstą w polityce refleksję połączoną z przeprosinami trzeba docenić. ©

Jestem osobą transpiankową.
Powinieneś oddać mi pieniądze...



6 f y 3 2 0 1 2 x m a c i e j s w i t s d i

No dobra, zdradzimy coś w kwestii rekonstrukcji rządu. Mamy ciekawą plotkę o nowym szefie resortu spraw zagranicznych.

Naczelnik Państwa ma w tej kwestii własne przemyślenia i może mocno zaszkodzić. Otóż największe szanse na fotel szefa dyplomacji ma prof. Zbigniew Rau, obecny szef komisji spraw zagranicznych i były wojewoda łódzki. Kolejny z frakcji profesorskiej.

Już wyjaśniamy, dlaczego nie Krzysiek Szczepiński. Wiewiórki opowiadają, że przekreślił swoje szanse, kiedy poprzednim razem odmówił premierowi Mateuszowi oraz Naczelnikowi Państwa. Propozycja nie zostanie zatem ponowiona. Szans nie ma też Konrad Szymański, bo przy Nowogrodzkiej nie cieszy się sympatią, a i tak już wyprowadził pół MSZ do kancelarii premiera.

Ciekawa sprawa, przez pewien czas na stole leżała także opcja „syn marnotrawny”. Towarzyszyła jej taka oto kalkulacja: skoro Ameryką i tak zajmuje się prezydent Andrzej Sebastian, a Unią Europejską i tak zajmuje się Kondzio Szymański, to ministrowi spraw zagranicznych nie pozostaje do roboty nic poza Marokiem, Lesotho, Togo oraz importem kauczuku z Amazonii. Może nim więc być ktokolwiek. Na przykład Jarosław Gowin. Jest to jednak opcja nieaktualna.

Podczas gdy pod dywanem toczy się walka buldogów, inny profesor, a mianowicie Piotr Gliński, może spać spokojnie. Wiewiórki twierdzą, że poszerzy swoje władztwo o naukę

i edukację oraz sport. Powstanie nowego resortu jest bowiem postanowione. Po krótkim wahaniu, bo był moment, kiedy do Ministerstwa Kultury miał dodatkowo trafić tylko sport.

Przy okazji: aktualne, ale z archiwum. Zaraz po wyborach sejmowych 2019 informowaliśmy: „Ciekawe wieści dobiegają od strony nowo wybranych posłów kukistów ludowych, zwanych też ludowcami kukistycznymi. Otóż znamy przynajmniej jednego posła-elekta, który jeszcze przed wyborami pytał w PiS, czy by go nie chcieli. Wtedy nie chcieli, ale zmienili zdanie, bo dodatkowy głos zawsze się przyda. Ten poseł zaś zdania nie zmienił – wciąż chce, żeby oni go chcieli”. Przypominamy tę notkę, bo sporo ostatnio się mówi o kuszeniu stanowiskiem ministra rolnictwa pewnego posła kukistów.

Wcieniu rekonstrukcji szykuje się reforma dużo szersza. Pandemia ma bowiem swoje dobre strony. Otóż w ramach oszczędności spowodowanych kryzysem planuje się odchudzenie administracji państwowej. Na pierwszy ogień mają pójść ci, którzy zaczynali swoją karierę jeszcze za Jaruzela. Bardzo nam się podoba ta koncepcja. Nawet bardziej od ustawy dezubekizacyjnej. Ona dotyczyła bowiem tylko ludzi z esbecji wszelkiej maści. A mało kto pamięta, że esbecja była jedynie ramieniem partii komunistycznej. Jedyne, czego żałujemy, to to, że nie można będzie posunąć przy okazji takich upiórów jak Miller, Rosati czy Cimoszewicz.

Kto sądzi, że miotła dosięgnie jedynie starych komuszków, ten jest w mylnym błędzie. Otóż teraz liście ma już nie być i odchudzenie administracji ma objąć wszelkich nominatów SLD, PSL i PO ocalałych jakimś cudem w różnych miejscach. Ludowcy co prawda mogliby ocalać, ale ponieważ Władek Tygrysek-Kamysz nie kwapi się do współpracy z dobrą zmianą, też pójdą pod topór.

Apropos komunistycznych upiórów – dzieje się na Białorusi. W związku z tym przedstawiciele Eine Totalopposition w Senacie domagają się zwołania Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Popieramy, ale z jedną zmianą. Istotną. Sugerujemy zwołanie Rady Beki Narodowej. Po tym, jak Staszek Gawłowski,

dwaj panowie g

weteran zakładów karnych i sal sądowych, został szefem jednej z senackich komisji. Przy okazji nie zgadzamy się na nazywanie go złotym dzieckiem PeŁo. On był jej złotym wujkiem.

Komisja senacka, którą pokierować ma weteran zakładów karnych i sal sądowych Staszek Gawłowski, to Komisja Nadzwyczajna do spraw Klimatu. Dziękujemy ci, Platformo, dzięki tobie nie od dziś wiemy, że taki mamy klimat. Naszym zdaniem powinna to być komisja do spraw środowiska. Staszek mnóstwo wie o środowisku. Szczególnie o środowisku Sławka Nowaka.

Apropos Sławka Nowaka, znanego jako Lolo Pindolo (choć zastanawiamy się nad nadaniem mu ksywy Łesio Ukrainiec). Jak zapewne wiecie, nie wyszedł z pudła, choć poręczyło za niego 17 osób „godnych zaufania ze świata nauki, polityki, kultury”. Mamy kłopot z dopasowaniem nazwisk do poszczególnych branż. Oto najbardziej znani z nich: prezydent Sopotu Jacek Karnowski, prezydent Gdańska Aleksandra Dulciewicz, marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk, posłanka Henryka Krzywonos. Cóż, też byśmy za poręczeniem tej ferajny nikogo nie wypuścili.

Wracając do tego, co w Mińsku. „Inicjatywa wspólnych projektów” to pomysł Rafcia Trzaskowskiego na wsparcie Białorusi. Chcielibyśmy pomóc, więc podpowiadamy plan szczegółowy, zgodny ze światopoglądem Rafcia.

1) Darmowe testy dla białoruskich opozycjonistów na to, czy są dziewczynkami, chłopczykami czy może tylko „Margot”. 2) Dostawa tęczyowych flag do zatknięcia na białoruskim parlamencie. 3) Karty stałego pobytu rozszerzone o kartę LGBT+. Jak znamy Rafcia, od siebie dołożyłby tylko jeszcze kilka egzemplarzy książek Morina. ©©



FOT. ROBERT CAROZINSKI

OBURZENIE PIERWSZA KLASA!

Agnieszka Kaczorowska, po mężu Pela, wciąż bardziej znana jako Bożenka z „Klanu”, od jakiegoś już czasu mocno realizuje się w branży parentingowej. Ma swój kanał na YouTube i chętnie występuje w roli ekspertki od wychowania dzieci. Mamą jest co prawda dopiero od roku, ale ekspercką wiedzę na pewno już posiadała, nie będziemy się czepiać. W każdym razie ostatnio Agnieszka skrytykowała modę jej koleżanek-celebrytek na pokazywanie zdjęć swoich pociech w samych tylko pieluszkach.



FOT. KRZYSZTOF KUCZYŃSKI/FOTUM

„Nie mogę zrozumieć zdjęć dzieci w samych pieluszkach. Ja rozumiem, że jest lato, mamy upały. Natomiast gdzie poszatanowanie intymności Maluszków? Zadam sobie pytanie, czy rodzice wstawiają zdjęcia prawie nagich dzieci

nie myślą o konsekwencjach? W Internecie nic nie ginie [...]” – napisała. Kaczorowska, która w show-biznesie jest dziś bardziej dzięki dziecku niż aktorstwu, rozliczająca innych z braku prywatności. I to z jakim oburzeniem! Prawie jej uwierzyliśmy.

MELOMAN SZCZĘSNY

Tymczasem mały Liam Szczęsny, owoc miłości bramkarza reprezentacji Wojciecha Szczęsnego i jego celebryckiej żony Mariny Łuczenko, wyraża na prawdziwego melomana. Pewnie po mamie, niespełnionej piosenkarce. Zresztą to ona pochwaliła się w Internecie nagraniem z dwulatkiem dialogiem o tym, którego z kompozytorów chce posłuchać przed snem. – Kogo chcesz? – pyta Marina. – Mozarta – odpowiada maluch. – A czemu nie chcesz tego pierwszego? – pyta mama. – Ja chcę Mozarta – upiera się dwulatek. – A kogo słuchamy przed snem? – znów zagaja Marina. – Chopina – odpowiada Liam.

W przyszłości trzeba go będzie koniecznie wyswatać z córką Weroniki Rosati. Tą, która – jak przekonywała jej matka – w wieku dwóch lat zachwycała się dziełami van Gogha. Będzie para idealna!



FOT. PAMEŁ GORDAŁA

EDZIA DO SZCZĘŚCIA NIEPOTRZEBNA

Michał Wiśniewski, lider Ich Troje, skrytykował pomysł potencjalnej współpracy muzycznej Zenka Martyniuka i Edzi Górniak. Wiśniewski stwierdził w „Fakcie”, że Zenkowi diwa Edzia nie jest do szczęścia wcale potrzebna. „Świat widział już wprawdzie nie takie mariaże, ale szczerze? W tym przypadku nie widzę tego. Przecież to dwa zupełnie inne światy, inne głosy, charaktery, wrażliwości...” – ocenił Wiśniewski. „Znam Zenka prywatnie i uważam go za niezwykle sympatycznego gościa, ale nie sądzę, że duet z Edytą Górniak jest mu do czegośkolwiek potrzebny, bo on bez niej ma się świetnie. Ludzie go kochają i tłumami śpiewają” – dodał. Zupełnie odwrotnie niż Edzię, czego ona od 20 lat próbuje nie zauważać. Dość skutecznie, trzeba przyznać.

KTO LUBI ROZENEK?

Małgorzata Rozenek-Majdan swoją najbliższą rodzinę wycisnęła do celów show-biznesowych do ostatniej kropli. Teraz więc postanowiła sięgnąć do dalszych zasobów. W najnowszej rozmowie z „Faktem” opowiada więc o swoich relacjach z babciami. „Miałam babcię Helenę – mamę mojej mamy, i Modestę – mamę taty. Z Heleną nasza relacja była trudna. Helena ewidentnie faworyzowała chłopców i nie lubiła swoich wnuczek. Nie lubiła mnie” – wyznała Małgorzata. Tak po prawdzie, to trudno się babci dziwić.

NORMALNOŚĆ BLANKI

Autorka powieści erotycznej wzorowanej na „50 twarzach Greya” poinformowała świat, że przeprowadza się do swojego nowego mieszkania. Pokazała je prawie w całości, z wyjątkiem tarasu, który – jak uznała – jest zbyt brudny, by go zaprezentować. To wywołało krytykę wśród fanów. Jedna z fanek zarzuciła, że celebrytka „wstydy się normalnych dla zwykłych ludzi rzeczy”. „Nikt nie jest idealny, a zakłamywanie rzeczywistości jest oszukiwaniem samego siebie” – napisała do Lipińskiej. Ta postanowiła odpowiedzieć na zarzuty.

„Jeśli dla kogoś brud i bałagan to normalność, to jest mi niezmiernie przykro. Ja zostałam tak wychowana, że brud, bałagan i np. nieposcielone łóżko bardzo źle świadczą o człowieku i nie za bardzo jest się czym chwalić” – stwierdziła. Co innego pisanie pornograficznych powieści. Jak widać, każdy ma swoją normalność. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, żyjemy w kraju systemowej dyskryminacji, iż jak inaczej nazwać fakt, że 25 proc. młodych osób w Polsce zostało uznanych za niewystarczająco dobrych, iżby zdać maturę?

Przypomnijmy: państwo, które w taki sposób traktuje swoją młodzież, wypychając ją poza szeroki nawias wykształconego społeczeństwa, samo sobie szykuje okrutny los.

się od Europy i dryfujemy w kierunku Azji, rzemiosła, rękodzieła i pracy fizycznej, a potem płacz, że nie wiadomo, co myśleć o unijnych rezolucjach.

Dziwi nas trochę to parcie do rozebrania za wszelką cenę ostatnich meczów piłkarskiej tzw. Ligi Mistrzów.

Z jednej strony są to rozgrywki inkluzywne, bo jednak rozszerzone poza

lepiej kopią piłkę i szybciej biegają. To jest kuriozalne.

Jeśli już panowie koniecznie musieli spośród siebie wyłonić najlepszych, to nie mogli zrobić tego normalnie, na Skype albo na Teamsach, jak czasy tego od nas wymagają? Wsteczniactwo i tyle.

Nowy z Tarnowa zapowiedział, iż w jego tegorocznych wakacyjnych planach jest jeszcze zdobycie Babiej Góry.

Bardzo nam się nie spodobało, iż w XXI w. w sercu Europy istnieje jeszcze przyzwolenie na nazywanie obiektów geograficznych według standardów, które śmiało możemy zaklasyfikować do mowy nienawiści.

Niech więc ci biali, starsi heteroseksualni mężczyźni z Rady Języka Polskiego czy czego tam usiądą i znajdą wyjście z sytuacji. Of kors służymy pomocą: Waginoosobia Góra, Fallusoujemna Góra – da się nazwać nieprzemocowo, nieobraźliwie i po nowoczesnemu? No da się, trzeba tylko chcieć.

A Nowemu poradziłyśmy, iżby zapisał się raczej na jakiś webinar ze zwalczania mowy nienawiści i dyskryminacji ze względu na płeć w środowisku pracy. ☺☺



Co bowiem mają teraz zrobić ci młodzi ludzie? Pójść zakładać firmy, działalności remontowo-budowlane lub zajmować się jakimś fryzjerstwem albo innymi januszowymi zawodami?

Kraju takiego jak nasz nie stać na zrezygnowanie z młodych, ambitnych absolwentów europeistyki i innych rozwojowych kierunków. Sami odpychamy

mistrzów, z drugiej ekskluzywne, iż nie zaprasza się do nich zespołów z tego kraju, a z trzeciej strony nie wiemy już sami, co o tej formule myśleć.

A dziwi nas to, iż nawet w czasie pandemii młodzi mężczyźni z różnych krajów muszą za wszelką cenę stawiać sobie za cel udowodnienie innym młodym mężczyznom z innych krajów, że

PODSŁUCHANE

Dżender fluid

Cześć, Włodek. To jak, robimy ten protest przeciw dyskryminacji?

Cześć, Adrian. Ale ja nie jestem Włodek.

Weź się nie wydurniaj. A niby kto? Aktualnie jestem dżender fluid. Że co?

Ty to akurat powinienes być ekspertem od tych spraw. Skoro z ciebie taki ignorant, to się nie

dziwię, że cię z zarządu usunęli. Dżender fluid – jestem gdzieś między Włódkiem a Jołą aktualnie. **Ja mam od tego ludzi u siebie. Aga Dziemianowicz-Bąk...**

Ona nie jest Aga. Ona jest aktualnie Wiesiek. Przynajmniej była, kiedy z nią... z nim, znaczy się, rano gadałem.

Czy was powaliło wszystkich?

Uuuu... Towarzyszu Adrianie, ja tu widzę poważną dawkę transfobii i jakieś uwstecznienie u towarzysza. Chyba jakąś samokrytykę trzeba będzie złożyć.

Skretynieliście do reszty. Ty tego w życiu poważnie nie traktowałeś i nagle...

... i nagle zrozumiałem, że jestem Jołą.

Cześć, odezwij się, jak oprzytomniejesz.

...

To ja, Jola...

Włodek, znaczy się.

Tak, Adriana mamy raczej z głowy.

Mam nagranie, jak rzuca transfobicznymi tekstami.

Z tego już nie wyjdzie. ☺☺

Łukasz Warzecha



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSO NA FEJSIKU:

FB.COM/MWIZWO

OD RZECZY

„Jak pogonią Łukaszenkę, to najbardziej przerażonymi ludźmi na kontynencie będą Putin i Kaczyński”

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



Grabowski jak Gross



Leszek Żebrowski

Jan Tomasz Gross (z lewej)
i Jan Grabowski

FOT. JACEK TURCZYK/PAP

Czy środowisko badaczy Holokaustu zostanie zdominowane przez osoby wykrzywiające fakty i manipulujące źródłami, by wykazać polskie „winy”?

Historia Holokaustu w oczach publicystów i historyków to dziś niekończąca się opowieść. Nie ma już chyba takiej dziedziny z tego zakresu, najdrobniejszej nawet – która nie byłaby wielokrotnie opisana i następnie powielana. Nie sposób wszystkiego przeczytać, zrozumieć, ocenić, ponieważ olbrzymia większość tych publikacji to nie jest nowatorskie podsumowanie wartościowych, żmudnych i choćby cząstkowych badań. Na ogół jeśli jest „już” pięć publikacji z danego zakresu, to bardzo łatwo spłodzić kolejną i medialnie ubrać ją w aurę nowości i świeżości.

Ile było wszystkich ofiar drugiej wojny światowej? Historycy (i nie tylko) szacują, że aż ponad 60 mln. W takim razie ofiary Holokaustu to kilka procent całości. Reszta nie jest jednak tak opisana i tak badana, co więcej, całe obszary „innego” ludobójstwa pozostają nadal przez historyków i publicystów nietknięte. Powstaje smutne wrażenie, że owe inne ofiary mają jakby mniejsze znaczenie, czasami nawet żadne. Co jest tego przyczyną? Jedną z nich jest fakt, że historia drugiej wojny światowej została zdominowana przez Holokaust, a ten stał się prawie monopolistyczną domeną historyków i publicystów żydowskich, co sami zresztą otwarcie przyznają. Co więcej – historycy i badacze żydowscy (bądź za takich uznawani), zajmujący się tą epoką, nie mają większych szans światowego zaistnienia, jeśli nie przestawia

się na badanie lub tylko wtórne opisywanie Holokaustu.

PRYZYWCZAJANIE DO KŁAMSTW

Przykładem dla tego stanu rzeczy mogą być naukowe i medialne kariery dwóch znanych już nie tylko w Polsce postaci: Jana Tomasza Grossa i Jana Grabowskiego. Pierwszy z nich – Gross – istniał gdzieś na peryferiach światowej, a nawet tylko polskiej historiografii, do czasu publikacji niewielkiej książeczki „Sąsiedzi”. Przedtem, jako socjolog, zajmował się wieloma innymi zagadnieniami, ale głównie szeroko pojętą historią Polski: „Polish society under German occupation” (1979) i m.in. publikacją wyboru relacji polskich ofiar – zesłańców sowieckich (zgromadzonych w archiwum Instytutu Hoovera w USA): „W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...” (1984). Kilkadziesiąt lat temu były to prace źródłowe, wydane poza cenzurą, robiły zatem ogromne wrażenie na tych nielicznych przeciętnych czytelnikach, którzy uzyskali do nich dostęp. Nikt wówczas nie zwracał uwagi na to, że Gross już wtedy posługiwał się nieprawdą, która ginęła jednak w gąszczu innych stwierdzeń, uznawanych za świeże i słuszne. Pisał na przykład: „Polacy cieszyli się większą wolnością w latach 1939–1944, którą mieli w ciągu stulecia. »W obrębie« właściwego społeczeństwa polskiego żaden organ nie był w stanie skutecznie ograniczać lub tłumić swobodnego wyrażania wszelkich możliwych

odcieni opinii politycznych. Niemiecki terror był bezwzględny, ale był również losowo skierowany przeciwko wszystkim i dlatego był »apolityczny«... uzasadnione jest założenie, że zwielokrotnienie czy organizacje podziemne i rozprzestrzenianie się inicjatyw konspiracyjnych można w dużej mierze przypisać istnieniu wolności politycznej w Generalnym Gubernatorstwie podczas wojny. Trudno sobie wyobrazić, by organizacje podziemne powstały i utrzymywały się w takiej liczbie” (Jan Tomasz Gross „Społeczeństwo polskie pod okupacją niemiecką: Generalne Gubernatorstwo, 1939–1944” Princeton, New Jersey: Princeton University Press, 1979, s. 240).

Jak to, Polacy podczas wojny i okupacji byli wolni, mogli się swobodnie organizować, organizować życie polityczne mimo niemieckich represji (a gdzie sowieckie 1939–1941 i ponownie od

czytając jego prace. Ważne natomiast było to, że nie posługiwał się on źródłami w celu rzetelnego i w miarę obiektywnego opisu rzeczywistości, robił to natomiast w taki sposób, aby „udowodnić” z góry przyjęte założenie, czyli uzasadnienie tego, co chciał osiągnąć.

Sławę – i to światową – przyniosła mu kolejna publikacja: „Śąsiedzi: Historia zagłady żydowskiego miasteczka” (Sejny 2000). Jego „odkrycie” miało polegać na tym, że jako pierwszy w mikroskali opisał zjawisko, w którym jakoby „połowa zabiła połowę”, czyli polscy mieszkańcy miejscowości Jedwabne samodzielnie wymordowali drugą połowę mieszkańców, czyli Żydów. Gross nie przeprowadził odpowiednich badań źródłowych, nie był na miejscu i nie przeprowadził wywiadów i nie zbierał relacji na miejscu (wtedy było to jeszcze możliwe), a z olbrzymich dostępnych zasobów

zarzutu antysemityzmu i w ten sposób „pozbywał” się jej bardzo tanim kosztem. A uwag do jego „ustaleń” i metody pracy było wiele. Mylenie postaci, wydarzeń, sytuacji – to stało się czymś oczywistym. W dodatku łapany był nawet na fałszowaniu cytatów. Takie poczynanie jest dla autora całkowicie dyskwalifikujące, ale – jak się okazało – takim nie było w przypadku Grossa. Jak to wyglądało? Przytoczmy choćby taki „niewinny” fałsz, dotyczący opisu jednej z akcji antyżydowskich na Lubelszczyźnie. Cytując „Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny” Zygmunta Klukowskiego, w którym znalazło się stwierdzenie „nasi” żandarmi, Gross po prostu zgubił cudzysłowy. Klukowski pisał o żandarmach miejscowych, nie tych przysłanych z zewnątrz (z innych miejscowości), co w jego zapisach jest bardzo wyraźne. Oczywiście, wszyscy żandarmi byli niemieccy, a nie „nasi”. Gross całkowicie wypaczył obraz sytuacji i nie ma przesłanek, aby uznać to za oczywistą pomyłkę pisarską, bo nie jest to przykład jedyny. Czytelnik takich niuansów jednak nie odróżnia i zapewne o to właśnie chodziło.

Odpierając powszechną krytykę i wykazywanie mu ignorancji (nawet tej formalnej, czyli nieumiejętności docierania do źródeł i ich studiowania), Gross w publicznych wypowiedziach uznał, że „Śąsiedzi” są po prostu... „publikacją naukową, napisaną w oparciu o dostępną dokumentację przedmiotu i skrupulatne badania. [...] łatwo stwierdzić, że jest ona opatrzona przypisami i odnośnikami” (wypowiedź J.T. Grossa w portalu Gazeta.pl 17 maja 2001 r.). Rzetelność publikacji naukowej nie polega jednak na tym, że jest ona „opatrzona przypisami i odnośnikami”, lecz na wszechstronnym zbadaniu wszystkich dostępnych źródeł i ich starannej weryfikacji. A tego autor tej książki nie zrobił, co więcej – mimo ujawniania dodatkowych okoliczności, przeczących tezom autora, ten nie odstąpił od nich nawet w nowych wydaniach (krajowym oraz niemieckim i amerykańskim, a w ślad za nimi w innych językach). Idąc dalej tym trybem rozumowania, za dzieła „naukowe” należałoby uznać okolicznościowe przemówienia Bolesława Bieruta, Władysława Gomułki czy Wojciecha Jaruzelskiego. Były one wydawane drukiem i też zostały „opatrzone przypisami”. Gwoli ścisłości – przypis to komentarz, uwaga, wyjaśnienie do tekstu, przywołanie przez autora

Jan Tomasz Gross pomijał nawet najbardziej dla wyjaśnienia sprawy istotne zeznania ocalałych Żydów

1944 r.?), w sposób mało ograniczony korzystali z... wolności? Dlaczego wówczas nikt na to nie zwrócił uwagi? Ponieważ to była publikacja anglojęzyczna, a kto z zachodnich czytelników znał realia okupacji w Polsce? Względna wolność (na tle Polski) była przecież w Danii, Belgii, Holandii, we Francji. Mogła być zatem i u nas.

Gross w swych broszurkach poświęconych Polsce po 1939 r. powoli nas przyzwyczajał nie tylko do nieuprawnionych treści, lecz także do „nowego” języka. W jednej z nich – „Studium zniewolenia: wybory październikowe 22 X 1939” (Kraków 1999) – na stu stronach ponad 100 razy posłużył się terminem „referendum”. Jednak nie w znaczeniu właściwym, bo bez stosownego i wyczerpującego wyjaśnienia, że miało to miejsce pod sowiecką okupacją i nie było to „referendum”, tylko forma sowieckiej represji, aby „zalegalizować” zabór ponad połowy terytorium Polski. Referendum byłoby tylko wtedy, gdyby nie było fizycznego wprost przymusu sowieckich organów, aby wziąć w nim udział, i ingerencji w wyniki, a właściwie wcześniejsze ich spreparowanie na użytek propagandy.

Takie przykłady można mnożyć, ale mało kto zwracał i zwraca na to uwagę,

archiwalnych skorzystał tylko dosłownie w mikroskopijnej skali. W dodatku wybierał z nich wyłącznie to, co miało potwierdzać jego wstępną tezę o zabiciu „połowy przez połowę”. A jeśli i tego nie znalazł, to odpowiednio kaleczył cytaty. Pomijał nawet najbardziej dla wyjaśnienia sprawy istotne zeznania ocalałych Żydów!

Podczas powojennego procesu wyszły bowiem na jaw i takie wątki (których zresztą ówczesny komunistyczny sąd pod uwagę również nie wziął), jak zawarte w zeznaniach świadka Józefa (Izraela) Grądowskiego. Był on przed wojną prezesem gminy żydowskiej w Jedwabnem, czyli najbardziej eksponowanym przedstawicielem tej społeczności. Zeznał on, że „Eliasz Grądowski chciał pieniędzy od oskarżonych, oni nie dali mu, to on ich tak oskarżył, a ci ludzie są niewinni” (Zeznanie Józefa Grądowskiego podczas rozprawy głównej, KSU 33/49).

MANIPULACJE W CYTATACH

Historycy i publicyści zauważyli natychmiast sposób preparowania i selekcjonowania przez Grossa dowodów swoich twierdzeń. Jednak co z tego? Autor pomijał milczeniem wszelką krytykę albo sprowadzał ją do obelżywego

źródła swej wiedzy. Odnosnik zaś to jedynie znak graficzny, umieszczony w tekście i odsyłający czytelnika do przypisu. Gross chciał się popisać erudycją, ale oczywiście „wyszło jak zawsze” (cytując klasyka). Nawet tego nie wie, nie potrafi tych pojęć odróżnić?

POSTAWA AFIRMUJĄCA

Za niewątpliwie osiągnięcie, i to wielkiej wagi, uznane zostało w przychylnym mu środowisku następujące stwierdzenie: „Nasza postawa wyjściowa do każdego przekazu pochodzącego od niedoszłych ofiar Holokaustu powinna się zmienić z wątpliwej w afirmującą. Po prostu dlatego, że przyjmując do wiadomości, że to, co podane w tekście takiego przekazu, rzeczywiście się wydarzyło i że gotowi jesteśmy uznać błąd takiej oceny dopiero wtedy, kiedy znajdziemy po temu przekonujące dowody [...]”. Przecież wszystko, co wiemy na ten temat – przez sam fakt, że zostało opowiedziane – nie jest reprezentatywną próbą żydowskiego losu. To są wszystkie opowieści przez różowe okulary, z happy endem, od tych, którzy przeżyli [...]. I dlatego powinniśmy traktować dosłownie strzępki informacji, którymi dysponujemy, zdając sobie sprawę, że prawda o zagładzie społeczności żydowskiej może być tragiczniejsza niż nasze o niej wyobrażenie na podstawie relacji tych, którzy przeżyli”.

Doniosłość owego „odkrycia” można lepiej ocenić, odnosząc je do zupełnie innej dziedziny, w której również klasyczne dochodzenie do prawdy zostało utrwalone przez ludzkość przez tysiąclecia: do prawa. Wyobraźmy sobie, że zgadzamy się na takie postępowanie afirmujące – dopóki nie znajdą się dowody niewinności, zaprzeczające prostym przekazom o naszej „winie”, choćby najbardziej absurdalnym, przyjmujemy je za prawdę i już jesteśmy winni! A owych dowodów można nawet nie szukać, wtedy przekaz o jakichkolwiek wydarzeniach staje się prawdziwy.

W opisie Grossa nic się nie zgadza, w tym liczba ofiar (ale i rzekomych sprawców), okoliczności i częściowo miejsce popełnienia zbrodni. Zabrakło nawet starannej analizy udziału w niej Niemców, jak choćby komanda gestapo, dowodzonego przez Hermanna Schapera. Został on rozpoznany po wojnie przez świadków żydowskich jako sprawca ana-

logicznych zbrodni, popełnionych w tym samym czasie co w Jedwabnem. Jednak co z tego – wszystko, co nie pasowało do z góry przyjętej tezy, Gross po prostu odrzucił i pozbył się kłopotu.

Gross drastycznie przełamał pewne tabu w nauce – że źródeł ignorować nie wolno i nie można ich przeinaczać. Pokazał, że można to robić, i w dodatku można to czynić całkowicie bezkarnie.

GORZEJ NIŻ GROSS

Tymi śladami poszedł jego młodszy kolega – Jan Grabowski. Jest on historykiem z wykształcenia, Gross zaś socjologiem. Nie o formalności tu jednak chodzi, tylko o umiejętność posługiwania się tym, co historycy zwą „warsztatem”, czyli zestawem niezbędnych narzędzi formalnych i umysłowych do posługiwania się źródłami. Gdy kiedyś myślano, że tego, jak się owym „warsztatem” posługiwał Gross, bardziej pokaleczyć już nie można, Grabowski wykazał, że można. I to jak!

Jego specjalizacją onegdaj była historia rdzennej ludności Kanady i zapewne publikacje z tego zakresu go nie kompromitują. Jednak od prawie dwóch dekad zajmuje się historią Holokaustu ludności żydowskiej na terenie okupowanej Polski (1939–1945). Trzeba to stanowczo podkreślić, bo i on to podkreśla – nie chodzi mu o zagładę w ogóle i różne jej aspekty, ale praktycznie wyłącznie o rolę w niej Polaków. W ten sposób marginalnie traktuje rolę Niemców, a o roli instytucji żydowskich w zagładzie (nie tylko policji) nawet nie wspomina. Jest to co najmniej dziwne, bo te wątki są ze sobą na ogół bardzo ściśle splecione. Wydawałoby się, że historyk, w przeciwieństwie do Grossa, warsztat naukowy ma dobrze opanowany, ponadto na tyle dobrze zna realia okupacyjne, że porusza się w nich swobodnie. Jednak w tym przypadku to przypuszczenie okazuje się całkowicie nieuprawnione. Grabowskiemu mylą się (delikatnie rzecz ujmując) nawet tak łatwe do sprawdzenia i ustalenia rzeczy, jak piśmiennictwo Polskiego Państwa Podziemnego, które było bardzo różnorodne i bogate. Nie można tego wykorzystywać, nie znając proveniencji konspiracyjnych gazetek, przynależności organizacyjnej itp.

Są dwie możliwości – albo Grabowski po prostu przez tyle lat nie potrafił opanować nowej dla niego dziedziny i stąd niewyobrażalne wprost błędy, albo też

dobrze wie, co robi, idąc śladami Grossa, ignorując świadomie i z premedytacją wszystko to, co przeczyłoby jego celowi „badawczemu”.

Rzecz podstawowa to niesłychana wybiórczość źródeł, którymi Grabowski się posługuje, w dodatku niezwykle wprost umiejętność ich wypaczania. Jego liczni krytycy co chwilę odnajdują tego przykłady, wykazując, że to nie są drobne i nieistotne przypadki, ale sprawy kardynalne. Opisując dany teren, posługuje się źródłami z zupełnie innych miejsc. Gdy brakuje mu negatywnych przykładów zachowania się Polaków, bierze przedstawicieli innych narodowości (np. Ukraińców) i polską narodowość im dorabia.

Ostatnio szukając innych rzeczy, przeglądałem niejako przy okazji archiwalne materiały, które Grabowski powinien znać i wykorzystać w swej ostatniej książce (a przynajmniej o nich wiedzieć i odnieść się do nich) „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów” (Wołowiec 2020). Są to całe zespoły akt, meldunków, dokumentów, sprawozdań itp., dotychczas nieruszane przez historyków. Być może to są nawet tysiące kart, zawierające informacje o wiele bardziej reprezentatywne niż te, które on wykorzystuje. Jak można było to całkowicie pominąć?

SZUKANIE „WINY” POLAKÓW

Ważnym aspektem twórczości Grabowskiego jest to, że na swoje „badania” otrzymuje pokaźne granty z instytucji państwowych, kwoty naprawdę robiące wrażenie i będące poza zasięgiem polskich historyków. Gdy trzy lata temu reprezentatywne polskie instytucje i współpracujący z nimi polscy historycy zarzucili mu wprost, w sposób starannie udokumentowany, że „fałszuje historię Polski” tego okresu, Grabowski uznał, że są to ataki antysemitki! I w jego obronie odezwały się natychmiast bardzo liczne głosy z jego środowiska, świadczące o niezrozumiałej solidarności nie tylko z nim, lecz także całokształtem jego twórczości, tak krytycznie zneglizowanej.

Ten badacz w swych publikacjach i wypowiedziach eskaluje napięcie, wchodząc na coraz wyższe szczeble absurdu. Nie tak dawno uznał, że „Polacy zamordowali 200 tys. Żydów” i rozpowszechnia to w światowych mediach. Pytany o źródła takiej wiedzy, wskazał na żydowskiego historyka dr. Szymo-

na Datnera, ale – jak bardzo szybko ustalili historycy i publicyści – w jego publikacjach takich informacji po prostu nie ma. Mimo to Grabowski z tych oskarżeń się nie wycofał.

W książce o granatowej policji oskarżył tę instytucję o zbrodnię na miarę Auschwitz (!) i też nie zamierza się z tego wycofać: „[...] granatowa policja miała niebagatelny udział w wymordowaniu polskich Żydów i wchodzi tym samym w pole zainteresowania badaczy Holokaustu. Więcej, granatowa policja stanowiła istotny, niekiedy niezbywalny element niemieckiej strategii eksterminacji europejskich Żydów. Na dodatek polscy policjanci często mordowali Żydów na własną rękę, wykazując się przy tym ogromną

ona zdominowana przez Grossa, Grabowskiego i tych, których oni wychowują, na własnych wzorach? Wtedy ratuj się, kto może!

István Deák, znany historyk żydowskiego pochodzenia pracujący w USA, przed prawie ćwierćwieczem zauważył, że „żaden problem w literaturze o Holokauście nie jest bardziej obciążony niezrozumieniem, fałszem i czystym uprzedzeniem rasowym niż stosunki polsko-żydowskie podczas drugiej wojny światowej” (zob. István Deák, „Memories of Hell” [w:] „The New York Review of Books”, June 26, 1997). I nie chodziło mu o piśmiennictwo polskie z tego zakresu, bo ono na Zachodzie praktycznie wówczas nie istniało w świadomości odbiorców i nadal nie istnieje. Ta opinia,

– mamy zapowiedź dokonania obróbki Kościoła katolickiego pod kątem winy (na wzór tego, co już obaj panowie zrobili).

Następnie rozmowa pełna jest pseudonaukowych wywodów, sprowadzających ich twierdzenia do absurdu. I tak, jako rzecz Gross: „Ilekoć mówimy Polacy i Żydzi, to de facto odbieramy im charakterystykę obywatelskości”. A przecież właśnie kategoria „obywatelskości” mieści w sobie ludzi różnych narodowości w ramach danego społeczeństwa, nie tylko Polaków i Żydów zresztą.

Grabowski zauważa, że pojęcie: „nieżydowskie Polacy wchodzi w użycie w literaturze po polsku”. Ale kto to do owego użytku wprowadza? Z tej rozmowy się tego nie dowiemy. Gross dodaje, że „ludzie czują, że jest zapotrzebowanie na coś takiego. W moim pojęciu podstawowa sprawa, która tutaj (sic!) dla mnie odgrywa rolę, to jest potrzeba odejścia od siatki pojęciowej wymyślonej przez endeka, przez endecję, która została nam włożona do głowy i ilekoć mówimy Polacy i Żydzi, to odbieramy im, Żydom, charakterystykę obywatelskości”.

Według Grossa, „zupełnie inaczej trzeba myśleć o wielu rzeczach”, albowiem jest „sposób nazewnictwa, który problemy i zagadnienia sytuuje w pewnym świetle. Państwo polskie na przykład ma zupełnie innego rodzaju obligacje w stosunku do Żydów jako Polaków i tych, Żydów, którzy Polakami nie są”. Konia z rzędem temu, kto się w to wgrzezie i prawidłowo zrozumie, „co poeta miał na myśli”. Obligacje to są zobowiązania. Jeśli w ramach państwa istnieją obywatele, to w świetle cywilizowanego prawa są sobie równi. Jednak dla owych intelektualistów nie jest to takie proste. Według nich są bowiem Żydzi jako Polacy oraz Żydzi, którzy Polakami nie są. I stąd płynie dla nich prosty wniosek: obligacje państwa wobec tych różnych kategorii nie są tożsame, a zatem pojawia się bardzo szerokie pole do przeróżnych i przedziwnych (przynajmniej początkowo) interpretacji.

Teraz można tylko czekać, aż oni lub ich następcy pójdą tą drogą i zaczną dokonywać odpowiednich „odkryć”, a w ślad za nimi pojawiają się kolejne żądania. Sfera języka i powszechnie rozumianych dotychczas pojęć staje się polem narzucanej nam walki ideologicznej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jan Grabowski w książce o granatowej policji oskarżył tę instytucję o zbrodnię na miarę Auschwitz i nie zamierza się z tego wycofać

inicjatywą. Żal tylko, że w sporze o polską niewinność mało kto pamięta o niepoliczonych dziesiątkach, setkach tysięcy żydowskich ofiar granatowej policji, ludziach, którzy mogli ocalać, którzy mieli sporą szansę na przeżycie wojny”. Tej niezwykle śmiałej tezy, wprost okrutnej, jednak w żaden sposób Grabowski nie udowodnił, co więcej, jego słowa są zaprzeczeniem wieloletnich badań i ustaleń takich niekwestionowanych autorytetów, jak choćby Raul Hilberg (zob. jego „Sprawcy, Ofiary, Świadkowie”, Warszawa 2007).

Hilberg zaś (mimo różnych kontrowersyjnych interpretacji) uczciwie wskazywał, że Polacy na tle innych krajów okupowanych najmniej byli zaangażowani w akcje antyżydowskie. Niemcy nie postrzegali nas jako swych kolaborantów, co więcej – uważali, że Polacy nie byłoby nawet godni tej roli (!). I dalej zauważył, że Polacy doskonale zdawali sobie sprawę, iż w oczach Niemców nie byli społecznością w jakikolwiek sposób uprzywilejowaną, co więcej, bardzo dobrze zdawali sobie sprawę, że po eksterminacji Żydów przyjdzie kolej na nich.

Rodzi się pytanie: Czy wśród badaczy Holokaustu będą pojawiać się uczeni tej miary co Hilberg, kontynuujący szczytne tradycje prawdziwej nauki, czy zostanie

tak jednoznaczna w swej wymowie, pozostaje stale aktualna, co trzeba przyznać ze smutkiem, tym bardziej że dotyczy uprzedzeń rasowych wobec nas – a nie naszych uprzedzeń wobec Żydów.

SZYKOWANY ATAK NA KOŚCIÓŁ?

Na to wszystko nakłada się jeszcze polityka i jako taka zaczyna ona dominować nad badaniem historii polsko-żydowskiej. Skoro nawet przywódca Izraela Benjamin Netanjahu mówił publicznie (na 37. Kongresie Syjonistycznym 21 października 2015 r.), że „Hitler nie chciał dokonać eksterminacji Żydów, chciał ich wygnać”, to droga do poszukiwań sprawcy zastępczego stoi szerokim otworem. Problem tylko w tym, że nigdzie nie ma żadnego oparcia dla tak śmiałej tezy, wywracającej naukę o Holokauście do góry nogami! Niektórym jednak wolno więcej.

Na portalu żydowskim Jewish.org można odsłuchać dyskusję profesorów Jana Grabowskiego i Jana Tomasza Grossa, przeprowadzoną on-line 18 maja tego roku. Portal przedstawia ich jako intelektualistów, ale rozmowa smakowitą ucztą duchową i intelektualną nie jest. Poza licznymi truizmami (delikatnie rzecz ujmując) są tam jednak ciekawe rzeczy. Pierwsza

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



JACEK PRZYBYLSKI: Największe protesty w historii niepodległej Białorusi to początek końca ostatniego dyktatora Europy?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Nawet jeżeli to początek, to koniec nie nadejdzie szybko. Ostatni dyktator Europy ma wystarczająco dużo siły, aby wytrzymać jeszcze co najmniej jedną kadencję. Przez 26 lat stworzył to państwo, jego administrację i siły bezpieczeństwa. Powstała cała generacja, która dorobiła się za jego rządów i której zależy na utrzymaniu obecnego porządku. Łukaszenka dobrze przygotował się też do obrony. Podczas Majdanu na Ukrainie część urzędów została przejęta przez protestujących. Demonstranci na Białorusi nie są nawet w stanie podejść pod budynki administracji. Reżim opanował łączność i system informacyjny. Nie widzę więc obecnie możliwości, aby bez pomocy zewnętrznej lub bez pęknięcia w środku reżimu rządy Łukaszenki upadły.

To reżim zmusił liderkę opozycji Swiatłanę Cichanouską do wygłoszenia apelu do Białorusinów o zaprzestanie walk z milicją?

Wiele wskazuje na to, że gdy sama – bez doradców i członków sztabu – została wpuszczona do komisji wyborczej, urządzono jej kilkugodzinne pranie mózgu. Cichanouskiej brakuje doświadczenia i politycznej grubej skóry. Do niedawna była po prostu nauczycielką i gospodynią domową. Prawdopodobnie wykorzystano jej matczyne instynkty, aby ją złamać, zastraszyć i zmusić do ucieczki na Litwę.

FOT. STANISŁAW KOWALCZYK / E&S NEWS

Wpływowy rosyjski politolog Siergiej Markow twierdzi, że „Cichanouska jest marionetką w rękach Warszawy”, a Polacy i Litwini chcą dokonać przewrotu na Białorusi, aby wskrzesić ideę Rzeczypospolitej. To zapowiedź rosyjskiej interwencji?

Podczas kampanii wyborczej Cichanouską oskarżono z kolei o bycie marionetką Rosji. Teorii spiskowych będzie przybywać. Co do rosyjskiej interwencji, na razie nie wydaje się ona potrzebna. Trzeba obserwować, czy opozycji uda się wywołać strajk generalny. Jeśli Łukaszenka przestanie sobie radzić, to Rosjanie mogą wykonać kolejny ruch. Zanim wejdą na Białoruś, spróbują jednak dokonać przewrotu pałacowego w ramach reżimu i znaleźć mniej obciachowego polityka, który byłby możliwy do zaakceptowania przez młode pokolenie.

Sam Łukaszenka przez ostatnie lata balansował między Rosją a Zachodem.



Z Witoldem Waszczykowskim, europosełem PiS i byłym ministrem spraw zagranicznych rozmawia Jacek Przybylski

Ideolodzy LGBT chcą anarchizacji państwa

Sygnaty chęci zbliżenia do USA i UE wysłał m.in. w 2016 r., kiedy osobiście podjąłem próby kontaktowania się z nim. Wówczas zaczął dbać też o język białoruski, m.in. poprzez białoruską liturgię w kościołach. Być może nas nabrał, a być może to Zachodowi zabrakło determinacji, aby go na dłużej do siebie przyciągnąć. Tymczasem w Rosji ciągoty do tego, by odbudować dawne imperium Związku Sowieckiego, były i są silne.

Premier Morawiecki zaapelował o nadzwyczajne działania UE ws. Białorusi. Nie będzie jednak ani nadzwyczajnego szczytu UE, ani nadzwyczajnego posiedzenia ministrów spraw zagranicznych.

To kolejny przykład indolencji Unii i obaw o podjęcie rywalizacji z Rosją. Zaangażowanie się UE na Białorusi wymagałoby twardej postawy wobec Kremla. Tymczasem gdzie w zeszłym tygodniu polecał Heiko Maas, szef dyplomacji Niemiec, czyli kraju, który sprawuje obecnie prezydencję w Unii? Gdy Białorusini prowadzili walkę z reżimem, on nie rozmawiał w Brukseli czy Waszyngtonie o tym, jak Zachód mógłby im pomóc, lecz polecał do Moskwy. Tam wspólnie z Ławrowem rozmawiał o tym, jak się bronić przed USA i dokończyć budowę Nord Stream 2. Niestety, nasi partnerzy w Unii beczelnie ignorują bezpieczeństwo europejskie, zastanawiają się z Ławrowem, jak wraz z Rosją na nowo urządzić życie w Europie. Z Rosją, która jest jawnym agresorem i która wspiera reżim Łukaszenki.

Włodzimierz Czarzasty robi agresora z rządu PiS. Ostatnio przewodniczący Lewicy oznajmił w TOK FM, że prezydent Duda apeluje do białoruskich władz o respektowanie praw człowieka i obywatela, w tym mniejszości, podczas gdy powinien zaapelować o to samo do polityków PiS i policji w związku z protestami LGBT w Warszawie.

To z gruntu fałszywa teza. Protesty aktywistów LGBT nie są odpowiedzią na politykę represji polskich władz, bo w Polsce odmienne zachowania seksualne nie są i nigdy nie były przedmiotem ostracyzmu społecznego ani tym bardziej represji administracyjnych czy sądowych. Zawsze w polskim społeczeństwie uważaliśmy, że taka odmienność jest elementem intymności człowieka i nie powinna być wyciągana do sfery publicznej.

Aktywiści LGBTQ+ czują się jednak wykluczeni.

Koncepcję wykluczenia stworzyło właśnie środowisko LGBT. Francis

Fukuyama, formułując w swym słynnym eseju tezę o „Końcu historii”, popełnił błąd. Zakładał bowiem, że wraz z upadkiem Związku Sowieckiego upadły idee marksizmu i leninizmu. Dzisiaj widzimy, że ten engelsowski marksizm jedynie się przepoczwarzył i zamiast rewolucji proletariatu zaczął szukać rewolucji innego typu. Jednocześnie stworzył koncepcję marszu przez instytucje, czyli zamiast Majdanu rewolucjoniści tworzą własne instytucje lub też poprzez narzucanie własnego języka próbują przejmować istniejące instytucje.

Dzisiaj obserwujemy kolejny etap rewolucji, który polega na wojnie z państwem. Na wiecach LGBT nie mówi się już o prawie do odwiedzin w szpitalach czy o prawie do dziedziczenia. Ci aktywiści mówią wprost: walczmy z państwem prawa. Hasło „jeb...ć pały i sąd cały” to początek etapu anarchizacji państwa.

Bojówkarze LGBTQ+ tłumaczą, że łamią i będą łamać przepisy, bo „żadne prawa zmarginalizowanych społeczności nie zostały wywalczone przez bycie miłym”.

Ale co oni chcą jeszcze wywalczyć? Przecież posiadają wszystkie prawa obywatelskie. Mają takie same prawo do opieki społecznej jak każdy inny. Mogą ze sobą legalnie mieszkać. Mają prawo wskazać u lekarza swojego partnera, partnerkę lub najbliższego przyjaciela jako osobę upoważnioną do informacji medycznej. Jeśli chodzi o prawo do dziedziczenia lub ustanowienie wspólnoty majątkowej, to wystarczy spisać odpowiednią umowę cywilnoprawną. Wszystkie prawa, które przysługują Polakom, przysługują też aktywistom z tych tzw. środowisk wykluczonych.

Brać ślubów i adoptować dzieci jednak nie mogą.

Bo to przywileje naturalnych rodziców. Prawda jest taka, że to nie opresyjne państwo atakuje środowisko LGBT, lecz lewicowi ideowcy tworzą w kraju sztuczne podziały, aby atakować państwo, rozbijając tradycyjny system wartości oraz rozbijając instytucje państwowe. Mam tu na myśli np. stygmatyzowanie policji. Anarchiści chcą doprowadzić do tego, że policjanci będą bali się interweniować. A jeśli im się to uda, to są w stanie wejść do każdego urzędu, bo będą one pozbawione ochrony.

Pan mówi o prawach wykluczonych, a posłanka Lewicy Małgorzata Prokop-Paczkowska przeko-

nuje, że „to, co dzieje się dzisiaj z mniejszościami w naszym kraju, ze społecznością LGBT, z kobietami, które domagają się swoich praw, to to samo, co tzw. prawdziwi Polacy robili kiedyś z Żydami”. Opozycja mówi też o łapanekach, przywołując okupację hitlerowską.

Już kilkadziesiąt lat temu ideolog jednego z totalitaryzmów wymyślił koncepcję oparcia całej propagandy właśnie na kłamstwie. Na szczęście Polska nie jest Białorusią, w której nie ma Internetu oraz mediów mogących pokazać, jak wygląda prawda. Jeżeli ktoś mówi o łapanekach, to pokażmy światu, jak bojówkarze LGBT rzucali się na samochody policyjne, a policjantów wyzywali od faszystów czy gestapo.

Jeśli mówi się o Michale Sz. jako o osobie poszkodowanej, to przecież publicznie dostępne są filmy, na których doskonale widać, że to on był sprawcą czynów zabronionych. Skoro to wszystko jest nagrane, to pokazujmy te filmy wszystkim tym eurokratom, którzy śmią nas oskarżać, i brońmy się w świecie. Fakty są po naszej stronie.

Ale pan jest okropnie antybinarny. Ten tęczyowy chuligan to nie żaden „on” ani „Michał”, ale „Margot”, który czuje się kobietą. Gdyby był pan prezesem opozycyjnego radia, właśnie wyleciałby pan z pracy.

Musimy zadać sobie pytanie: Czy człowiek funkcjonujący w społeczeństwie zbudowanym na prawie i demokracji rzeczywiście ma prawo decydować o swojej tożsamości zależnie wyłącznie od stanu ducha? Każde państwo oparte na prawie nadaje tożsamość zgodnie z biologią. Oczywiście również w Polsce legalnie można dokończyć operacji zmiany płci. Podobnie można też zmienić religię lub zostać ateistą, a także zmienić zawód lub wykształcenie. Nie możemy sobie jednak pozwolić na to, aby od stanu emocjonalnego czy od chwilowego widzimisię zależało to, czy jesteśmy kobietą czy mężczyzną.

Bo co ma zrobić ZUS, jeśli mężczyzna po ukończeniu 60. roku życia nagle uzna, że jest kobietą. Czy w takiej sytuacji nabywa prawa do emerytury? A co, jeśli człowiek uzna, że jest myszą, i zagrażają mu wszystkie koty w okolicy? Przecież to się ociera o psychiatrię.

Na razie ociera się o międzynarodowy skandal. Dunja Mijatović, komisarz Rady Europy ds. Praw Człowieka, domagała się od polskich władz uwolnienia „Margot”, przekonując, że „dwa miesiące

■ aresztu to bardzo zły znak dla wolności słowa i praw osób LGBT w Polsce". Unijni urzędnicy – według brukselskiej korespondentki RMF FM – są zaś ponoć zirytowani inicjatywą premiera Mateusza Morawieckiego i mówią anonimowo: „W Polsce brutalna akcja przeciwko osobom LGBT, a w Brukseli obrona pobitych białoruskich manifestantów". Czy Polskę wkrótce znów czeka głośne biczowanie pod pręgierzem europejskiej praworządności?

Na pewno tak. Mam jednak nadzieję, że nasi dyplomaci w Strasburgu mieli już okazję, aby pokazać pani Mijatović odpowiednią faktografię w kwestii osobnika, który nazywa siebie „Margot”, i udowodnić, że jej apel był oparty na fałszywych przesłankach. Być może została wprowadzona w błąd. W euro-parlamencie często robią to deputowani polskiej totalnej opozycji.

Problemy leżą po stronie UE. O wyjściu z Unii coraz głośniej mówią Włosi czy Hiszpanie. Tymczasem nie ma kwestii polexitu

Biczowanie pod pręgierzem praworządności odczuwamy zaś od przełomu lat 2015 i 2016, gdy zaczęliśmy reperować Trybunał Konstytucyjny oraz inne instytucje, które nie były zmieniane od czasów PRL. Bronimy się jednak za pomocą faktów. Gdy zarzuca się nam naruszenia tzw. praworządności, to przypominamy, że traktaty międzynarodowe nie dają instytucjom europejskim prawa do ingerowania w niektóre obszary suwerennych państw. Gdy wskazujemy, że podobne rozwiązania funkcjonują w Niemczech czy Hiszpanii, to oni odpowiadają, że Polska jest zbyt młoda demokracją, aby wprowadzać rozwiązania, które funkcjonują w krajach tzw. starej Unii, lub że w danym państwie jest starsza kultura prawna i z tego powodu inny kraj może mieć dane rozwiązanie, a Polska nie.

Coraz częściej dochodzi więc do prób rozliczania nas nie na podstawie zapisów prawa, bo takich nie ma, lecz na podstawie politycznego widzimisię.

Czy polski konserwatywny rząd nie jest skazany na porażkę w wojnie z liberalnymi elitami – unijnymi i polskimi – które wyrażają zdziwienie i oburzenie, że zacofane społeczeństwo nie chce ślepo podążać w kierunku progresywnej przyszłości?

Nie. Z jednej strony jest ideologia, a z drugiej są twarde interesy. Naszą walkę prowadzimy od 2015 r. i nie przeszkodziła nam ona w realizacji własnych interesów w dziedzinie bezpieczeństwa. Mimo protestów opozycji i początków historycznych ataków na polski rząd w Brukseli przywódcy NATO podczas szczytu w Warszawie w 2016 r. zdecydowali o rozlokowaniu oddziałów na wschodniej flance. Również Barack Obama zdecydował o wysłaniu do Polski brygady wojsk USA, a Donald Trump tę decyzję podtrzymał. W 2017 r. 190 państw zagłosowało na Polskę, wybierając nas do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Tymczasem przeciw postępowej liberalnej Holandii było wiele głosów przeciwnych. Warto się więc bić. Trzeba jednak unikać błędów.

Jakich?

Pułapką była choćby konwencja stambulska. Całemu światu została ona mylnie przedstawiona jako konwencja antyprzemocowa. Próba jej podważenia natychmiast budzi więc sprzeciw i pytanie: Czy wy chcecie mieć prawo do bicia żon? Jeśli więc Polska chciała podważyć tę konwencję – co byłoby słuszne – to powinniśmy mieć gotowy przekaz, dlaczego chcemy to zrobić, jak chcemy chronić praw kobiet oraz być gotowym, by zrobić to z dnia na dzień. Tymczasem daliśmy liberalno-lewicowemu środowiskowi wiele miesięcy do bicia w nas jak w bęben, a konwencji wciąż nie wypowiedzieliśmy.

Teraz Komisji Europejskiej łatwiej będzie zabrać Polsce pieniądze, aby zmusić rząd do ustępstw w sprawie konwencji czy nowych praw dla LGBT?

Nie ma prawa europejskiego, które pozwalałoby zabrać Polsce pieniądze. Zgodnie z traktatami fundusze strukturalne i rolne są przyznawane według stopnia rozwoju gospodarczego oraz liczby ludności. Dodanie kolejnego warunku wymaga zmiany prawa europejskiego.

Prawo do finansowego karania za naruszenie tzw. praworządności uzgodniono na ostatnim

szczyście w Brukseli i premier Mateusz Morawiecki takie rozwiązanie zaakceptował.

Przedmiotem sporu jest to, czy to rozwiązanie może być wprowadzone do prawa europejskiego. Premier Morawiecki twierdzi, że nie da się tego zrobić, ponieważ ostatnie słowo należy do Rady Europejskiej, w której obowiązuje zasada jednomyślności.

A pan się nie obawia, że jest inaczej?

Nie byłem na tym szczyście, muszę ufać premierowi. Poza tym, próbując odebrać należne Polsce pieniądze, UE zakwestionowałaby całą filozofię funduszy strukturalnych, które są przekazywane do krajów słabszych jako rekompensata za otwarcie ich rynków na towary i usługi bogatszych gospodarek.

Jest jeszcze jedna ważna kwestia. Fundusze strukturalne w większości są wydawane na infrastrukturę, a tę z kolei budują często duże zachodnie firmy. Wędrug ekspertów z każdego euro wydawanego na infrastrukturę komunikacyjną w Polsce aż 70 eurocentów wraca z powrotem do Niemiec, Francji etc. Unijni biurokraci nie zabiorą nam więc tych pieniędzy, bo zabraliby je samym sobie.

Polska i UE coraz częściej przypominają nieszczęśliwe małżeństwo, które łączy już tylko pieniądze. Grozi nam polexit?

Problem polega na tym, że zbyt długo karmiono nas iluzjami, że Unia Europejska to klub altruistów. Tymczasem już podczas poprzedniego kryzysu finansowego przestano udawać i nagle się okazało, że oprócz kwestii wspólnotowych są jeszcze interesy narodowe. Na ostatnim szczyście w Brukseli holenderski premier zyskał przydomek Mr. No, No, No, bo nawet nie ukrywał, że przyjechał po prostu realizować interes narodowy. Co mówi dziś szef niemieckiej dyplomacji? Nikt w Europie nie będzie nam wybierał dostawcy energii, więc wybudujemy Nord Stream 2.

Polska nie tworzy problemów. One leżą po stronie UE. O wyjściu z Unii coraz głośniej mówią Włosi czy Hiszpanie. Tymczasem nie ma kwestii polexitu. Polska jest krajem, który dobrze sobie radzi, a jednocześnie daje zarobić w sobie olbrzymie pieniądze choćby Niemcom, którzy handlują z Polską na poziomie wyższym niż z Rosją. Upominamy się jedynie o to, aby nasze interesy były w Unii proporcjonalnie uwzględniane.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 885dc2a0e1

Pomimo siódmej wyborczej wygranej, pomimo zagwarantowanych trzech lat bez wyborów formacja rządząca pełna jest lęki. FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

PiS: Rządzimy, ale nic nie możemy



Rafał A. Ziemkiewicz

Przecieki z zamkniętego spotkania klubu poselskiego PiS w Jachrance i inne poufne informacje o sporach toczących się wewnątrz obozu rządzącego nie napawają optymizmem

Wygłada na to, że wszystko sprowadza się do frakcyjnej kłótni o stołki i bliskość ucha Komendanta. W ogólnym zaś rozrachunku istnieje tylko jeden problem: jak teraz rządzić, żeby za trzy lata nie przegrać kolejnych wyborów.

Jeśli pojawiają się jakieś wątki merytoryczne – to tylko w kontekście „czym przyciągnąć młodzież”, „jak pozyskać kobiety” etc. Jeśli mówi się o podziale Mazowsza, to nie dlatego, że to dla Mazowsza dobre, tylko dlatego, że pozwoliłoby to przejąć jeszcze jeden sejmik. Jeśli

o dekoncentracji mediów – to nie po to, by zaczęły one służyć społeczeństwu, a nie swym sponsorom, tylko żeby osłabić propagandową siłę opozycji. Nawet głęboko słuszny merytorycznie postulat drastycznego „odchudzenia” rządu – obecny, z ministerstwami stworzonymi pod frakcyjne układanki i mrowiem wiceministrów, którzy zostali nimi, bo trzeba było im albo ich grupie „coś dać”, to przecież kuriozum na skalę światową – sprowadzony został wyłącznie do moszczenia się PiS właściwego z koalicjantami ze Zjednoczonej Prawicy.

To, jakie cele chce PiS zrealizować, jakie, poza utrzymaniem i poszerzeniem elektoratu, widzi wyzwania na nadchodzące lata, wydaje się nikogo nie interesować. Zresztą nie tylko wśród polityków, także animatorzy sprzymierzonych z partią rządzącą mediów od dawna już nie próbują wyznaczać ani jej, ani sobie samym innych celów niż doraźne.

DYKTATURA SONDAŻY

Dzisiejsza sytuacja wydaje się odwróceniem o 180 stopni „centroprawicowych” nawyków czasów niesławnego „konwentu

św. Katarzyny”. Wówczas, w latach 90., działacze „obozu patriotycznego”, przeważnie z podziemnym rodowodem, żyli całkowicie w swoim świecie, zwracając się do społeczeństwa istniejącego tylko w ich wyobraźni, ukształtowanej przez lektury Sienkiewicza i patriotyczne legendy. Dzisiaj, przeciwnie, zapanowała dyktatura sondaży. A z sondaży, jeśli traktować je literalnie, wynika zawsze mniej więcej to samo: że ludzie chcieliby zmian na lepsze, ale tylko tak ogólnie, bo każda zmiana konkretna spotka się z ich sprzeciwem.

Platforma spisała, PiS się stuszczył, podsumowałem zmiany politycznego behawioru dominujących politycznych plemion już kilka lat temu – dziś widać to jeszcze wyraźniej. Podczas gdy PO ugrzęzła w naśladowaniu tego, co w 2015 r. nazywała oskarżycielsko „antypaństwowym rokoszem” (i oczywiście najgoręcej potępiała), PiS bez reszty zajął się „ciepłą wodą w kranie” i usypaniem społeczeństwa propagandą sukcesu oraz obietnicami, że będzie miło, spokojnie i bezboleśnie.

Owszem, Tusk odnosił w ten sposób sukcesy – ale nie wolno zapominać, że istotą jego politycznej strategii było

traktowanie rządzenia Polską tylko jako etapu przejściowego w karierze. Metoda efektywnego nicnierobienia, zastępowania działań realnych – pozorowanymi (kto jeszcze pamięta te „rewolucje legislacyjne” i inne wzmożenia?) służyć miała utrzymaniu wysokiego poparcia w kraju do momentu, kiedy pozwoli ono „przeskoczyć” na upragnione wysokie stanowisko w UE. Potem – choćby potop. Ten potop zresztą nastąpił i pochłoniął cały ówczesny układ władzy. Układ, o którym Bartłomiej Sienkiewicz (dopóty, dopóki nie został marnym ministrem, dobry analityk) pisał za rządów PO-PSL, że będzie trwał wiecznie, bo „właściwie rozeznał grupowe interesy i skutecznie się w nie wpisał”. Ironia losu polega na tym, że Sienkiewicz w zasadzie miał rację: Tusk miał wszelkie dane do tego, aby stworzyć miejscowy odpowiednik „partii instytucjonalno-rewolucyjnej” rządzącej w nieskończoność – tylko na szczęście dla Polski miał inne cele.

Zakładam jednak, że ani Jarosław Kaczyński, ani żaden z jego potencjalnych następców nie podchodzi do swej kariery w taki sposób (zresztą przy obecnej prasie Polski i Węgier w UE nie ma takiej możliwości). Jaki jest więc horyzont polityki „ciepłej wody” w wydaniu Mateusza Morawieckiego?

W branży motoryzacyjnej znana jest opowieść o tym, jak przed wielu laty jeden z amerykańskich koncernów rozpiął plebiscyt na „samochód marzeń”. Potem projektanci stworzyli model dokładnie realizujący wyrażone w głosowaniu oczekiwania masowej widowni, wdrożono go do produkcji – i okazał się największą kląpą w całych dziejach koncernu, jeśli nie motoryzacji w ogóle.

Z polityką jest podobnie. Jeśli ktoś wyobraża sobie, że polega ona na „wsłuchiowaniu się w oczekiwaniami społeczeństwa”, to się po prostu głęboko myli. Ludzie oczywiście chętnie kupują bajki o „wsłuchiowaniu się”, bo ich to dowartościowuje, ale w istocie to tak nie działa. Gdyby rządzeni sami wiedzieli, czego naprawdę chcą i potrzebują, to nie potrzebowaliby do niczego polityków. Potrzebują ich zaś do tego właśnie, aby to politycy proponowali im i przedstawili do wyboru oraz akceptacji wizje przyszłości oraz cele do zrealizowania, aby ich do nich przekonali, porwali za sobą.

WIZJA TRZECIEJ KADENCJI?

Jakie cele, jaką wizję chce Polakom zaproponować PiS w drugiej kadencji?

Wizję trzeciej kadencji rządów PiS? To opowieść dla działaczy i beneficjentów partii, może jeszcze jakiejś grupy najbardziej zagorzałych zwolenników. Ale po co ta trzecia kadencja? Ba, po co ta druga, właśnie rozpoczęta?

Przyciśnięci do muru działacze sięgają odruchowo po narrację sprzed roku 2015, te, z którymi PiS szedł do władzy. O narodowej tożsamości, o obronie wartości, o twardym stawianiu polskich interesów. Tyle że te opowieści z każdym miesiącem rządów brzmiały coraz mniej przekonująco w konfrontacji z argumentem: przecież rządzą już pięć lat!

To szczególny „paradoks PiS”. Gdy formacja szła do wygranej, to wielu (w tej liczbie i niżej podpisany) uważało, że dla gospodarki rządu partii tak etatystycznej i zapowiadającej tak szerokie rozdawnictwo mogą się okazać szkodliwe, ale za to przyniosą pozytywne zmiany w sferze wartości, uzdrowienie i przywrócenie społecznego ładu. Tymczasem stało się

**W ogólnym rozrachunku
istnieje tylko jeden problem:
jak teraz rządzić,
żeby za trzy lata
nie przegrać
kolejnych wyborów**

odwrotnie – gospodarka ma się lepiej niż kiedykolwiek, ale też dalej niż kiedykolwiek zaszła destrukcja kulturowa, laicyzacja i antycywilizacyjna rewolucja LGBT. Coraz częściej też słyszy się z kręgów władzy – półgębkiem oczywiście i „off the record” – że z „tym” nie ma co walczyć, bo skoro tak poszło w całej Europie, to i my się nie obronimy.

Pomimo siódmej już wyborczej wygranej, pomimo zagwarantowanych trzech lat bez wyborów formacja rządząca pełna jest lękliwości. Przed strofowaniem przez Unię Europejską, przed oskarżeniami, że chce polexitu, przed krytyką mediów, przed szyderstwami światka popkulturowego. Jeśli komuś wydaje się, że propaganda opozycji spływa po PiS jak woda po kaczce, to tylko dlatego, że nie wie o tej władzy nic poza tym, co głosi się w opozycyjnej bańce. To są jednak propagandowe bajki. Jeden prosty przykład: jeśli rzekomo PiS chce wojny ideologicznej z LGBT, to dlaczego

ledwie się odważywszy chwilę o tym pogadać, tchórzliwie wrzucił sprawę konwencji stambulskiej na wieczne nigdy do zamrażarki Trybunału Konstytucyjnego?

Popatrzmy chłodnym, obiektywnym okiem np. na tak znienawidzoną w propagandzie opozycji państwową telewizję. Już pomińmy, że śmiech pusty budzą dziś, jeśli oczywiście ktoś je pamięta, dawne obietnice jej zreformowania, a przynajmniej ustawowego uregulowania sposobu finansowania. Ale czy poza pionem informacyjno-publicystycznym coś się w niej naprawdę zmieniło? Tyle że głupawe „gale kabaretowe” zastąpiło równie intelektualnie wyrafinowane disco polo. Chałtury „europejskie” zastąpiły „chałtury” patriotyczne, ale chałturnicy pozostali ci sami. O karierze w kulturze, gwiazdorskich angażach – także w produkcjach „reżimowej” TVP – decyduje to samo środowisko, biorące głównie pod uwagę zasługi „gwiazdy” w pluciu na Polskę, tradycję i patriotyzm oraz gorliwość we wspieraniu rewolucji LGBT. Kto od tego odstaje – jest niszczony jak Redbad Klynstra. W światku uczelnianym jest wręcz jeszcze gorzej niż za rządów PO, bo reforma Gowina dała dominującej na uczelniach lewicy nowe, skuteczne narzędzia do eliminowania „PiS-owców”.

Cała aktywność rządzących w tych dziedzinach ogranicza się do regularnego dostarczania finansowania zdeklarowanym wrogom swoim (to nawet mniejsza) i polskiej tradycji, patriotyzmu oraz suwerenności. Czy to w kulturze, czy w nauce producenci lewicowego bełkotu obsypywani są przez „PiS-owski reżim” grantami. Jak się wydaje, tytułem haraczu. Bo liczy się tylko doraźny spokój. I bieżąca polityczna przepychanka.

Tymczasem jak góra lodowa przed „Titanikiem” wyrasta przed Polską przemiana Unii Europejskiej z organizacji międzynarodowej w imperialistyczne, zideologizowane superpaństwo, dążące do ponownego pozbawienia nas niepodległości. Częścią tej zmiany jest sponzorowana z Zachodu rewolucja, dążąca do zniszczenia kredytem i dotacjami tego, czego komunistom nie udało się zniszczyć przemocą i represjami. Polityka świętego spokoju i udawania – czego innego przed Polakami, czego innego przed eurokracją – ma bardzo krótkie nóżki. Jeśli PiS tego nie zrozumie, to ściągnie zgon nie tylko na siebie, lecz także na państwo polskie.

Społeczno-medialna akcja zawiązana i rozegrana przez lewicę wokół osoby Michała Sz. deklarującego się jako osoba niebinarna i używającego pseudonimu Margot bardzo dobrze pokazuje techniki stosowane w akcji afirmatywnej przez polityczny ruch homoseksualny. Dzięki niej mogliśmy wyraźnie zobaczyć, że fakty odgrywają w takich akcjach drugorzędną rolę. Liczą się pewien konkretny rodzaj przekazu i efekt polityczny, który w większości krajów europejskich oraz Stanach Zjednoczonych okazał się dla tęczącej polityki pomyślny.

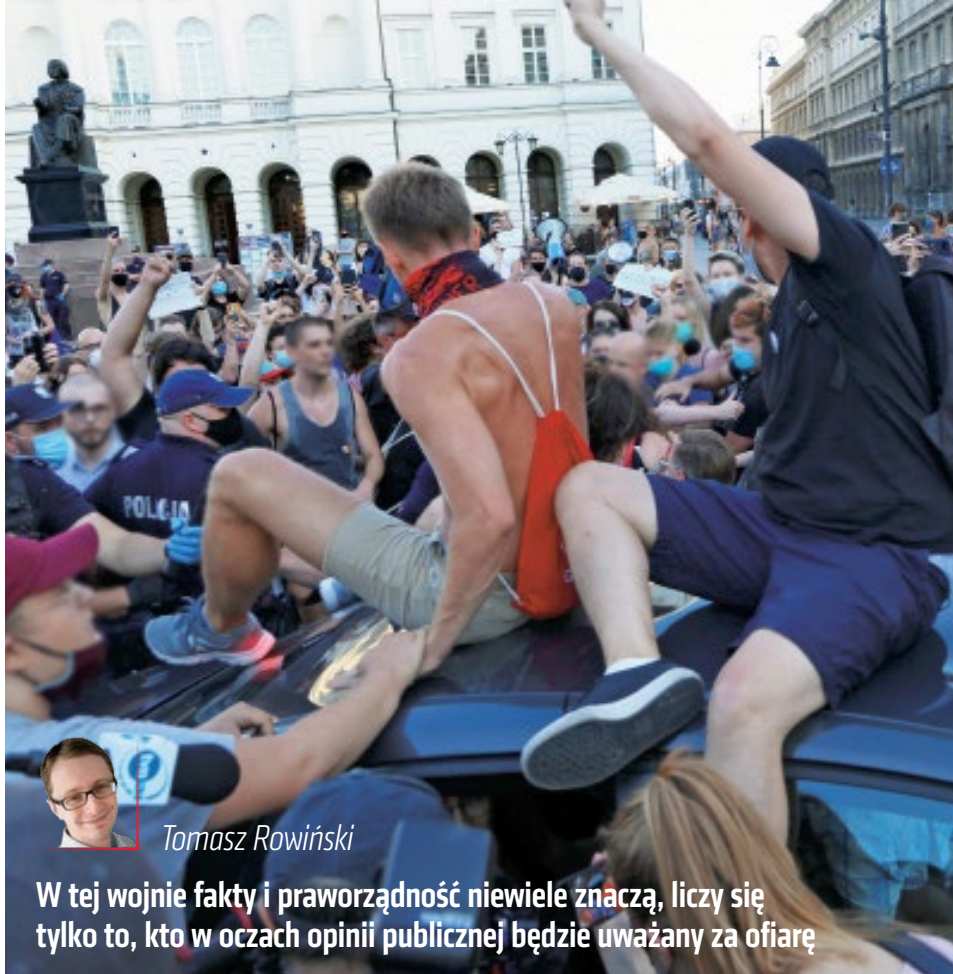
Przypomnijmy, Michał Sz. jest oskarżony o pobicie aktywisty Fundacji Pro – Prawo do Życia oraz zniszczenie jej miejsca. Sędzia wydał nakaz aresztowania. W obronie „Margot” siły zmobilizowały organizacje polityczne LGBT, parlamentarzystki Lewicy, media opozycyjne i część celebrytów.

ODWRÓCENI

Zarówno akcja związana z aresztowaniem Michała Sz., jak i wcześniejsze działania polegające na zawieszeniu na figurze Chrystusa przy kościele św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu tęczącej flagi miały na celu specyficzny rodzaj prowokacji. Jak trafnie sprawę podsumowała Małgorzata Bilska w „Przewodniku Katolickim”: „Prowokacja to sposób walki w naszej epoce. Rewolucjoniści pozornie są przeciwko przemocy, cynicznie zadając ból, tak by nie było rozlewu krwi. Kiedy reakcją jest złość i bunt, katolików oskarża się o przemoc. Sprawcy są niewinni, tylko się bronią”.

Akcja zawieszenia tęczącej flagi przy kościele św. Krzyża nie do końca się udała, ponieważ nie spodobała się zbyt wielu ludziom. Ksiądz Damian Wyżkiewicz, wyróżniony w konkursie Nauczyciel Roku 2019, posługujący przy zaatakowanej świątyni, mówił w tym samym numerze „Przewodnika Katolickiego”, że „akcja zabolala ludzi młodych, którzy tolerują ruch LGBT”. „Mam uczniów o bardzo różnych poglądach. Nawet ci, którzy mają poglądy najbardziej lewicowe, byli oburzeni. Powiedzieli mi wprost – to jest uderzenie w religię, w wiarę, w historię Warszawy. Nie pozwalamy. To jest absolutnie nie do przyjęcia; całkowicie brak przyzwoitości”.

Jednak nazajutrz po nocnej prowokacji flagę na figurze Chrystusa znów zawiesiła opozycyjna aktywistka



Tomasz Rowiński

W tej wojnie fakty i praworządność niewiele znaczą, liczy się tylko to, kto w oczach opinii publicznej będzie uważany za ofiarę

Rewolucja społeczna „na ofiarę”

dr hab. Magdalena Pecul-Kudelska z Obywateli RP. Jej akt miał być wyrazem solidarności, a jednocześnie próbą sprowokowania policji, by zainterweniowała wobec „całkiem zwykłego obywatela”. Pecul-Kudelska mówiła potem: „Chcę sprawdzić, czy policja i prokuratura będzie za ten sam czyn ścigać mnie – heteronormatywną panią profesor w średnim wieku”. W ten sposób wprost przedstawiła swoje działanie jako prowokację przemocy. Tak działa narzędzie społecznej manipulacji stosowane przez lewicę. Chodzi o przekierowanie uwagi opinii publicznej z potępienia złego czynu, jakim może być obraza moralności publicznej, obraza uczuć religijnych, czyli nieraz akt bluźnierczy, którego jednak

liberalne zasady prawa w Polsce nie rozpoznają, na współczucie dla sprawcy jako ofiary opresji.

EMOCJE I KONSEKWENCJE

Aktywiści politycznego ruchu homoseksualnego dobrze wiedzą, że uczucia – właśnie uczucia! – moralne współczesnego człowieka są często ukierunkowane na empatię wobec tych, którzy czują się pokrzywdzeni albo jako tacy się przedstawiają. Prawda o zdarzeniu czy obiektywna norma moralna bardzo często są na dalszym planie. Benedict Ó Floinn, irlandzki adwokat, jeden z najbardziej cenionych konstytucjonalistów tego kraju, w 2016 r. podczas Chrześcijańskiego Kongresu Społecznego o wygranym przez polityczny

Protest środowisk LGBT po wydaniu przez sąd decyzji o tymczasowym aresztowaniu aktywisty przedstawiającego się jako „Margot”

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS



ruch homoseksualny referendum w sprawie małżeństw jedнопłciowych mówił: „W 2015 r. większość narodu irlandzkiego została przekonana, by na drodze referendum nie tylko usunąć z konstytucji jedną z zasadniczych cech małżeństwa [czyli, że tworzą je osoby o dwóch płciach – przyp. T.R.], ale również, że instytucja ta wcale nie zostanie w ten sposób zmieniona! Irlandczycy uczynili to w przekonaniu, że zmiana, jaka się dokonuje, jest dobrą i wspaniałomyślną rzeczą, że jej niewprowadzenie spowoduje społeczny i cywilizacyjny regres oraz stanowiąc będzie wyraz nadmiernej surowości”.

Chociaż sprawę poparcia postulatów referendalnych oparto na emocjach społecznych, to konsekwencje prawne od roku 2015 są już jak najbardziej realne. Ponieważ dodatkowo wcześniej usunięto z irlandzkich dokumentów pojęcia nacechowane płciowo, takie jak „mąż”, „żona”, „matka” czy „ojciec”, każdy, kto chce wypowiadać się krytycznie na temat wprowadzonych przepisów, ma natychmiast przeciwko sobie nie tylko opinię publiczną, lecz także system prawny całego kraju. Trzeba też pamiętać, że Kościół w Irlandii milczał w kwestii zmian już w roku 2010, gdy wprowadzono „związki partnerskie”, a wręcz zgadzał

się na nie. W konsekwencji – jak mówił Ó Floinn – „zakres uprawnień zaproponowanych wniosków ani wartości, na których je oparto, nie zostały przedyskutowane w debacie publicznej. Nie kwestionując założeń tych nowych praw, straciliśmy okazję do podniesienia świadomości społeczeństwa w tym zakresie”. Wniosek dla Polski z tego może być tylko jeden – przeniesienie sporu o postulat politycznego ruchu homoseksualnego na poziom debaty publicznej i prawnej jest konieczne, ponieważ tylko tak można wyrwać się z błędnego koła manipulowania współczuciem, co lewica robi po mistrzowsku i ma przeciwiczone w wielu miejscach świata. Tylko tak można odsłonić mechanizmy działania lewicy, przedstawić argumentację przeciwną, tak by w osądzie nie opierać się tylko na wzruszeniach sączonych do naszych uszu poprzez świadectwa, reportaże i osławiające akcje społeczne.

Tomasz P. Terlikowski stwierdził w czasie zamieszania wokół aresztowania „Margot” na swoim profilu facebookowym, że policyjna akcja wobec Michała Sz. to tylko pokazówka, a politykę uprawia się realnie przez akty, takie choćby jak wypowiedzenie konwencji stambulskiej. Czy jednak aresztu nie orzekł niezawisły sędzia? Jednocześnie odpuszczenie sprawy „Margot” byłoby pokazaniem, że tęczowa flaga usprawiedliwia działania przestępcze, których oskarżony dopuścił się wobec działacza prolife’erskiej Fundacji Pro. „[Takie] działanie w niczym nie pomaga obronie wartości, nie prowadzi do realnych zmian prawnych, a jedynie wzmacnia i tak medialnie i międzynarodowo silniejszą stronę. I obawiam się, że efekt będzie taki sam jak w przypadku protestów »czarnych parasolek«, za moment usłyszymy, że nic się nie da zrobić konkretnie, bo opór jest za silny. Tyle że opór został sprowokowany” – pisze Tomasz P. Terlikowski.

Jest inaczej, na fizyczną przemoc trzeba zareagować. Dzięki medialnym przekazom wielu ludzi zobaczyło, że polityczny ruch homoseksualny i sojusznicy – także posłanki Lewicy – bez problemu posługują się kłamstwem (które jest formą przemocy) i bronią przestępce, jeśli jest z obozu homoseksualnej afirmacji. Bez podjęcia politycznej konfrontacji umocniłoby się poczucie bezkarności po stronie tęczowych społeczności. Zrobiony zostałby kolejny krok w stronę

zamachu stanu, po którym nawet bez zmiany przepisów władzę mieliby ci, którzy przyznawaliby się do określonej tendencji społecznej.

ABSURD GONI ABSURD

Czy nie ma niebezpieczeństwa w obecnej sytuacji? Oczywiście, że jest. To konsolidacja opozycji wokół postulatów prawnego wymuszania pełnego naśladownictwa związków rodzinnych przez homoseksualistów. Tyle że te postulaty i tak już są w sercu sił opozycyjnych, co pokazali Rafał Trzaskowski i Paweł Rabiej, inicjując Warszawską deklarację LGBT+. Jednocześnie jednak dziś unikanie konfrontacji politycznej byłoby przyznaniem się do porażki. Spór trzeba toczyć niezależnie od tego, jak bardzo jest on instrumentalizowany przez główne siły polityczne. Jest bardzo prawdopodobne, że podgrzewanie emocji to element rozgrywki wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy, spór o ład publiczny jest jednak całkowicie realny.

Jak bardzo lewica wierzy w skuteczność strategii wound-collective polegającej właśnie na inicjowaniu akcji prowokacyjnych i wystawianiu się potem na reakcje uważane za przemoc, by móc występować z pozycji ofiary, dała przykład poseł Wanda Nowacka, znana głównie z tego, że jest działaczką aborcyjną. W artykule dla „Gazety Wyborczej” z 11 sierpnia napisała, że jest ofiarą Fundacji Pro i jej furgonetki. Furgonetka, jak wiadomo, jest nośnikiem niezbyt chlubnych informacji o osobach ze skłonnościami homoseksualnymi. Z tej okoliczności pani poseł wyciąga wniosek, że atak na samochód „należałoby potraktować jak obronę konieczną”.

Ktoś mógłby powiedzieć, że absurd goni absurd, bo przecież sąd orzekł, iż furgonetki Fundacji Pro mogą poruszać się po mieście, a zatem propozycja Nowackiej jest propozycją samosądu, czyli linczu. Jednak w wojnie wszystkich ze wszystkimi, którą stała się liberalna cywilizacja, fakty i praworządność niewiele znaczą. W politycznym starciu liczy się tylko to, kto w oczach opinii publicznej będzie uważany za ofiarę. Takie zwycięstwo można wykorzystać potem na wiele sposobów – można zmienić prawo, można unikać więzienia. Uczynić z bycia ofiarą narzędzie przemocy to jeden z najnikczemniejszych sposobów gwałcenia jeszcze trwających chrześcijańskich zasobów naszej kultury.



Marcin Makowski

Ostracyzm środowiskowy, wykluczenie, cenzura – tak lewica reaguje, gdy ktoś z jej środowiska choć w jednym aspekcie ośmieli się mieć inne zdanie od aktywnego w mediach społecznościowych lobby. Także w Polsce

Jesteś uznanym pisarzem, publicystką, aktorem lub intelektualistką. Masz poglądy raczej lewicowo-liberalne lub pracujesz w medium, które przyjęło taki sposób patrzenia na świat. I nagle jeden „niepoprawny” tweet, wypowiedź w telewizji czy felieton sprawia, że twój dotychczasowy dorobek zostaje przekreślony. W Internecie wzbiera fala społecznego oburzenia, powstają hashtagi, ktoś domaga się twojego zwolnienia. Dla grupy, z którą się identyfikujesz, z dnia na dzień stajesz się jak człowiek widmo. Nie istniejesz. Zostałeś „anulowany”. To zjawisko, widoczne w przestrzeni publicznej przynajmniej od roku 2017 i początku ruchu #MeToo, doczekało się w USA swojej nazwy – „cancel culture”, „kultura unieważnienia”.

„AUTOCENZURA STAJE SIĘ NORMĄ”

Przykładów w świecie anglosaskim jest aż nadto. J.K. Rowling ze sławnej pisarki, feministki i sojuszniczki ruchów LGBT – ze względu na podkreślanie roli płci biologicznej – z dnia na dzień stała się „transfobką”, od której odżegnywały się gwiazdy filmowej adaptacji „Harry’ego Pottera”. Michael Shellenberger, lewicowy działacz środowiskowy – po tym, gdy poparł rozwój energetyki jądrowej i potępił głoszenie klimatycznej apokalipsy – został wrogiem numer jeden części bardziej radykalnych ruchów ekologicznych. Bari Weiss, redaktorka działu opinii „New York Timesa”, ceniona za swoje ostre pióro i własne zdanie, z czasem stała się dla redakcji obciążeniem. A później obiektem hejtu oraz „stałego znęcania się ze strony kolegów, którzy nie zgadzają się z moimi poglądami”. „Niektórzy mówili, że aby redakcja stała się naprawdę inkluzywna, należy mnie z niej wyrzucić, a inni obsmarowywali mnie na Twitterze jako kłamczuchę i bigotkę, zupełnie nie



FOT. JAKUB KAMISKUS/GET NEWS

Kultura wykluczenia

obawiając się, że ataki na mnie spotkają się z jakąkolwiek reakcją” – napisała 36-letnia Weiss w liście otwartym do swoich byłych już szefów, rezygnując z pracy.

Zawarła w nim również słowa, które są niejako esencją problemu oraz „kultury unieważnienia”. „Intelektualna ciekawość – nie wspominając o wzięciu na siebie ryzyka – jest dzisiaj uważana w »New York Timesie« za obciążenie. Po co redagować coś, co wymaga od naszych czytelników zmierzania się z tekstem, albo coś odważnego [...], skoro można sobie zapewnić bezpieczeństwo stanowiska pracy i klikalność, publikując artykuł o tym, że Donald Trump jest unikalnym zagrożeniem dla kraju i całego świata? Tak więc autocenzura stała się normą, a Twitter ostatecznym redaktorem” – napisała dziennikarka. Miesiąc wcześniej, na początku czerwca, do rezygnacji zmuszono szefa działu opinii „NYT”, A.G. Sulzbergera. Jego jedynym grzechem było zamówienie tekstu na temat zamieszek po śmierci George’a Floyda, w którym konserwatywny senator Tom Cotton wezwał do wyprowadzenia wojska na ulicę i „zaprowadzenia porządku”.

Błyskawicznie ponad tysiąc osób z redakcji wpływowego dziennika podpisało się pod listem, wyrażającym protest nie tyle wobec Cottona, ile samej publikacji jego opinii. Pomiędzy czerwcem i lipcem podobnych historii było więcej.

REWOLUCJA ZJADA WŁASNY OGON

Przez chwilę wydawało się, że skala środowiskowego ostracyzmu, wykluczania i cenzurowania ludzi, którzy w jednym aspekcie ośmielili się mieć inne zdanie od aktywnego w mediach społecznościowych lobby, przekroczyła punkt krytyczny. „Nie jesteśmy już zainteresowani wspólnym odkrywaniem prawdy, ale wyłącznie przekazywaniem innym stałych opinii pewnej grupy odpowiednio oświeconych ludzi. A status ofiary staje się tylko pretekstem do przejęcia władzy” – przestrzegał kognitywista i gwiazda Harvardu Steven Pinker w swoim głośnym felietonie w „Die Welt”.

Nieco wcześniej, obok 149 innych intelektualistów, dziennikarzy i artystów, był on sygnatariuszem listu otwartego opublikowanego w „Harper’s Magazine”. Ludzie

tacy jak Margaret Atwood, Garry Kasparov, Noam Chomsky, Salman Rushdie, Wynton Marsalis czy Fareed Zakaria zaprotestowali przeciwko rosnącemu w siłę trendowi oburzania się, wywoływania do tablicy i tłamszenia swobodnej dyskusji, który zapanował wśród „postępowców”. „Ruchy antydemokratyczne rosną w siłę na całym świecie [...]. Ale opozycja nie może pozwolić sobie na to, aby okrzepnąć we własnej formie dogmatyzmu i emocjonalnego szantażu – prawicowi demagogowie już teraz wykorzystują je przeciw nam” – stwierdzili autorzy listu.

„Ograniczenie debaty, bez względu na to, czy przez represyjną władzę, czy nietolerancyjne społeczeństwo, zawsze kończy się krzywdą tych, którzy władzy nie mają, i utrudnia wszystkim uczestnictwo w demokratycznych procesach. Złe idee pokonuje się poprzez ich obnażenie, bitwę na argumenty i przekonanie, a nie uciszenie czy przemilczanie. Odmawiamy dokonania fałszywego wyboru pomiędzy sprawiedliwością i wolnością, jedna bez drugiej nie istnieje” – zadeklarowali. A potem co? Część sygnatariuszy wycofała swoje podpisy, gdy dowiedziała się, że pod listem podpisała się również „transfobiczna” Rowling. Na ich stanowisko błyskawicznie odpowiedziano także kontrlistem, negującym istnienie „cancel culture”, która ma być pejoratywnym określeniem zjawiska polegającego „w rzeczywistości” na uaktywnieniu słabszych, którzy pociągają do odpowiedzialności społecznej ludzi, którzy mają władzę. Niestety, ten trend dotarł również do Polski. I to w przypadku, który jest równie znamieny, co ironiczny.

RADIO NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT

Wszystko zaczęło się od warszawskich zamieszek związanych z tymczasowym aresztem dla aktywisty LGBT Michała Sz. ps. Margot, który identyfikuje się jako osoba niebinarna, do której należy się zwracać zaimkami żeńskimi. „Widzę, że wielu dziennikarzy ma z tym kłopot: u osoby transpłciowej zewnętrzny wizerunek i dokumenty nie zawsze oddają tożsamość płciową. Traktujmy ich zgodnie z tym, jak się identyfikują. Negowanie transpłciowości jest jedną z najbardziej popularnych form przemocy” – pisała na Twitterze reporterka „Dużego Formatu”, Katarzyna Włodkowska. Jako pierwszemu dostało się reporterowi TVN24, który relacjonując

na żywo wydarzenia z 7 sierpnia, użył męskiego imienia zatrzymanego. Na antenie został błyskawicznie „pouczony” przez aktywistę, który mówił o używaniu zwrotu „Pani Margot”. „W dokumentach policyjnych widnieje Michał Sz. i nie sposób pominąć tej rzeczywistości, która też jest realna” – tłumaczył reporter. „Nie ma takiej rzeczywistości” – odpowiedział mu aktywista, dodając, że zmiana społeczeństwa zaczyna się od języka, a on posługuje się terminologią „transfobiczną”. Prawdziwa kropka nad i przyszła nieco później i dotyczyła Radia Nowy Świat, założonego przecież w geście sprzeciwu wobec cenzury w Trójce. To wręcz podręcznikowy przykład zjawiska, o którym piszę, dlatego warto je uważnie prześledzić.

„W dokumentach policyjnych widnieje Michał Sz. i nie sposób pominąć tej rzeczywistości, która też jest realna” – tłumaczył reporter. „Nie ma takiej rzeczywistości” – odpowiedział mu aktywista

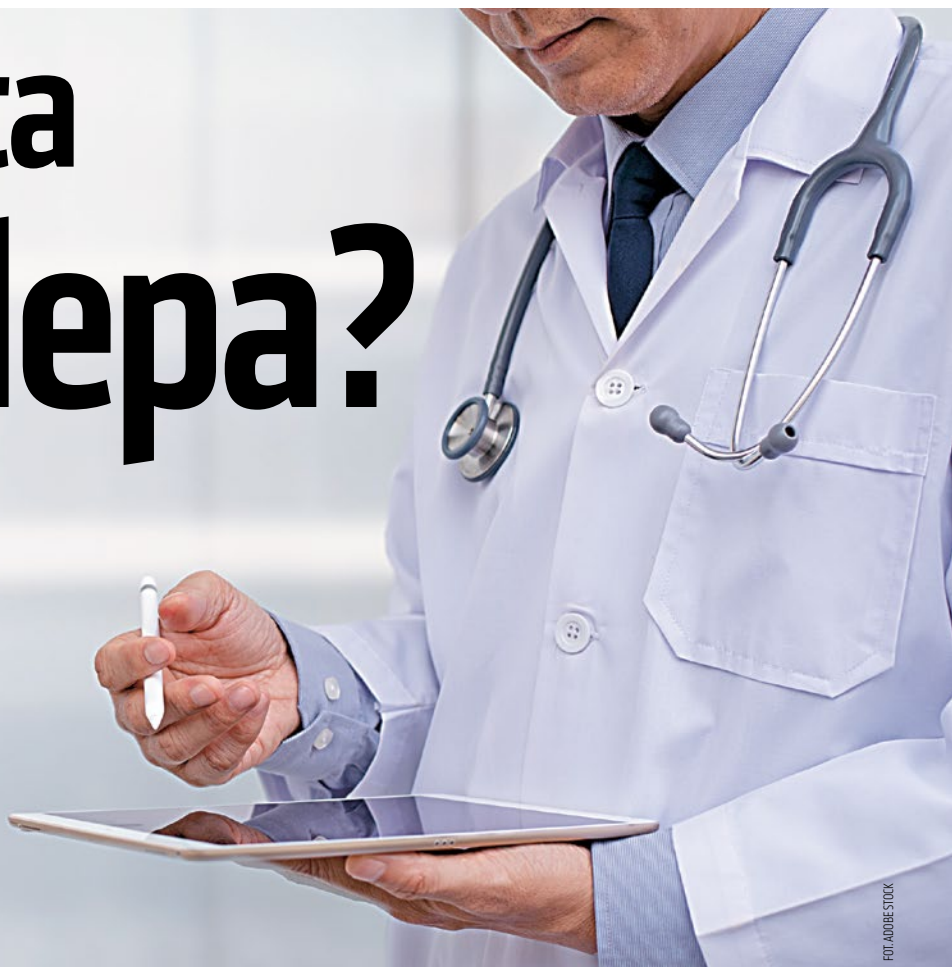
Pierwszy – postępową i tolerancyjną – przecież radiostację – do tablicy wywołał krytyk teatralny Mike Urbaniak. „Bardzo to jest ŻENUJĄCE i HANIEBNE, że Radio Nowy Świat nazywa w serwisach informacyjnych Margot Michałem Sz. Wstydzicie się, k...a, wstydzicie się! Zmieńcie sobie nazwę na Stary Świat, bo nieustannie w nim tkwicie” – wykrzyczał w mediach społecznościowych. Za nim poszła lawina podobnych komentarzy, które domagały się od Wojciecha Manna i spółki skorygowania kursu. Co ciekawe, presji nie zamierzał się poddawać prezes rozgłośni Piotr Jedliński. „Jeżeli Margot oraz akolici tak bardzo apelują o poszanowanie wolności, to dlaczego nie szanują wolności mediów oraz mojej, jako osoby? Dlaczego chcą mi na siłę narzucić sposób postrzegania świata, zmuszając, żebyśmy określał kogoś, kogo odbieram jako mężczyznę, zaimkami żeńskimi? [...] Trwa zmasowany atak, któremu się nie poddam. Widzę, że młodzi ludzie przyzwyczaili się, że jeżeli się kogoś opluwa, to ten się poddaje. [...] Zapraszam opluwających na korepetycje z wolności. Bo to, co robicie,

z wolnością nie ma nic wspólnego. Ma za to wszystko z nietolerancją, szantażem i dyktaturą” – zadeklarował, cokolwiek by mówić, odważnie Jedliński. Po jego oświadczeniu w ciągu dwóch dni ruszyła jednak lawina wydarzeń przypominająca prozę Huxleya i Orwella.

Najpierw otrzymaliśmy oświadczenie redakcji odcinającej się od prezesa. „Zastosowana przez nas forma męskosobowa (»aktywista«) w odniesieniu do Margot była nieintencjonalnym błędem, który w żadnym mieście nie definiuje stanowiska Radia Nowy Świat wobec wspomnianych osób i wydarzeń. [...] pragniemy podkreślić, że wpis Piotra Jedlińskiego jest jego prywatną opinią.

[...] Dziękujemy za Państwa wrażliwość, prosząc o wyrozumiałość w stosunku do nowo narodzonego radia” – mogliśmy przeczytać w stanowisku autorstwa m.in. Magdy Jethon. Następnie wobec presji słuchaczy, którzy zaczęli wycofywać swoje wpłaty w serwisie Patronite, dzięki któremu utrzymuje się całe medium, złamał się sam Jedliński. 9 sierpnia w mało przekonującej samokrytyce stwierdził, że chciał zachować niezależność radia, jednak „dalsze działania władzy wobec Margot, zwłaszcza osadzenie jej w areszcie dla mężczyzn, ze skandalicznym komentarzem jednego z polityków, istotnie zmieniło w jego oczach kontekst całej sprawy” i od teraz on również „jest po stronie przesładowanych”. Niestety, to domagającym się „unieważnienia” nie wystarczyło. Niespełna kilkanaście godzin później Jedliński został zwolniony decyzją zarządu, a na swoim Facebooku opublikował następujące ogłoszenie: „Szanowni, jako że opuściłem Radio Nowy Świat, szukam pracy. Gdyby ktoś, coś”. Tego samego dnia na antenie rozgłośni Jerzy Sosnowski poprowadził audycję o wolności słowa. „Co jej zagraża od zewnątrz i co jej zagraża od środka? Obawiamy się cenzury, to jasne; ale czy nieodpowiedzialne korzystanie z wolności słowa także niszczy możliwości społecznego porozumienia?” – pytał dziennikarz, który podpisał się pod stanowiskiem odcinającym się od swojego szefa. „Niesamowite. Ktoś z mediów poniósł konsekwencje za transfobiczny język. Na naszych oczach dokonuje się zmiana w dziennikarskiej świadomości” – ogłosiła sukces Agata Kowalska, była dziennikarka TOK FM. I tak to teraz będzie, proszę państwa, wyglądać. Zdziwieni? © © Wszelkie prawa zastrzeżone

E-recepta jest ślepa?



Łukasz Zboralski

Elektroniczne recepty okazały się świetnym narzędziem dla pacjentów i lekarzy. To bezwzględny sukces. Jednak państwo nie korzysta z tej ogromnej elektronicznej bazy danych do wychwytywania patologii w systemie. Dlaczego?

To miał być ogromny przełom – i naprawdę się nim okazał. Zamiast wypisywanych papierowych kartek, na których lekarze nanosili zwykle nierozszyfrowywalnym dla pacjentów stylem pisma nazwy leków i przystawiali pieczętki, od stycznia tego roku doktorzy wpisują nazwy leków w komputerze, a pacjent dostaje SMS lub e-mail (można też dostać wydruk informacyjny).

Po co to wszystko? Po to, by kupowanie leków było prostsze. Pacjent nie musi chować papierka w portfelu i np. martwić się po jego zagubieniu. E-recepta dostępna m.in. w smartfonie tak łatwo się nie zgubi. Poza tym, w razie usunięcia takich infor-

macji, bardzo szybko można je odzyskać – posiadacz Internetowego Konta Pacjenta (zakłada się je w rządowym serwisie www.pacjent.gov.pl) ma tam stały dostęp do swoich e-recept oraz ich historii.

Dalsza procedura jest równie prosta. Z taką e-receptą udajemy się do apteki, a aptekarz odczytuje kod leku, który zamierzamy kupić, i go nam sprzedaje. Możemy otrzymać zapisany pakiet różnych e-recept na różne leki, które można wykupić od razu (kod pakietu) albo po jednym leku i to w różnych aptekach – dzięki temu pacjenci mogą też wyszukiwać najtańsze leki w różnych miejscach.

Jeszcze większym ułatwieniem e-recepta jest dla pacjentów przewlekłe

chorych, którzy muszą stale przyjmować leki. Na elektronicznym dokumencie lekarz może „wypisać” zapas na 365 dni, a pacjent może te leki sukcesywnie kupować, choć to już będzie możliwe tylko w jednej, wybranej aptece. Według danych resortu zdrowia w pierwszych sześciu miesiącach tego roku z takiej recepty skorzystało ponad milion pacjentów (18 tys. lekarzy wystawiło ponad 4 mln e-recept do stosowania w ciągu całego roku kuracji).

PRAWIE WSZYSTKO JUŻ W SIECI

Chociaż przy wdrażaniu e-recepty część lekarzy stawiała opór – nie chcieli ich wypisywać np. starsi medycy, u kresu kariery, którzy nie potrafią dobrze posługiwać się komputerem i nowymi systemami – to ostatecznie prawie wszyscy wystawiają dziś recepty elektroniczne.

– Do dziś w Polsce wystawiono ponad 287 mln e-recept, z których skorzystało ponad 25 mln pacjentów. Udział wystawianych e-recept podlega ciągłemu trendowi wzrostowemu – w styczniu było to ok. 74 proc., ale już w miesiącach kwiecień–czerwiec udział wystawianych

e-recept wynosił ok. 92 proc. – informuje „Do Rzeczy” Justyna Maletka z Biura Komunikacji Ministerstwa Zdrowia.

Najwięcej e-recept, co specjalnie nie dziwi ze względu na pogarszający się z wiekiem stan zdrowia, wystawia się obecnie w grupie wiekowej 61–70 lat.

W obiegu pozostały jeszcze papierowe recepty, ale w szczególnych sytuacjach, m.in. na leki sprowadzane w ramach importu docelowego (sprowadzane dla konkretnego pacjenta przy wykorzystaniu specjalnej procedury), dla osób o nieustalonej tożsamości oraz recepty transgraniczne. Tradycyjną receptę lekarz może też wystawić podczas wizyty domowej u pacjenta, gdy nie będzie miał dostępu do Internetu albo gdy nastąpi awaria sieci internetowej. Papierową możliwość pozostawiono też wtedy, gdy lekarz wypisuje receptę dla samego siebie (recepta „pro auctore”) oraz gdy wystawia ją członkowi rodziny chorego (recepta „pro familiae”).

W ciągu pół roku od wprowadzenia obowiązku e-recept Polska doszłusowała do światowej czołówki państw, którym się to udało w takiej skali – Szwecji, Estonii czy Danii.

Ten sukces cyfryzacji Polacy doceniają. Jak wynika z badania ARC Rynek i Opinia zrealizowanego w kwietniu, aż 97 proc. Polaków deklaruje posiadanie Internetowego Konta Pacjenta. Z badania wynika też, że 84 proc. badanych pozytywnie ocenia e-receptę. Najbardziej cenią w niej m.in. to, że aby kontynuować leczenie, nie muszą już chodzić do przychodni po kolejną papierową receptę.

DLACZEGO NIC NIE WIDZIMY?

System e-recepta oprócz znacznego ułatwienia dla pacjentów jest zarazem ogromną bazą danych, która powinna pozwalać ludziom zarządzającym systemem opieki zdrowotnej na wyciąganie wniosków oraz dostrzeganie nieprawidłowości. Jak sprawdziło „Do Rzeczy”, w tym zakresie system właściwie nie jest dziś wykorzystywany.

Skoro tajemnicą poliszynela pozostaje fakt, że nadal działają przedstawiciele firm farmaceutycznych, którzy wywierają presję na lekarzy w związku z wypisywaniem określonych specyfików, to Ministerstwo Zdrowia po pół roku powinno zauważyć zmiany wynikające ze świadomości, że teraz ktoś na jednym ekranie może oglądać zestawienia leków i lekarzy, którzy je wypisują.

Tak się jednak nie stało. Pierwszy powód jest taki, że resort zdrowia nie może porównać nawet liczby wystawianych recept przez konkretnych lekarzy przed zmianą wprowadzającą e-receptę i po niej.

– Nie możemy porównywać danych do roku 2018, ponieważ dopiero od początku roku 2019 istnieje obowiązek sprawozdawania przez apteki dokumentu realizacji recepty, na podstawie którego możemy dokonywać analiz – tłumaczy Justyna Maletka z Ministerstwa Zdrowia.

Resort ma więc jedynie ogólną informację – że liczba recept wystawianych przez lekarzy w pierwszej połowie 2020 r. w porównaniu do pierwszej połowy 2019 r. wzrosła o 3,7 mln, a po wybuchu pandemii w kwietniu i maju spadła o ponad 8 mln w porównaniu z dwoma wcześniejszymi miesiącami. Taką informacja nie pozwala dostrzec niczego.

Po pół roku od wprowadzenia e-recept w Polsce ich udział w wystawianych przez lekarzy receptach wyniósł aż 92 proc.

Pytaliśmy więc dalej, czy Ministerstwo Zdrowia w ogóle odnotowało jakieś istotne różnice w skali wystawiania recept dotyczące pojedynczych lekarzy czy zakładów podstawowej opieki zdrowotnej. I w tym przypadku okazało się, że resort ma nawet specjalny zespół zajmujący się analizami przepływów finansowych w ochronie zdrowia. Ten zespół, powołany zarządzeniem ministra 8 października 2019 r., ma właśnie identyfikować nadużycia i nieprawidłowości oraz przekazywać te informacje organom ścigania. Problem w tym, że – jak sprawdziliśmy – informacje o liczbach wystawianych recept dla zespołu nie są żadną przydatną informacją.

– W ramach prac zespołu monitorowane są tego rodzaju trendy występujące w systemie. Przy czym zmiany w trendach (np. w liczbie wystawianych recept) same w sobie nie pozwalają wnioskować o wystąpieniu nieprawidłowości. Należy również zwrócić uwagę, że w przypadku pewnych grup leków występuje sezonowość w wystawianiu recept, podobnie jak w udzielaniu świadczeń (np. sezon grypowy). Ponadto dopiero w 2020 r. odnotowa-

no skokowe przestawienie się wystawców na recepty elektroniczne, jednak identyfikacja trendów w tym okresie jest trudna na skutek spadku wystawianych recept ogółem w związku z epidemią koronawirusa SARS-CoV-2 – tłumaczy Maletka.

Ministerstwo poinformowało nas jedynie, że proces informatyzacji jeszcze się nie zakończył, ale „można wykorzystywać dane” do analiz mogących np. wykrywać nieprawidłowości i monitorować zjawisko polipragmatyzacji – czyli stosowania wielu leków naraz, które mogą wchodzić ze sobą w niepożądane interakcje.

Próbowaliśmy więc pójść bardziej konkretnym tropem. Zainspirował nas wpis na Twitterze popularnego lekarza. Napisał on o sytuacji pacjenta, który przyjmując leki mogące służyć do odurzania się, dzwonił w sprawie wystawienia recepty, którą rzekomo zgubił. W przypadku e-recepty nie miał jednak szans na drugą kartkę papieru i ewentualnie drugą porcję leku, jeśli w sprawie zagubienia oszukiwał. Dostał po prostu po raz kolejny kod elektroniczny – ten sam co wcześniej.

Sprawdziliśmy więc, czy e-recepty uciły sytuacje, w których w ten sposób można było wyłudzać leki zawierające substancje odurzające. Tego w systemie nie widać, ponieważ z danych wynika, że liczba takich recept... nieznacznie wzrosła.

– Liczba recept na produkty lecznicze posiadające kategorię dostępności „Rpw” (preparaty zawierające środki odurzające lub substancje psychotropowe) nieznacznie wzrosła w pierwszej połowie 2020 r. w stosunku do obu poprzednich półroczy – podaje Justyna Maletka z Ministerstwa Zdrowia. – Wraz z każdym półroczem o 0,01 punktu procentowego wzrastał udział recept „Rpw” w stosunku do wszystkich wystawianych recept (z 0,11 w pierwszym półroczu 2019 r. do 0,13 w pierwszym półroczu roku 2020).

Być może okres działania elektronicznego systemu jest za krótki i pandemia dołożyła do tego wiele anomalii, ale na razie wygląda na to, że mimo dostępu do danych nie potrafimy w Polsce wykrywać nieprawidłowości w systemie opieki zdrowotnej. Rodzą się zatem pytania: Czy przeskoką jest wyłącznie nowość i jeszcze relatywnie mało dostępnych danych, czy po prostu nikt się tym na poważnie nie zajął albo może nie chce się zająć?



Łukasz Warzecha

Początkowe nadmierne restrykcje spowodowały lekceważenie rozsądnych ograniczeń. A totalniacy wśród lekarzy zakazują innym mieć własne zdanie na temat rzeczywistych zagrożeń COVID-19

Kiedy w marcu i kwietniu pisałem, że narzucanie Polakom drastycznych ograniczeń, zakazów i nakazów będzie mieć w dłuższym okresie zły skutek, wywoływało to wściekłość „maseczkowych faszystów”, czyli zwolenników karnego podporządkowywania się nawet najabsurdalniejszym regulacjom. Jak się teraz okazuje – miałem rację.

Tamten nieciekawcy czas to również okres polowań policji na obywateli, którzy ośmielili się wytknąć nos z domu „bez ważnego powodu” albo, o zgrozo, pojechać na rowerze w celach rekreacyjnych zamiast do pracy lub z pracy. Sypały się mandaty, ludzie odmawiali ich przyjmowania, więc policjanci zaczęli sporządzać notatki do sanepidu, na których podstawie ten nakładał drakońskie, niewspółmierne do winy kary administracyjne. Na procedurach, w ramach których się to odbywało, nie zostawił suchej nitki rzecznik praw obywatelskich, a wielu prawników wskazywało, że są wątpliwości nie tylko co do trybu wymierzania tych kar, lecz także ich podstaw prawnych.

Sprawy, w których obywatele odmówili przyjęcia zwykłego mandatu, dopiero trafiają do zamrożonych wcześniej sądów. Jeśli te uznają argumenty prawników, którzy wskazywali, że m.in. zakaz przemieszczania się był sprzeczny z konstytucją, bo wprowadzony rozporządzeniem, a nie ustawą, to obywatele będą wygrywać. Trudno jednak zapomnieć, na jaki stres i szkany narażono ludzi, wydając zbędne, represyjne przepisy.

ODBICIE PO RESTRYKCJACH

Przede wszystkim jednak już wówczas powinno być jasne – aczkolwiek dla decydentów najwyraźniej nie było – że jeżeli od razu nałożyć się na ludzi bardzo daleko idące ograniczenia, to po pierwsze nie da się ich długo utrzymać, a po



drugie po ich zniesieniu wahadło odbije w drugą stronę i nawet rozsądne nakazy będą lekceważone. Uczciwość nakazuje natomiast przyznać, że nie była to polska specyfika – taki mechanizm zadziałał wszędzie tam, gdzie postępowano podobnie: natychmiast po zniesieniu ograniczeń ludzie starali się „odzyskać” stracony czas, korzystając z odzyskanej swobody oraz wolności i zapominając o zachowaniu ostrożności.

Czerwcowy weekend z Bożym Ciałem był pierwszym momentem, gdy można było niemal normalnie korzystać z wypoczynku poza domem. Byłem wtedy w Ustroniu w Beskidzie Śląskim – przecież nie pierwszym celem wypraw urlopowych Polaków, a jednak w najpopularniejszych miejscach przewalały się tłumy. O ile w ośrodkach czasowych zasad przestrzegano, o tyle w sklepach, kawiarniach czy restauracjach panowała już wolnoamerykanka. Pal licho kupujących, ale sprzedawcy nosili maseczki pod nosem albo wcale. O rękawiczkach nikt nie słyszał. Nikt niczego nie próbował egzekwować. Co ciekawe, dwa tygodnie później nie odnotowaliśmy wcale drastycznego wzrostu liczby zakażeń. Choć trzeba pamiętać, że liczba ujawnia-

nych przypadków jest ściśle skorelowana z liczbą przeprowadzanych testów.

SKUTECZNE REGULACJE

Przepis na skuteczne prawo, zwłaszcza takie, które dotknie wielu obywateli, jest dość prosty. Należy wybrać jedną kwestię, dwie, góra trzy najważniejsze, na których nam zależy, i tylko tych pilnować. Sens tych reguł musi być jasny dla wszystkich i wszyscy muszą mieć przekonanie, że czemuś one faktycznie służą. Tak można było potraktować choćby kwestię maseczek – oczywiście jedynie tam, gdzie ich noszenie ma sens. Zamiast tego nawet w tej tak podstawowej sprawie najpierw minister zdrowia kręcił i kluczył, potem wprowadzono absurdalny nakaz noszenia ich nawet na pustej ulicy, następnie, gdy ten zniesiono, nie pilnowano już kompletnie pozostawionego w mocy nakazu zakrywania ust i twarzy w zamkniętych przestrzeniach.

Teraz zaś w „czerwonych” powiatach mamy powrót do absurdu, czyli maseczek na pustych ulicach. Zresztą wprowadzenie żółtych i czerwonych stref pokazuje kolejny raz, w jakim stopniu władza oderwana jest od realiów. Internet zalany jest przykładami absurdów wynikających z objęcia



FOT. ANDRZEJ GAWEL/PAP

zakazami części powiatów na Śląsku. Jako że powiaty tworzą tam jedną zwartą aglomerację, są nawet sytuacje, gdy granica pomiędzy strefą czerwoną a zieloną biegnie środkiem ulicy. Idąc jednym chodnikiem, powinno się mieć na twarzy maseczkę, ale po drugiej stronie ulicy już jej mieć nie trzeba. Jak takie prawo ktokolwiek może traktować serio? Zakazywanie działalności siłowni w czerwonej strefie ma zerowy sens, bo miłośnicy ćwiczeń mieszkający w tej strefie pojadą kilometr dalej do „zielonego” powiatu i tamtejszej siłowni. Przy odrobinie samozaparcia można też przenieść wesele ze strefy, gdzie ograniczona jest liczba gości, do takiej, gdzie nie jest. A goście i tak przyjeżdżają przecież z różnych miejsc w Polsce.

LOCKDOWNU NIE POWTÓRZA

Teraz, gdy liczba zakażeń bije rekordy, minister Łukasz Szumowski grozi, że jeśli Polacy nie będą się stosować do zaleceń i transmisja wirusa będzie się rozwijać, wówczas „cała Polska może się stać czerwoną strefą”. To częste groźby. Minister doskonale wie, że nie da się w tej sprawie wejść dwa razy do tej samej rzeki. Zamrożenie gospodarki w ogóle odpada, ale nie ma też co marzyć o tym, by ludzie

podporządkowali się ponownie reżimowi takiemu jak w kwietniu. To wtedy szansa na rozsądne podejście została zmarnowana – raz na zawsze.

Wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem nie mają zasady rządzące wysyłaniem ludzi na kwarantannę. W praktyce może się ona nie skończyć na dwóch tygodniach odosobnienia, bo jeśli okaże się, że kolejno zakażają się osoby z rodziny, to izolacja może trwać i ponad miesiąc. Dla osób bez etatu, przedstawicieli wolnych zawodów, małych przedsiębiorców to może być dramat. Ludzie to wiedzą, więc nie sposób oczekiwać, że będą odpowiadać na apele sanepidu, aby zgłaszali się, jeśli tylko gdzieś przelotnie natknęli się na osobę zakażoną.

W tej chwili na kwarantannie jest w Polsce niemal 100 tys. osób. Wkrótce może to być wielokrotnie więcej. Taki może być skutek rozporządzenia ministra zdrowia z kwietnia w sprawie chorób zakaźnych powodujących powstanie obowiązku hospitalizacji, izolacji lub izolacji w warunkach domowych oraz obowiązku kwarantanny lub nadzoru epidemiologicznego w zbiegu z definicją przypadku COVID-19 na potrzeby nadzoru nad zakażeniami ludzi, przygotowaną przez generalnego inspektora sanitarnego. W rozporządzeniu stwierdzono: „Obowiązkowej izolacji lub izolacji w warunkach domowych podlegają osoby, u których stwierdzono zakażenie wywołane wirusem SARS-CoV-2 lub zachorowanie na chorobę wywołaną wirusem SARS-CoV-2 (COVID-19), lub podejrzenie zakażenia lub zachorowania, wobec których lekarz lub felczer nie zastosował obowiązkowej hospitalizacji [podkr. Ł.W.]”. Tymczasem wspomniana definicja mówi, że kryteria kliniczne przypadku COVID-19 spełnia każda osoba, u której wystąpił co najmniej jeden z objawów: kaszel, gorączka, duszność, utrata węchu o nagłym początku, utrata lub zaburzenia smaku o nagłym początku. Oznacza to, że wystarczy, żebyśmy pojawili się u lekarza z gorączką lub kaszlem (nie musi to zachodzić łącznie), a już możemy zostać skierowani na kwarantannę. Proszę sobie wyobrazić, co działałoby się w sezonie zwykłej grypy, gdyby lekarze postanowili tych zasad przestrzegać co do litery: setki tysięcy ludzi wyładowałyby w izolacji. Zafundowałibyśmy sobie drugi lockdown.

WĄSKIE SPOJRZENIE MEDYKÓW

O absurdach związanych z tak wyglądającą walką z epidemią wielu

lekarzy mówi po cichu. Tylko nieliczni odważają się mówić głośno i – jak się okazuje – mogą za to zapłacić cenę. To przydarzyło się dr. Pawłowi Basiukiewiczowi, elektrokardiologowi, który o swoich wątpliwościach co do strategii walki z epidemią pisał otwarcie na Twitterze. Nie podawał w wątpliwość ani tego, że mamy do czynienia z epidemią, ani tego, że choroba może mieć u niektórych ciężki przebieg. Wątpliwości dotyczyły skali zagrożenia i podejmowanych w związku z tym środków. I oto przy aplauzie niektórych innych obecnych na Twitterze lekarzy dr Basiukiewicz został zgłoszony do Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej za rzekome podważanie zaufania do zawodu lekarza.

Skąd taka reakcja? Wiele może tu wyjaśniać podejście Łukasza Szumowskiego, także lekarza. Większość medyków nie jest po prostu w stanie ogarnąć skomplikowanej rzeczywistości społecznej i gospodarczej. Widzą tylko jeden cel: walkę z chorobą za wszelką cenę, nie licząc się z kosztami i ze skutkami pobocznymi.

Na koniec aktualna statystyka: spośród aktywnych w Polsce ok. 13,7 tys. przypadków w stanie krytycznym jest dzisiaj ok. 70 osób. Według oficjalnych statystyk na COVID-19 zmarło dotychczas w naszym kraju nieco ponad 1,8 tys. osób. Tymczasem na sepsę (samą w sobie niebędącą chorobą, lecz zespołem objawów) rocznie umiera w naszym kraju ok. 25 tys. osób. Czy zatem naprawdę pytanie o proporcje i realność zagrożenia jest wydumane?

Jak w twitterowej dyskusji ze mną i z dr. Basiukiewiczem oznajmił inny lekarz, „Bartek” Fijałek (tak przedstawia się na Twitterze), jako uzasadnienie zarzutu wobec dr. Basiukiewicza wystarczy „lekceważenie lub umniejszanie roli epidemii COVID-19 na terytorium Polski, przez co niemedycy mogą mieć błędne przekonanie, że jej nie ma/jest niegroźna. Porównywanie śmiertelności COVID-19 ze śmiertelnością powodowaną przez grypę”. Innymi słowy – totalniacy wśród lekarzy chcą zakazać swoim kolegom dyskusji o tym, na ile naprawdę COVID-19 nam zagraża, oraz jakie środki przeciw epidemii rozsądne jest podejmować. Policja myśli działa, jak widać, w różnych dziedzinach.



Agnieszka Niewińska

Obok Andrzeja Dudy pojawił się drugi prezydent – tyle że in spe. Został nim filozof prof. Włodzimierz J. Korab-Karpowicz. Do wyborów doprowadził Wojciech Edward Leszczyński, który utrzymuje, że cztery lata temu został królem

Kiedy Andrzej Duda szykował się do uroczystości zaprzysiężenia, w sieci pojawiło się prezydenckie orędzie. Nie nagrano go w pałacu prezydenckim ani nawet w studiu TVP, a przemawiającym nie był Andrzej Duda, ale prof. Włodzimierz Julian Korab-Karpowicz, który rodaków pozdrowiał z „królewskiego miasta Gdańska”. W Gdańsku-Oliwie został wybrany na „prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego” przez grupę monarchistów skupionych wokół Wojciecha Edwarda Leszczyńskiego. Tytułuje się on królem Polski-Lehii i występuje jako Leh XI Wojciech Edward I.

PDF NOMINACYJNY

Profesor Korab-Karpowicz jest filozofem polityki, wykładowcą Uniwersytetu Opolskiego. Doktoryzował się na Uniwersytecie Oksfordzkim, habilitację uzyskał na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wykładał na wielu zagranicznych uczelniach – m.in. w Ankarze, Pradze, Teksasie czy Dubaju. W latach 1991–1992 był wiceprezydentem Gdańska.

Po tym, jak jego debiutanckie orędzie prezydenckie opisała „Rzeczpospolita”, stał się bohaterem wielu mediów, które okrzyknęły go „samozwańcem” prezydentem. Z tym jednak profesorem się nie zgadza, bo – jak mówi – nie ogłosił się prezydentem, tylko został wybrany „w tradycyjnej procedurze wyborczej” i to z grona bagatela 66 kandydatów. Otrzymał akt nominacyjny, który w sieci można znaleźć w pliku PDF.

Procedura była trzyetapowa. W ostatnim etapie prof. Korab-Karpowicz uzyskał 88,8 proc. głosów elektorckich. – Zgodziłem się przyjmując tę funkcję, ale jedynie pod warunkiem, że będzie ona honorowa. Jestem prezydentem in spe, czyli oczekującym, a nie sprawującym urząd. Nie podważam prezydentury An-

Z lewej Wojciech Edward Leszczyński tytułujący się królem Polski-Lehii, z prawej prof. Włodzimierz Julian Korab-Karpowicz, wybrany przez grupę monarchistów na prezydenta in spe. FOT. ZASOBY FUNDACJI IM. KRÓLA STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO

Królewski prezydent

drzeja Dudy, ale godząc się na to wyróżnienie, wyrażam poparcie dla inicjatywy monarchistycznej w Polsce – tłumaczy nam prof. Korab-Karpowicz.

Andrzej Duda w tej „tradycyjnej procedurze wyborczej” był zresztą jednym z kontrkandydatów prof. Korab-Karpowicza, podobnie jak kilku innych profesorów, ale nie zyskał szerokiego poparcia elektorów. – Nie zabiegałem o godność prezydencką. Początkowo nawet nie wiedziałem, że jestem na liście kandydatów, którą przygotował pan Wojciech Leszczyński. Znalazło się na niej wiele osób publicznych zarówno tych bardziej znanych, jak i niesystemowych, o których działalność mało kto wie. Jestem od lat osobą aktywną. Podjąłem m.in. próbę kandydowania w poprzednich wyborach prezydenckich. Ostatnio napisałem wiele bardzo popularnych artykułów na temat koronawirusa [publikowanych m.in. na dorzeczy.pl – przyp. red.], pewnie dlatego znalazłem się na liście pana Leszczyńskiego – opowiada nam prezydent in spe i dodaje, że pojawił się w Gdańsku-Oliwie podczas głosowania elektorów jako jeden z nielicznych kandydatów finalistów. – Specjalnie się nie reklamowałem i wręcz proponowałem, że jestem gotów zrezygnować z ubiegania się o prezydenturę na rzecz prof. Mirosława Piotrowskiego, ale moja obecność i wypowiedzi miały praw-

dopodobnie wpływ na elektorów – mówi. I zaznacza, że choć po nagłośnieniu jego wyboru niektóre media potraktowały go nieprzychylnie, to spotkał się też z wieloma wyrazami sympatii. – W ciągu tygodnia moją stronę na Facebooku polubiło 100 nowych osób. Dostałem też wiadomości z wyrazami skrytego poparcia dla idei monarchicznych – w tym od redaktorów niektórych głównych gazet – zapewnia. Jak mówi, polska demokracja jest w coraz gorszej kondycji. – Obserwujemy zacięte walki między partiami, kłótnie polityczne i narastający radykalizm. Musimy pomyśleć nad tym, gdzie popełniliśmy błędy, zastanowić się nad alternatywą, jaką może być monarchia konstytucyjna w konwencji demokracji – mówi prof. Korab-Karpowicz. I dodaje, że jako prezydent in spe podjął się zadania promowania idei monarchicznych i budowania wokół nich zgody społecznej.

TELEFON DO KRÓLA

Król Leszczyński, który stoi za wyborami prezydenta Korab-Karpowicza, okazuje się monarchą nader dostępnym. Jego numer telefonu bez problemu można znaleźć w sieci. Nie odbierają go dworzanie, ale Jego Wysokość we własnej osobie. – Dawniej poddani przez całe życie nie widzieli króla na własne oczy, ale wiedzieli, że jeśli będą mieli problem, to mogą się do niego zwrócić o pomoc. Gdyby król dziś

nie odbierał telefonu lub nie oddzwonił, to by znaczyło, że jest nic niewart. Ja jestem na służbie przez cały czas, o godz. 21 też odbiorę telefon. Proszę sprawdzić, czy tak łatwo dodzwoni się pani do prezydenta Andrzeja Dudy – mówi Wojciech Edward Leszczyński.

Nie jest potomkiem Stanisława Leszczyńskiego, który na polskim tronie zasiadał dwukrotnie, ale ma z nim dalekiego wspólnego przodka. – Genealogicznego probanta. Jesteśmy dalekim kuzynostwem. Dynastyczność to nie tylko zstępni, lecz także wstępni – precyzuje. Zaznacza, że z królewskiej linii Stanisława pochodzi także Maria Leszczyńska, najdłużej panująca królowa Francji, żona Ludwika XV, babka zgilotynowanego Ludwika XVI.

Leszczyński od 2014 r. wskrzesza ideę sejmu walnego. Zwołał sejm walny w Niepołomicach, a w 2016 r. w Gdańsku-Oliwie został obrany królem polski elektem i panuje jako Leh XI Wojciech Edward I. Prowadzi metrykę koronną. Wygłasza oręddzia, wydaje edykty, odezwy, uniwersały. Wszystko można śledzić w Internecie, na królewskich stronach www.królpolski.org.pl lub www.metrykakoronna.org.pl. – Nie wyrывałem się do efektywnej władzy. To sejm walny elekcyjny na tronie nie chciał ani dynastii Sobieskich, ani dynastii Wiśniowieckich, tylko właśnie dynastię Leszczyńskich – mówi monarcha.

Władze III RP Leszczyński uważa za... okupantów. „Chcielibyśmy uniknąć rewolucji i dlatego apelujemy do okupanta, czyli do przedstawicieli III RP, od prezydenta w dół: przekazcie nam, jako legalnym reprezentantom narodu polskiego, władzę zwierzchnią. Możecie liczyć na godne traktowanie i nieprześladowanie. W przypadku przekazania nam władzy w inny sposób niż w sposób pokojowy na powyższe gwarancje nie możecie liczyć!” – pisał w 2016 r. w uniwersale królewskim. Wersję skróconą „do wiadomości Poddanych” zamieścił na Facebooku.

W tym samym wpisie informuje, że rada królewska zajmie się m.in. okupacją ziem Królestwa Polskiego przez Rosję, Litwę, Białoruś, Ukrainę, Niemcy. Ma też zamknąć temat... drugiej wojny światowej, zwołując jej uczestników „w sprawie wypracowania i podpisania Traktatów Pokojowych – Konwencji Międzynarodowej kończącej drugą wojnę światową”. – Traktuję swoją działalność zupełnie poważnie. To nie jest żadne hobby, żaden ekscentryzm. Mahatmę Ghandiego

też uważano za ekscentryka, tylko po 40 latach okazało się, że ten ekscentryk wygrał, zdekolonizował Indie. Ja wierzę w Polskę i w Królestwo Polskie – mówi nam Leszczyński. Jego celem jest przekonanie Polaków do chrześcijańskiej monarchii parlamentarnej. Chce m.in. Senatu jako królewskiej izby wyższej parlamentu, kasaty partii politycznych.

Dlaczego zdecydował się nominować prof. Korab-Karpowicza na prezydenta in spe? – Marszałek Sejmu na Wiejskiej nie ogłosiła, w przewidzianym w konstytucji terminie, wyborów prezydenckich, co oznacza, że wybory były niekonstytucyjne, czyli de facto nastąpiło opróżnienie urzędu prezydenta i quasi-wygaszenie III RP. Co by było, gdyby Sąd Najwyższy 3 sierpnia uznał wybory prezydenckie za nieważne? Jestem przekonany, że wówczas Polska została by zajęta przez obce państwo, tak jak to było w 1939 r. z wejściem Sowietów do Polski. Potrzebujemy też prezydenta in spe w razie sytuacji nadzwyczajnej. Myśli pani, że w razie wojny obecnie rządzący najważniejsi politycy zostaliby w kraju? Ja jestem przekonany, że nie – mówi. I zaznacza, że sam nie ma paszportu i z kraju nie wyjeżdża. – Król od czasów Henryka Walezego może opuścić kraj jedynie za zgodą sejmu walnego – wyjaśnia.

Na jakiej podstawie wraz z sejmem walnym wybrał prezydenta? – A na jakiej podstawie Piłsudski ogłosił Polskę republiką? Polacy nigdy nie zdecydowali o końcu monarchii, nie było także u nas rewolucji jak we Francji – odpowiada Leszczyński. I dodaje, że wybory prezydenta in spe nie były spontaniczne, bo dwukrotnie poprzez potrójne wici zwoływał zjazdy elit narodu polskiego, a na końcu zwołał przez potrójne wici sejm walny nominacyjny, więc ten kto, był zainteresowany, mógł się na nim pojawić. – Ja mogę zapytać, jakim prawem panowie Jarosław Kaczyński i Jarosław Gowin ogłosili 6 maja, że wyborów 10 maja nie będzie? Elity polityczne III RP nie zabezpieczyły ciągłości państwa, więc ja musiałem zrobić krok w tym kierunku. To był mój obowiązek!

– Nie wszystkie działania pana Leszczyńskiego muszą się nam podobać, ale nikt nie zrobił tyle co on dla popularyzowania idei monarchicznej. Powołuje się ponadto na swoje korzenie rodzinne. Pytałem go o edykty, które publikuje. Służą one temu, by pokazać, jak mogłaby wyglądać działalność legislacyjna monarchii konstytucyjnej. To swego rodzaju

ćwiczenie przedmonarchiczne – wyjaśnia prof. Korab-Karpowicz.

KSIEŻNA POZYWA ZA WÓDKĘ

Profesor Jacek Bartyzel, związany ze środowiskiem monarchistycznym filozof polityki, wielokrotnie wyjaśniał, że w Polsce restaurować monarchii się nie da, bo nie mamy prawowitych dziedziców tronu w związku z tym, że przed rozbiorami mieliśmy monarchię elekcyjną, a nie dziedziczną. Mimo to chętnych do ćwiczeń z restaurowania monarchii znaleźlibyśmy więcej.

Ponad dekadę temu popularnym dla mediów tematem był Marek Światopełk Zawadzki, który przedstawiał się jako „jedyne legalny potomek rodu królewskiego książę Marek Światopełk Zawadzki, po Królu Polski Bolesławie Chrobrym, jego córce, która była żoną Wielkiego Kniazia Rusi Kijowskiej – Światopełka”. Jako bywalec Marszu Niepodległości wyróżniał się, maszerując w purpurowym płaszczu z gronostajem. Bardziej znany był jednak z działalności psychologicznej. Powołał do życia Polskie Królewskie Słowiańskie Piastowskie Towarzystwo Psychologiczne i twierdził, że wymyśloną przez siebie metodą (którą nazwał chirurgią głębinową) wyleczy z depresji, ze schizofrenii, przeprowadzi terapię homoseksualistów i biseksualistów.

Do polskiego tronu pretenduje mieszkająca w Niemczech Karin Sobieski zu Schwarzenberg. Twierdzi, że jest krewną Janą III Sobieskiego w prostej linii. W 2001 r. pozwała producenta wódki Jan III Sobieski, bo – jak twierdziła – bez jej zgody wykorzystywano nazwisko jej przodka. Sprawę przegrała. Sąd dopatrywał się dziur w drzewie genealogicznym. Uznał także, że nawet gdyby Karin Sobieski udało się udowodnić pokrewieństwo z królem Sobieskim, to i tak dozwolone jest używanie nazwisk postaci historycznych.

Mamy też dwóch regentów, czyli osoby sprawujące władzę w imieniu monarchy, gdy ten nie może wykonywać swoich obowiązków lub w przypadku bezkrólewia. Jednym z nich jest Leszek Wierchowski, przywódca Polskiego Ruchu Monarchistycznego. Drugim Aleksander Podolski z Unii Polskich Ugrupowań Monarchistycznych. Końca ich regencji na razie nie widać.

Chociaż pretendentów nie brakuje, to żadnej poważnej koronacji jak dotąd nie było. Nawet zwołujący sejmy i wydający edykty król Leh XI Wojciech Edward I nie został jeszcze koronowany. Planuje to dopiero na 2025 r.

Po wydrukowaniu w „Nowej Fantastyce” (7/2020) opowiadania „Dalian, będziesz ćwiartowany!” – „pastiszu o wojach i rycerzach na koniach, ścigających z pochodniami ostatniego światłego geja” – na autora opowiadania Jacka Komudę wylała się fala hejtu środowisk LGBT. Redakcja „NF” uległa jej i przeprosiła za publikację. A my poniżej prezentujemy pierwszą część tego opowiadania. Część drugą opublikujemy za tydzień



Jacek Komuda

Dalian, będziesz ćwiartowany!

Wizytę we wsi zaczęli od zagrody włodarza. Jaksa był już tym wszystkim bardziej znudzony niż zmęczony.

Ileż to razy powtarzało się wszystko! Wjazd do wioszczyzny albo przysiółka, ujadanie ogarów gończych, które rzucały się do wiejskich kundli. W tle walenie w drzwi chałup i zmęczone głosy pacholków wojskiego pozbawiających miejscowych ostatnich chwil snu. I tylko zmęczenie było coraz większe. Konie szły wolniej i wolniej, coraz niżej zwieszały łby.

– Wstawaaaaa! – krzyczał dziesiętnik, ponury chłop w szyszaku z szerokim nosalem. – Władza przyszła!

Znów zabrzmiał róg; głos wwiercający się w uszy, przenikający ponurym chłodem zmęczone głowy. Wtedy z piskiem i skrzypieniem drewnianych biegunów otwartą się drzwi. Nieśpiesznie wyszedł z nich rozczochrany chłop w burce, trący niedospane oczy, odrzucający do góry skołtunione włosy. Kiedy przejrzał, aż podskoczył; zobaczył ludzi mrocznych jak pogański bór, śmierdzących błotem i końskim potem – swądem wielodniowej pogoni. Złe, nieogolone oblicza, ćwiekowane skórnie, kolczugi, topory i miecze przy kulbakach.

Z chałupy o szparach polepionych gliną, pomalowanych w białe pasy wypadała cała rodzina. Starszy syn, młodszy; potem sporo dziecięcego drobiazgu – bosego, w koszulach – postrzępionych i umazanych ziemią. Na końcu trzy krępe, włochate krowy gnane przez starego, pokrzywionego pastucha. Widać włodarz zapędzał bydło na noc do chaty, zamiast trzymać w lesie. Dla ciepła i ochrony przez wilkami. Szło nowe – to był swarnijski obyczaj, nie lédzicki.

Dzieciaki nic sobie nie robiły z obecności zbrojnych, Jaksy i wojskiego – wąsatego i grubego, jak nakazywała waga urzędu. Zaczęły skakać do kałuż, a starsze – wygrzewać zziębnięte nogi w krowich parujących plackach. Uciekły z piskiem pod ścianę, kiedy spomiedzy końskich nóg wyskoczyły gończe ogary. Ledwie się wlokły trzymane na rzemieniach przez psiarczyków; wyczerpanych, że aż śniali się ze zmęczenia.

– Ścigamy Daliana, zbiega – powiedział wojski. – Wysoki, hardy, ma wielce plugawy wzrok. Uszedł z Nowej Gnieźdźnicy, wymyka się nam już trzy dni.

– Nikogo nie widzieliśmy, panie. – Zgiął kark włodarz.

– Ech ty, szutnik! A prawo śladu znasz, chłopie? – Wojski zdzielił włodarza w ramię rękojeścią nahaja. – Straciliśmy trop na dwa stajania przed Żernicą. Ot, tu masz znak. – Położył rękę na łańcuchu z pozłocistym dębem Lendii. – Zajmujemy cię, chłopie, do pościgu!

– Dalian psi syn, plugawy odmieniec. Mężołózka, gwałcieł Praw Praojca i ludzkich – rzucił z tyłu dziesiętnik. – Jest święta powinnością każdego jedynowiercy ścigać takiego syna.

– Chościak, nie przywódź ty mnie do złego! – wtórował mu wojski. – Wszyscy wiedzą, że masz psy gończe! Wszyscy stąd aż po Dunę gadają, że nie ma lepszego w tropieniu zwierzyny niż ty. Wyprowadzaj je, niech szukają tropu! Trzy dni za nim gonimy!

– Tak, tak, panie. – Kiwał głową włodarz. – Ja wszystko pojmuję. Wszak mam swój rozum, ale nijak nie mogę z wami. Dziecko mam chore – Regna mała leży, w gorączce, w malignie. Jak ją zostawić? No powiedzcie sami, jak mam zostawić niebogę, panie?

Jaksa stuknął konia ostróżkami, a szpakowaty wierzchowiec skoczył do przodu. Jeździec uchwycił Chościaka za tunikę pod szyją i... podniósł; po prostu podniósł w górę, aż jego

rumak parsknął, rzucił głowę, kopyta rozjechały się w błocie.

Wtedy rycerz odrzucił chłopca, aż wałnął karkiem w strzechę chaty i bezradnie opadł na ziemię, klapnął w błocko.

– Słuchaj mnie do jasnej, ciężkiej murwy; kiedy mówię to ja – Jaksa Kaganobójca. Pójdiesz sam albo popędzę cię nahajem! Nie starczy nahaj, każę cię przybić bretnalami do drzwi twojej śmierdzącej chyży i wyliczyć pięćdziesiąt odlewanych batów. Widziałeś kiedyś, jak wyglądają po tym plecy? Mogę cię podpowiedzieć – jakbyś żywcem wierzka odarł ze skóry!

Chościak chyba się domyślał, bo zerwał się nagle i zniknął za rogiem, po drodze zagarniając dzieci i popychając w stronę otwartych, parujących drzwi do chałupy.

– Nie tak ostro, panie z Drużycy – zaoponował dziesiętnik. – To wolny człowiek.

– Czas goni; ciągle go mamy za mało, panie Strasz. Chcecie sami szukać Daliana?

Wojski przygryzł wąsa, siedział na koniu zły, wściekli byli tu wszyscy; złość aż kipiała; mocniejsza niż zmęczenie. Konie, choć mokre, spienione pod uzdami i pasami popręgów wierzciły się.

Z podwórka biegł Chościak. W rękę trzymał smycz psów – pięknie ukształtowanych przez Praojca. Wysmukłe gończe; brązowa sierść, o wiele czystsze od dzieci włodarza, lekko podpalane na nogach. Widząc ogary przy koniach, zaczęły szarpać się i szczekać donośnym głosem.

– Zabierzcie psy, Płonka! – rozkazał wojski. – Chościak – tropcie, łapcie ślad.

Wyciągnął z juków kawał lnianej koszuli pozostawiony przez uciekiniera na krzaku głogu lub tarniny. Chościak podstawił go psom pod nosy, a kiedy powąchały, poluzował rzemienie.

I psy ruszyły – z nosami przy ziemi, wolno; potem skokiem. Ich pan popędził za nimi, niczym jeleń, długim, miękkim skokiem wytrawnego tropiciela.

– Złapały trop! – wycharczał Jaksa. – Za nim!

W jednej chwili ludzie żupana zaczęli zawracać konie. Ruszyli kłusem, potem wolniejszym skokiem. Za wsią, kiedy skończyło się błoto, poszli, aż zadudniła ziemia, z chrapaniem koni, łoskotem podków. Pogoń szła czwarty dzień!

2.

Gdy pogoń poszła i przeszła, kiedy ucichły kopyta i szczekanie psów, korzenie na dole starego dębu za wsią zadrgały, a potem rozstąpiły się niechętnie. Tak samo wolno cofały się pnącza obrastające pień uschniętego drzewa gęstą siatką brązowych ostrych wici. Odsłaniały dziuplę pełną próchna. Wygramolił się z niej szczupły mężczyzna, z włosami odrzuconymi z czoła. Przedwcześnie posiwiły, o pogar-

dliwym spojrzeniu bystrych oczu. Trójkątna, wydłużona gęba, jakaś taka niemrawa; ale po wyjściu z dziupli wyglądał, jakby go wyciągnęli spod radła; cały w błocie – płaszcz i watowana, niegdyś biała tunika.

Rozejrzał się, czy prześladowcy nie wracają. Kolejny raz uszedł spod haka, topora i szubienicy. Z rąk wąsatych Jakuszów i Grzysław; fanatycznego, ciemnego jak zimowa noc tłumy.

Znowu pomogły dudki Wołosta; ścisnął je w rękę, szare jak kawałek korzenia, rozdwojone. Ich czarodziejskie brzmienia zmieniały drzewa i chrusty, sprawiały, że dzikie chaszcze otwierały się na przyjęcie uciekiniera jak matczyne ramiona. A umysły goniących zwalniały, nie dostrzegały go, pozwalając umknąć.

Niestety moc dudek przemijała. Były już prawie uschłe, martwe jak kikut starej wierzby. Kilka chwil temu ledwie dobywał z nich ostatnich siły, wymawiając wersety zaklęcia:

*Ciemnosmreczyński stary lesie
Już cię śniegowy obiegł szron
Szumzę z zawiewy, kołyszące się
Jak wielki, dźwięczny, srebrny dzwon...
Otwórz się, przyjmij mnie...*

Nie cierpiał tych strof; zgrzytały w ustach jak złamany ząb. Niczym rzeczne kamyki były obłe, otarte, wyświechtane przez ciągle powtarzanie. Zużyte jak wszystko w tym parszywym, zacofanym, zabitym dechami kraju; w Lendii zwącej się Starszą lub Wielką.

Szybko wszedł w gęstwinę buków po południowej stronie traktu, tam, gdzie zbocze góry Graziowej opadało ku dolinom otwierającym się niczym bruzdy uczynione pazurami olbrzymich stołomów. Oby dalej od gościńca! Spoglądał na obrzydliwy, błotnisty, brudny jak wszystko tu krajobraz. Nad głową szczerze niebo w kolorze pasji, jak zwykle w Lendii o tej porze roku, kiedy zima ustępowała miejsca wiośnie, lecz na drzewach jeszcze nie zazieleniło się pierwsze runo liści i zarośli. Szare góry, na zboczach paskudne wsie pełne śmierdzących chatynek jak czyraki wyrastające ze skóry łajdaka lub żebraka.

Lendia, błogosławione w swoim i tylko mniemaniu królestwo; mieszanina krowiego smrodu i ludzkiego łajna, wedyjskiego kadzidla i błota. Jedni nauczyli się oddychać tym swądem, ba – wręcz od niego rozkwitali, drudzy się dusili – na szczęście Dalian należał do tych drugich.

Ścigali go... za nic. Za miłość, piękniejszą i wzniolejszą niż Prawa Praojca wykute na pustych niczym ślepe źrenice tablicach, straszących w każdym zbiorze i na cmentarnych steblach. Gonili śmierdzący, z toporami w dłoniach, na koniach, których się bał i których odór

przyprawiał go o mdłości. Zgniłki, podlińce, śmierdzący, brudni, ubłoceni, jak żywe trupy, które właśnie wyszły z grobu. A najgorsze, że zarazem: i niebezpieczni, i śmieszni. Cała Taurydka z nich się śmiała, Swarnia, a może nawet Dukla. Żałośni, zakłamanii Łędzice, którzy myśleli, że złapali Weddę w garść, bo udało im się przetrwać Wielką Hordę Hungurów.

I wtedy, w środku rozmyślań, stracił równowagę, pojechał po błotnistym zboczu w dół, na siedzeniu. Zsunął się może ze trzydzieści stóp w dół, zatrzymując się w chaszczech na skraju niewielkiej łączki. Jęknął, kiedy ostry sęk rozdarł mu tunikę na boku; tak widać chciał ten nieprzejezdny Praojciec. Jeszcze mu było mało.

Na szczęście nie wypuścił z rąk dudek. Żywe czy martwe; jedyna pamiątka po Pyszcuku. Dał mu je przed rozstaniem, jakby przeczuwał, że kiedy wyjedzie (za jakże pilną sprawą, której wyjawić nie chciał, jak to między kochankami bywa), do ich domostwa w Nowej Gnieźdźcy wedrą się uzbrojeni i wściekli Łędzicy. Chorzy na złość, agresji, mającą w tym zacofanym królestwie wcale nie oblicze wieśniaka, ale rycerza, pątnika, knezia, księcia, króla! Ci, którzy cytowali Wyznania Jessy nawołujące do miłosierdzia, jednocześnie uznawali, że pogoń za takim jak Dalian to akt wiary, godny uznania i naśladowania. Rycerze... Chujcerze, śmierdzący żelazem, koźmi i krwią poddanych.

Usłyszał trzask i zaraz potem zobaczył postępującego w jego stronę chudego chłopaka o bosych, czarnych od górskiej ziemi stopach. W rękę trzymał topór; w gęstwinie zapewne czaili się pozostali.

3.

Psy równie szybko złapały trop, jak go zgubiły, za lasem pełnym wyniosłych, szarawych buków. Niuchały z pyskami przy ziemi, krążyły w kółko i w kółko. Widać było, że z tego chyba nic nie będzie.

– Jedziemy do karczmy – wystękał wojski.

– Zgubiliśmy trop.

– Nie ma czasu.

– Podkarmimy konie. I siebie. Dłużej nie mogę.

Jaksa zacisnął pięści, rozglądał się gniewny, ale wszyscy spuszczały głowy, unikali jego wzroku. Dokoła mokre, zwieszające głowy konie, jeźdźcy, którym oczy zamykały się same. Drzemiały w kulbace dziesiętnik.

– Viggo – rzekł do swojego pachołka, niewolnego Skandinga w hełmie z kolczym czepek i obręczą niewolnego na ramieniu – weź dwóch ludzi ze wsi, obejdźcie górę bezdrożami. Wilkomir! – Skinął na czarnowłosego pachołka. – Ty zrób to samo, ale od wschodu, cofnijcie się nawet do samej

■ wioski. Szukajcie śladu z boków traktu. Jakby co – dajcie znać do Utraty!

Zjechali do karczmy wybiłą drogą. Chałupa widoczna była jak na dłoni, na małej łączce, ściany z chrustu polepionego gliną ochlapane były wapnem. Zajeżdżali przed wejście, z którego zaraz wyskoczyli bosi, umorusani słudzy. Odbierali wodze koni, które tupały, droczyły się, wyciągały pyski ku korytom przy studni. Nie dali im wody. Jeszcze nie teraz.

Jaksa nie wszedł do Utraty; było tam gorąco, okna zaopatrzone w grube błony zabito bretnalami dla ciepła. I nawet na zewnątrz czuł swąd przypalanej kaszy z gara. Dlatego przysiadł przy stole, podobnie wojski i dziesiętnik. Chłopak karczmarza przyniósł glinianą miszkę, lipowe łyżki, a w szerokim dzbanie kwasówkę z kapusty i kaszy. Nalał z pluskiem; potem jedli powoli, kolejno – z jednej miski, najpierw wojski, potem Jaksa, na końcu ponury dziesiętnik Płonka. Chościak tylko patrzył na nich, bo stał nieopodal z psami, karmił je kawałkami placka, głąskając, zagadywał.

– Właściwie – odezwał się niepytany – wielmożny panie, to chyba za nic tak gonicie bez tchu za tym Dalianem.

– Jak za nic? – mruknął wojski z pełną gębą. – Skoro winien jest plugawego obcowania z mężczyzną. Rzadka to i pohańska rzecz w dzisiejszych czasach. Może to on ostatni odmieniec w Lendii Starszej.

– Daj nam, Praojcze, by tak było!

– A mi tam nic do tego – stwierdził wódarz. – Niby ludzi nie mordować, a że był... niewiastą dla innego, to jego sprawa.

– Nam też nic by nie było – tym razem odezwał się Płonka. – Gdyby sobie płodził niecnotę gdzieś po cichu, po pohańsku, ale on i jego... jego – nie znalazł słów – gach? – powiedział przekrwionym, pytającym spojrzeniem po obecnych. – Przecie nie mąż! – Roześmiał się. – Oni kłuli tym w oczy, więc ludzie nie zdzierżyli. Zwłaszcza że to Nowa Gnieździca, a nie jakieś zadupie.

– Powiedział Jessa – zawyrokował wojski.

– Jedna jest dla męża niewiasta. Mąż żony głową – żona męża głowy koroną. Mąż jest dla żony, żona zaś dla niego, odwieczne prawo Weddy; kto by inaczej czynił; do otchłani w głębi morza będzie rzucony.

– A mi tam nic do takich spraw – mruczał Chościak. – Dla tego odmienca zostawiłem chore dziecko. Regna, ledwie ma cztery wiosny... Nie wiem, czy wyżyje. Ech...

Jaksa wyprostował się, jakby chciał wstać.

– Twoje dziecko ma jeszcze matkę; ma braci. Nie jest same, gdy idziesz z nami. Inne dzieci... mają gorzej. Same, bez ojców. Bez nadziei. Uwierz mi! A czas upływa! Mija! Pędzi!

Poderwał się, wściekły, cisnął łyżkę, aż ich obryzgał, ale nikt nie rzucał się na to, nie

podnosił wzroku. Wszak był to Kaganobójca, niebezpiecznie było wchodzić z nim w spór o drobiazgi. O rzeczy grube zresztą też.

Krążył wokół nich, szczupły, w kolczudze, w odrzuconym do tyłu kolczym kapturze. Ponury, jak złowrogi ptak porywający dusze.

– A co mu zrobić; temu Dalianowi, kiedy go dostaniecie?

– Małodobry już czeka w Starej Gnieździcy. Zostanie poćwiartowany żywcem. A wcześniej mistrz będzie palił mu świętokradcze ręce, którymi dopuszczał się występku, innego męża gładząc; piętnował na pamiątkę występku i szarpał kleszczami.

– Za okno na rynku i dach z widokiem na szafot już dziś każą sobie płacić po cztery skojce!

Szedł do nich sam karczmarz; chłopak niski, pomarszczony z czarniawym zarostem, o przyjemnym uśmiechu szczerzego gospodarza.

– No dawno ja takich gości wypatrywałem!

– zahuczał, stawiając na stole gliniany gąsior i kubeczki wydrążone z brzoźowej gałęzi.

– Dalejże, popróbujcie palaneczki. Sam smak, świeżo robiona.

– Za chwilę nikt nie utoczy winą, nie uwarzy piwa; nie będzie sycił miodu, ale palił to hungurskie świństwo – mruknął dziesiętnik.

– Widziałem po drodze, jak góry dymią.

– Nie hungurskie, proszę waszej wielmożności. – Pokręcił głową karczmarz. – Z przeproszeniem, z Dregowii przyszło nowe.

– Wprowadzą czopowe, pójdziecie z torbami.

– Czopowe... – mruczał karczmarz, nalewając do kubków równe porcje. – Pogański wymysł, gadają. Czopowe, składne, drogowe i z przeproszeniem chujowe to tylko u cysorza Mikrona na wyspie. Podatek za to: że człowiek żyje, że oddycha, że pije wodę. Musi to na Taurydyce, a w Lendii – jak kto chce. Zdrowie waszej wielmożności!

– Nie na zdrowie nam ta pogoń, człowiecze.

– Już się ludź zwiedziła, wszyscy ciągną na Grąziową. Musowo odmienca złapać, jeszcze będzie nam kaził. Idą chłopci z Ujsolów. Z psami, niektórzy z końmi. Całe gromady wsiowe. Ruszył się też pan Gamrat z Jakuszami z zaścianka na Hutnikach. Chluśniem, bo usniem!

Wypili, czując błogie ciepło, na chwilę zrobiło się sielsko, bo słońce przygrzewało błogo. Konie uwiązane do żerdzi za ich plecami skubały siano; czuli zwierzęcą woń ich sierści, pyłu zmieszanego z potem wielkich zwierząt. Byli jak w podróży, a nie w pościgu.

– Jazda. Konie! – powiedział ktoś.

Kłusem od gościńca jechali zbrojni w skórzniach, w usztywnionych karwaszach, w zbrojach z płytek. Na ciężkich, swarnijskich koniach, pod którymi zdawała uginać się ziemia. Miecze

przy bokach, długie, migdałowe tarcze, szłomy, czepeczki, futrzane czapy z piórami.

– Pogromcom odmienców cześć i chwała!

Na czele jechała kobieta, na karym koniu, charakterna, ruda, twarda i okrągła sztuka. Jednak na obliczu miała spokój i uśmiech. Mała, słodka dziewczynka w ciele olbrzymki. Nie zmieniała tego nawet paskudna blizna na czole, trochę schowana pod otokiem czapki.

– Chwała! Chwała – odezwał się wojski.

– A kto pyta?

– Jak to, nie znacie Gordy z Uzdowa – zaśmiał się jeden z jeźdźców. – Trudno chyba przeoczyć tak znaczną osobę, he, he!

– Zamknijcie gębę na siedem spustów! – odezwała się niewiasta. Jednym ruchem obróciła potężnego karosza w miejscu, na zadzie, aż naparł przednią prawą łopatką na lewy bok konia obok. Jednocześnie zdzieliła pięścią w szłom jeźdźcy. Wierzchowce zakwiczały, odepchnięty gniadosz cofnął się, przysiadł na tylnych nogach, kiedy wałnął zadem w płot. Jeździec omal nie zleciał z kulbaki, złapał się przedniego łęku, łapiąc się zaraz potem za zsuwający się z głowy hełm.

– Poszedł ty w buju!

Śmiech jak rechot biesów; klepanie się po ramionach, ręce na styliskach toporów, na głowicach mieczy.

– Cała okolica do was jedzie – ciągnęła Gorda. – Szukać parcha, odmienca, tego tam... Dylana. Ruszyły się ludziska z Psich Juch, z Uzdowa, a z nimi całe Biadolino Rycerskie...

– I sucze chwości! – prychnął znów wesółek w szłomie, jakby było mu mało jednej repri-mendy. Jaksa skrzywił się.

– Idą wam na pomoc bractwa buhurtowe. Lecą na koniach Sierotki po panu Pałuce z Jusławic, Pogończycy z Nowej Gnieździcy i Czerwono-Czarni z Woldanów. Ci na piechotę, bo rumaki potracili.

– Już wytrzeźwiali po ostatnim turnieju? – zapytał Płonka. – Bo u nich zawsze – trzy dni buhurtu – cztery picia.

– A jak ostatni turniej w Starzawie?

– W szrankach na dwadzieścia jeden Sierotki srodze pogniotły Gniazdowie i Harcowników. Pogniotły, aż musieli znosić z placu panów Ordon i Kiliana z braćmi.

Kary koń Gordy nudził się, bo nagle wyciągnął łeb i skubnął stojącą obok srokatą klacz. Od razu podskoczyła nerwowo, rzucając łbem. Karoszowi natychmiast dostało się po uszach od pani.

– Spokój, Balago, rezunie jeden! Zostaw pannę. I tak jaj nie masz, wałachu.

Gorda podniosła wzrok i spojrzała na Jakse, jakoś tak dziwnie, miękko i miło.

– O, i pan Jaksa jest z wami. A ja słyszałam, że nie wróciłeś ze stepów.

– Pogłoski o mojej śmierci znów okazały się mocno przesadzone, moja pani. Przykro mi, że cię zmartwiłem.

– Mi tam wcale przykro nie jest! – wycharczał człowiek stojący za Gordą, na małym, bułanym koniku, który zdawał się bardziej beczką niż wierzchowcem. Miał pocziwy łepki, małe, ruchliwe uszy. Oczywiście koń, bo jeździec zdawał się poczwara. Potężny w barach jak niedźwiedź, raczej niewysoki, o ile to było wiadać na koniu. Wygoloną czaszkę i twarz pokrywały wijące się tatuaże, co upodobało ją do oblicza pogańskiego idola, którego jeszcze nie wrzucono na stos jedynowierców. Skanding! – białe włosy na brodzie zaplatał w warkoczki. Ramiona i tułów okrywała skóra niedźwiedzia skalnego – wielki łeb szczerzący zęby wisiał mu pod lewym ramieniem.

– Przymknij się, Rossala! – rzuciła od niechcenia Gordą. – Panie Jaks, proszę nie zwracać uwagi na niego. Zawsze szuka zaczepki. I najczęściej znajduje guza albo prawo.

– Znieważyłeś mojego przyjaciela, Kagano-bójco! – warknął nieprzyjaźnie Skanding.

– Może...

– Na pewno!

– Może po prostu sobie zasłużył. Ktoś ważny?

– Chościak. Chadzał ze mną na łowy. Był przewodnikiem. Mnie też zwalisz z konia? Rzucisz na ziemię? No, proszę!

– Milcz, Rossala! Nie czas na waśnie – ucieła Gordą.

– Łapiemy odmieńca. Wyluzuj, bracie – rzucił ktoś z boku i klepnął Rossalę po ramieniu. Odpowiedź była brutalna. Ręka chwytająca za przedramię; druga waląca z góry w bark. Łoskot, jęk...

Konie prawie rozbiegły się, kiedy wojownik spadł pod kopyta. Rossala zagryzł wargi, uderzył swojego tydkami, wpadł na gramolącego się człowieka, obalił go kopytami, prawie stratawał!

Trzask! Trzask! – Bicz walący Skandinga przez łeb; bicz w rękę Gordy.

– Spokój! Z wami jak w psiarni! Jak wilki! Tylko was wystrzelać! – darła się pani z Uzdowa. – Oszczędzaj siły... Na odmieńca.

– Ten tu sam jest odmieńcem. – Rossala splunął pod nogi Jaksy. – Hungurski pies! Spytaj, co z nim robili, kiedy był niewolnikiem!

W jego słowa wdarł się tętent kopyt. Nadjeżdżał zbrojny wojskiego; jeden z tych, co zostali z Viggo, zdyszany, na mokrym koniu. Ostatkiem sił zmienił bieg rozhulanego konia, okrążył grupę, która zafalowała, kiedy wierzchowce cofały się, szarpały nerwowo. I zaczął krzyczeć, przytknąwszy rękę do ust:

– Trop! Mamy trop! Psy... złapały.

– Wszyscy na koń! – darł się wojski.

4.

Mknęły przez las otulający podnóża góry jak rozpędzone, rozmazane smugi cieni. Szybko i miękko, na kształtnych łapach, mijając obalone pnie, przeskakując nad wykrotami, przelatując nad strumieniami. Prawo – lewo! – mijają drzewa, buki, graby, pokrzywione od wiatrów sosny. Ich nosy celowały w jeden punkt – w szarą plamkę widoczną w prześwitach między zaroślami. Gończe ogary były w swoim żywiole. Całe życie w pędzie!

Za nimi szła pogoń. Na mokrych koniach, które ledwie podjadły owsa i siana w Utracie. Smukłe Śreniawity sły jak burza, zwinnie niczym tancerki, samemu omijając drzewa. Te konie nie rwały, one po prostu płynęły w rozkołysanej galopie, wyrzucając daleko przed siebie długie nogi. Przez lasy, łąki, ugory...

Szarobrązowy wał gór wznosił się po lewej, groźny posepnym pięknem przedwiośnia. Bukowe lasy zachowujące jeszcze odrobinę złota po zimie, ciemnozielone plamy smreków wznoszących się majestatycznie ponad dolinami i przepaściami powyżej. Był właśnie czas, kiedy jesienny kolor pogórzy oświecało z każdym dniem podnoszące się wyżej słońce; wesołe, coraz cieplejsze. Jasnymi krechami blasku kolorowało plamy lasów, zaczynające się u ich stóp pola i pastwiska.

Psy nie dały szans uciekinierowi. Kiedy padł, wyczerpany, zwałił się na kolana, obeszył go ze wszystkich stron, mokre, szczerzące pyski, niczym na zwierzynę. Na szczęście trop nie był znany krwią. I nadsięgała pogoń.

Konie wpadały kolejno na polanę; rozdzieliły się na dwie strony, otaczając uciekiniera. Coś piszczał, zasłaniał się nieporadnie ręką. Na szczęście Chościak odciągał psy od człowieka.

Wtedy rzucili się na niego zbrojni wojskiego i ludzie Gordy. Płonka pierwszy chciał zeskoczyć z konia, ale uprzedził go Jaks. Dopadł do skulonego, dygocącego chłopaka, poderwał głowę w górę za skołtunione włosy i...

– Eeeee... Eeeee – zaskomlał schwytany; miał oblicze wiejskiego przygłupa, za pasem toporek, którego nawet nie próbował użyć. Na ramionach miał poszarpany, zabłocony płaszcz, na oko zbyt bogaty dla właściciela, spinany na ramieniu fibulą, haftowany w gryfy na rękawach.

– Poddaj się, Dalian! – krzyczała zza ramienia Jaksy Gołda.

– To nie Dalian – mruknął Jaks. – Kto jesteś, mów! Skąd masz szaty?

Chłopak spazmatycznie trząsł głową, dygotał, uczynił ruch, jakby chciał wypełznąć między nogi Jaksy – tak bardzo bał się psów.

Rycerz szarpnął go za włosy, odrzucił, przypadł, poczęstował kopniakiem; jednym, drugim, trzecim. Chłopak zaskomlał, zakrzyzczał.

– Nie bij go! – krzyknęła Gordą, która podbiegła z drugiej strony. – Nic ci nie powie. To przygłup, poczekaj...

Schyliła się, porwała biedaczinę w ramiona, przytuliła, objęła, poklepała po policzku, uspokajając. Chłopak trwał w uścisku, coraz mniej rozdygotany.

– Ten płaszcz. – Szarpnęła za koniec. – Kto ci go dał? Gdzie jest?

Ruchem głowy pokazała na północ, w góry. Gest ręką, dwa palce w dół, przebiegające jednostajnym ruchem.

– Poszedł. Jak się zwał?

– Nic więcej ci nie powie! Dalian dał mu płaszcz, oszukał nas.

– Suczy pomiot Wołosta i pogańskich capów! – warknął wojski. – Daalian! Słyszysz mnie? Jesteś tu gdzieś?

– Nie, panie, psy by go zwęszyły – rzucił Chościak.

– Chcę tylko jedną odpowiedź od ciebie! – krzyczał wojski, jakby go nie słyszał. – Gdzie jest Getko? Gdzie jest twój kochaś!

– Sam to bym chciał wiedzieć! – warknął Jaks. – Zapomnieliście, dlaczego go ścigamy?

– Poszedł na zachód – mruknął Rossala. – Na mój rozum ruszył do Winety; chce się tam zgubić, chce uciec... Niedoczekanie!

– Pastuch powiedział... w góry – mruknął wojski. – To byłoby nawet rozsądne – chce nas przeczekać.

Jaks milczał, rozważał coś. Spojrzał na swe go pacholka, niewolnego Skandinga, który był cichy i zimny jak ostatni sopel lodu po zimie. Tamten uczynił gest. Na zachód.

– Poszedł do Duny. Chce przekroczyć rzekę.

– Gdzie trzech Lędziców, tam cztery opinie – mruknęła Gordą. – Radźcie coś!

– Rozdzielimy się – powiedział Jaks.

– Jedźcie do Winety, jak chcecie, albo na Północny Krąg. Ja ruszam nad Dunę. Jeśli nic nie znajdziecie, to spotkamy się – albo i nie – pod miastem. W razie czego wyślijcie gońców.

– Dobrze – wystękał wojski. – I tak musimy odpocząć. Wracamy do Utraty.

– Znam was – będziecie pili przez tydzień. Oto cała twoja pomoc, panie Strasz.

– Ty mi nie wyjeżdżaj z obowiązkami, Jaks! Sam dobrze wiem, co robić, a co nie. Nic nie poradzisz, jak odpadniemy od koni, od ludzi.

– Zarąbię każdego, kto stanie mi na drodze – mruknął Jaks. – Tak mi dopomóż, Praojcze! Każda chwila, która upływa... Czuje, jak mnie rozdziera ból. Nie ma czasu, rozumiecie? Czas ucieka!

Odwrócił się, wsiał na konia, skinął na swoich dwóch ludzi.

– Czołem, panie wojski. Do zobaczenia! Szukajcie Daliana. Szukajcie skurwego syna! – wykrzyknął i odjechał, a za nim jego poczet.

– Oszala! – mruknęła Gorda. – Biorę na świadka Jesse, oszala!

– Wcale nie. Rzekłbym, że nawet go rozumem – powiedział wolno wojski. – Nawet w szaleństwie... Nie zostawię go. Nie mogę. Wiesz, panie, dlaczego? Bo on cierpi. Całe życie cierpiał, uciekał. A teraz cierpi najbardziej ze wszystkich dni, jakie spędził na tym świecie.

5.

Trzy mile dalej, na środku rzeki Duny, Dalian omal nie parsknął śmiechem. Ciągłe miał przed oczyma głupią gębę jąkały, wiejskiego pastucha, który aż podskakiwał ze szczęścia, kiedy podarował mu swój płaszcz. Jednak nawet w swangijskim suknie wyglądał jak siedem nieszczęść prześladowających ten kraj. Z głupotą i samochwalstwem Łędziców na czele. Z ich kronikami i dziejopisami pełnymi gwałtów, rzezi i pospolitego ucisku, z naczelnym rymopisem Janczurem, który uważał, że wszyscy Wedowie, a nawet Swarnowie, Duklanie i Taurydzy, winni stać się Łędzicami, gdyż to jest najbardziej prawdy lud na świecie; nie rozumieli chyba tego Hungurzy, którzy obcięli mu głowę nad Sanną!

Prom, którym płynął, był pełen ludzi. Ludzi? Gdybyż mógł nazwać nimi tę żalosną łędzicką holołę tłoczącą się, śmierzdzącą i rozmodloną. Traf chciał, że byli tu prawie sami pielgrzymi, ubodzy, chorzy i chromi, idący do pustelni w Radunicy, by wykrzykiwać żalosne jęki Praojcowi i Jessie. Patrząc na ten chromy, kaleki, kulejący, wonięjący ranami i wrzodami tłum, pomyślał, że można byłoby uczynić z nich pięknych ludzi, trzeba by tylko gnać ich nahajami ku świetlanej przyszłości. Skłonić, by przyjęli wielkie obyczaje Tauryudyki, jej śpiewną mowę, prawa, zasady, strzeliste budowle i niezwykle mechanizmy, przy których młyn, fryszerka i wodna kuźnia wydawały się prymitywnymi ustrojstwami stołemów. Z ukrywana odrazą patrzył na pękate, ociężałe, brzemienne niewiasty. Gdzie nabawiłyście się tego brzucha? – pomyślał. – Chłop was zdybał w grochowniach, a może na gnojowicy.

Czuł się samotny, bardzo samotny w tym tłumie. Pyszczku – pomyślał o Getko – Pysiu, gdzie jesteś? Czy czekasz na mnie? Idę do ciebie, pysiaku!

Jakże mu teraz brakowało kochanka. Jego słów, kiedy zaklinał mowę drzew i ptaków we fletniach, w dudkach, w piszczałkach, w gęślach. Pięknie na nich grał; jego melodii i pieśni słuchała nawet największa ciemnota...

Prom dobijał do brzegu, opuszczano pomost z desek. Pielgrzymi ruszyli falą do brzegu; ci zdrowsi skakali wprost do wody, inni cierpliwie pomagali kalekom, nieśli skulonych cierpiących, podtrzymywali chromych.

I wtedy serce uderzyło mu jak młot, bo w tłum wjechały trzy konie. Trzech zbrojnych. Jeden ciemnowy, bez czapki ani hełmu, drugi niewolny Skanding, a trzeci, na pięknym, szpakowatym koniu... Jaksa.

Najgorsze, że nie było jak się cofnąć; Dalian płynął wraz z ludzką rzeką na drugi, południowy brzeg, prosto na prześladowców, którzy stali między pielgrzymami, rozdzielając ich jak skały spieniony nurt rzeki. Nikt i nic nie mogło ująć przed ich wzrokiem; Jaksa i Skanding szarpali przechodzących za ramiona, zaglądali w twarze, uderzając złożonym nahajem po grzbietach tych, którzy skłonili głowy w dół.

Nagle ktoś wyciągnął do niego rękę. Ktoś pokraczny, stąpający krzywo – garbus; plecy skrzywione, jakby pod skórą rósł mu łeb małego żmija. I nawet kiedy szedł na rozrośniętych, szeroko rozstawionych nogach, ten garb kiwał się, przemieszczał, jakby naprawdę był żywy.

– Panie – Dalian usłyszał głuchy szept – proszę pilnie za mną. Z moją skromną pomocą przejdziemy otchłań. Nie lękajcie się, jestem wiernym przyjacielem.

Nie było czasu do namysłu, uchwycił szorstką, pomarszczoną dłoń. Nie poszedłby tak łatwo za obcym kaleką, bo tamten budził w nim wstręt. A jednak mówił językiem gładkim i czystym, nie chłopskim narzeczem. Skąd taka mowa u zwykłego garbusa?

Nieznamy naciągnął Dalianowi kaptur na głowę.

– Szybko, panie, postępujcie za mną, pochylcie się, udawajcie kuternogę.

Koń Jaksy był tuż-tuż, obok. Dalian zobaczył obutą w skórzany hungurski but nogę prześladowcy...

Nagle Jaksa pochylił się, chwycił kaptur, zdarł go, odrzucił do tyłu.

Krzyk! Odsłonił wykrzywioną gębę garbusa, jak leśnego idola pogan. Ten wycharzał jakieś słowo, zaśmiał się, aż szpakowaty koń Jaksy podrzucił głowę, potracił kogoś zadem, bo wszczął się zamęt. Pielgrzymi szli falą, której nawet trzech zbrojnych nie było się w stanie przeciwstawić, napani na jeźdźca, obrócili, aż rumak przysiadł na zadzie, rzucił łbem, ugryzł kogoś, a może potracił, bo posypały się przekleństwa.

– Z drogi! Z drogi! – ryczały złe głosy.

Ktoś złapał Jakse za rękaw, inny z drugiej strony, wrzask, wściekłość, gniew narastał! Koń kogoś pognoł, nastąpił podkową na nogę, bo zakotłowało się; jeździec pochylił się, strącał z siebie ręce, ramiona, ginął wśród ludzi...

Wykorzystując to, garbus przeciągnął Daliana obok prześladowcy, szarpnął w bok, prowadząc między wierzby, zarośla.

– Jestem z Taurydyki, pomogę. Chodźcie, znam drogę.

I Dalian, oniemiały, pozwalał się ciągnąć, szedł, prawie biegł przez nadbrzeżne wiszary, łąki. Zdyszany, spocony, zgrzany, ledwie żywy.

Przy jakimś dębie karzeł odwrócił się, uśmiechnął szeroko szczerbatym uśmiechem. Wziął zamach i...

Jednym ruchem wałnął Daliana w czoło, kułakiem ściśniętym jak kamień, twardym jak skała. Świat dokoła zatrząsł się i ścichł. Młodzieniec poczuł, że osuwa się na ziemię, że robi mu się zimno. Potem tamten szarpał go, wlekl niby łachman, wreszcie niósł. Poczuł uderzenie o skałę; przejmowała go zimnem, dreszczem. Wreszcie poczuł, że prawą rękę coś mu ściska i podrywa do góry...

Przebudził się z jękiem, jak ze snu, poderwał i...

Nie mógł podnieść prawego ramienia. Coś obciążało go, ciążyło, jakby przywiązano tam ze dwa cetnary kamieni. Przegub ręki opinała ciężka obręcz, pokryta nalotami, prawie niepodobna do kawałka metalu. Połączona łańcuchem z wąskim i długim kawałem kamienia osadzonego w okrągłym, splekanym bloku, wyciosanym z głazu, którego nie byłoby w stanie przewrócić nawet kilku ludzi. Obrótowe żarna, większe niż kamienie młyńskie; młyn Stołemów. Splekany, zrujnowany, zarośnięty trawą. I nawet – po drugiej stronie okrągłej płyty leżało coś, co wyglądało jak sterta starych, poszarzałych gałęzi i kłód. Ale to nie były resztki drzewa. Zobaczył kości, resztki Stołema, który tutaj, przykuty do tych ogromnych żaren, dokonał żywota wieki temu. Ogromne okowy ciągle zaciskały się na piszczelach jego łap. Martwy olbrzym, symbol ponurego barbarzyństwa Łędziców, którzy wojny Wedów ze Stołemami określali jako walkę o przetrwanie jednej rasy nad drugą. Uwolnić stołemy... Gdybyż któryś pozostał...

Co gorsza, Dalian sam był przykuty do kamiennej poprzeczki kamienia młyńskiego. Łańcuch był pokryty nalotem, ciężki, niemożliwy do rozerwania.

– Coś ty zrobił – wybełkotał – człowieku! Puść mnie!

– Jesteś Dalian, poznałem cię od razu – mruknął karzeł. – Postoisz, poczekasz... paniczu. Mnie czas w drogę. Szukają cię, muszę znaleźć wojskiego Strasza.

– Zapłacę więcej niż on! Doprowadzisz mnie... do Winety?

– Ja tego nie robię dla nagrody, szlachetny panie. To wszystko, żeby oczyścić ziemię i niebo. Z takich jak ty.

– Oszalałeś? Mówiłeś... jesteś z Taurydyki. Jeśli tak, to co robisz?! Tu, na tym przeklętym padole zacofania i ciemnoty. Puść mnie! Co ci uczyniłem?

– Na tym padole ja znalazłem życie. Ot, popatrz na mnie, nie opuszczaj oczu. – Pokazał

garb trzęsący się z tyłu, na środku pleców.

– Mój ukochany ojciec chciał, żebym był karłem, żebym nie rósł. Wsadził mnie do gloottokomy. To taka skrzynia; zamyka się w niej dzieci, lecz nie za nieposłuszeństwo. Sprawili tylko tyle, że zostałem kaleką. Każdy ruch to męka, ból, krzyczałem, chodząc.

– Cóż ja mam z tym wspólnego?

– Taurydzi nie lubią takich jak ja. Oni miłują gładkich, miłych chłoptasiów; takich ja wy. Wysłali mnie do jamy, na Dobrą Śmierć, żebym się nie męczył. A ja chciałem się męczyć. Chciałem żyć, rozumiesz, odmienne?! Ciągłe chcę widzieć wschody i zachody słońca, zapach mokrych liści i błota na przedwiośniu, tak jak teraz. – Powiodł ręką dokoła. Oj, sam nawet nie wiesz, jak jest upajający. Uciekłem tutaj... I tu, w Lednii; tutaj pozwolili mi żyć.

– Śmieją się z ciebie, rzucają kamieniami: karzeł, odmieniec, krzyczą!

– Niech krzyczą. Jestem przyzwyczajony. Bo jestem taki sam jak inni. Jak mnie ktoś zabije, to zapłaci główmszczyznę jak za wolnego, a nie za więźnia. Jak ja zabiję – to nie będę gorzej traktowany jak Lędzic. Co, może zaprzeczysz, że wieczny archikrator każe pozbywać się starców, którzy jeszcze czepiają się życia, i wszystkich tych, którzy nie mogą chodzić albo leżą w bólu? Po co mają cierpieć? Taurydyka... Imperium śmierci. Bardzo małe zresztą od wieków imperium. Wyspa porubstwa. – Splunął. – Wmawiają ci wolność, a jesteś tylko zabawką w ręku autokratów i wspaniałego archikratora.

– Nie słucham cię! Niedobry...

– Jeszcze jak jestem zły. Jak każdy karzeł. Baw się dobrze, póki nie wrócę.

– Przeklęty! Kiepl! – krzyczał za nim Dalian. Lecz karzeł nie zawrócił, nie obejrzał się nawet.

Z rozpaczą szarpał stary, wiekowy łańcuch z metalu Stołemów. Ledwie mógł go podnieść, a co dopiero uwolnić się. Przeklęty koślawy cap. Przeklęty, wstrętny jak wszystko w tym kraju! Co teraz... Co teraz czynić?

Szarpał się z łańcuchem, kiedy usłyszał podejrzaną szelest. Poderwał głowę, myśląc, że może ma szczęście, że już za chwilę opowie komuś gadkę jak zbójcy, a może, ha, ha, jacyś odmienicy, ba – poganie – przykuli samotnego...

Chyba że trafił na polowanie, orgię krwi, którą zabawiali się ci śmierdzący rycerze, knezie i możni, co kładli z łuków całe stada zwierząt w dzikiej żądzy krwi... Dalian sam był jak biedna, zaszczuta łania, jak wilk osaczony w kniei, jak...

Zobaczył kształt niczym poczerwiałą, rosochaty pień, skrzęcał samotnie na wypalanej polaci lasu. Gorszy od biesa, widma, upiora; z krwi i kości, z wielkim, trójkątnym łbem zaopatrzonym w pysk pełen szablasytów kłów.

6.

Samotny, skalny wilk szedł pomaleńku w jego stronę. Wszak był początek wiosny, śniegi leżały tylko w najwyższych górach Kręgu. Musiał przebudzić się z zimowego snu. Przebudzony – był zarazem głodny i zły; Dalian był dla niego po prostu pięknym kąskiem na talerzu.

Nawet nie próbował się szarpać; po prostu zastygł, myśląc gorączkowo, że może udawanie trupa, że zniechęcenie sprawi, iż szablazożęby ominie go jak niedźwiedź padlinę.

To się nie mogło tak skończyć! Nie mogło; Dalian wiedział, że coś się musi wydarzyć. Musi! Po prostu nie mógł... zostawić Pyszczka, który gdzieś tam, daleko, czekał samotnie. Ich historia, wspólny bunt przeciw zakłamaniu w Lendii, przeciwko krainie, gdzie wszystko wzniesiono na okrucieństwie i krzywdzie. I zakłamaniu, że jest dobrze, że tak powinno być. Że rycerze i knezie dwoją się i troją, aby zrobić dobrze chłopom; że wcale nie zmieniają wolnych ludzi w osadzonych na roli niewolników, pożyczając im pieniądze i biorąc pod ochronę przed innymi możnymi.

Szablazożęby upajał się lodowatym strachem Daliana. Lecz dalej już nie podszedł.

Trzy cienie zamajaczyły z tyłu. Na ten znak zamarł, rzucił łbem z bok, obrócił się błyskawicznie.

Dalian nie wiedział, czy krzyczeć z radości czy łkać. Rozpoznał Jakse i jego dwóch ludzi. Czarniawego, posępnego mężczyznę i niewolnego Skandinga, milczącego, wycofanego; jego broda i włosy skręcone w warkocz były niczym czyste srebro.

Szablazożęby zawarczał. Nie zrobiło to wrażenia na Jakse; więc cofnął się, szczerząc kły; on po prostu odgradzał zbrojnych od Daliana; bronił łatwej zdobyczy.

Wtedy Skanding wysunął się mu naprzeciwko. Szedł wolno, stopa za stopą, wpatrzony w ślepią bestii. On, okrutny człowiek mrozu, i bestia z dzikiego, pogańskiego lasu.

Kroczył za kroczkiem podchodzili się nawzajem. Wilk cofnął się tak blisko Daliana, że ten poczuł jego dziki, zwierzęcy odór. Aż wezbrały w nim mdłości, słabość targała członkami.

I wtedy wilk skoczył, z tylnych łap, z rozpędu; prosto na Skandinga!

Stało się coś, co jeszcze bardziej przeraziło Daliana. Niewolny nie uciekł, nie bronił się. Po prostu chwycił wilka, uderzając lewą ręką od dołu, pod szyję bestii. Prawa spadła z góry jak grom.

Jesso! Uchwycił bestię za szczękę! Ścisnął ją, zacisnął paszczę w rękach jak w cęgach. Wilk aż

zaskomlał, zawył, ale głos ścichnął, stłumiony potężnym uściskiem ramion. Skanding kotłował się na nogach, z trudem utrzymując szarpającą się bestię, dygotał, pot pociekał mu na czoło.

– Nie utrzymam! – wycharczał. – Gadaj z tym flokiem!

Dalian zobaczył przed sobą złe oblicze Jaksy.

– Mnie też ścigano tak jak ciebie. Ale nikt nie dałby ci takich forów jak ja dzisiaj, tutaj.

– No, poszczęściło ci się, bohaterze. – Rozdygotany Dalian nie tracił przyrodzonej pogardy. – Zbiegu, zabójco kagana – w twoim rodzie to chyba dziedziczne. Dalej, chujcerzu, wykończ mnie i nie nudź dłużej. Będzie jednego odmienca mniej.

– Nie ścigamy cię za to, że byłeś kobietą – ciągnął Jaks. – Co do mnie, możesz chędożyć się, z kim chcesz, nawet z kijem od miotły, byle nie z capem i zwierzęciem, bo powstają z tego biesy. Ścigamy cię, bo chcemy wydusić z ciebie, gdzie jest Getko. To on, a nie ty uczynił coś tak strasznego, że będzie za to ćwiartowany żywcem w Gnieźdźcu. Jeśli go nie schwytamy, to spotka to ciebie.

– Skończmy, proszę, tę farsę, Jaksiu. Miły jesteś, taki męski, aż żałuję, że nie poznałem cię wcześniej.

– Spieszcie się! – jęknął Skanding. – Nie wytrzymam.

– Gdzie jest Getko? Gdzie ten przeklęty fok? Powiesz, gdzie jest, to zabiorę cię ze sobą i ochronię przed wojskim i pogonią. Daję rycerskie słowo honoru, że nie stanie ci się krzywda. Nie powiesz, zostawię cię tutaj, a wtedy Viggo wypuści zwierza.

– Szablazożęby nie zabije cię od razu – odezwał się czarnowłósy pacholek. – Jest słaby, a jego kałdun skurczony od snu. Najpierw oderwie ci kawał mięsa i zostawi; odejdziesz, żeby pożyć i przetrwać w spokoju. Potem wróci po resztę. I tak wiele razy. Będziesz tu wył i krwawił, pożerany po kawałku.

Wilk szarpnął się jak wściekły. Obalił w tył Skandinga, który jednak nie puścił jego pyska. Dalian śledził to wszystko rozdygotany i miał... miał już chyba dosyć.

– Nie mamy czasu. Gdzie jest Getko?

– Nie... nie wiem.

– Viggo, puść stworza i odejść.

– Czeka w Winecie; na Czapli się spotkamy!

– wybuchnął Dalian. – Tak mówił: Szukaj Czapli. Czego jeszcze chcecie?! Nie jestem winny. To Pyszczek gdzieś uciekł, coś uczynił, sam nawet nie wiem co...

Jaks uśmiechnął się. Powoli wyciągnął rękę, a czarniawy pacholek włożył mu w dłoń topór.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kraina Złych Białych



Piotr Gociek

„Kraina Lovecrafta” niewiele ma wspólnego ze słynnym pisarzem, wiele za to z dominującym dziś rasizmem à rebours



Czarnoskórzy bohaterowie serialu muszą się wystrzegać białych FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pamiętacie zieloną książeczkę, z którą podróżowali po Ameryce bohaterowie filmu „Green Book”? „The Negro Motorist Green Book” autorstwa Victora H. Greena była praktycznym przewodnikiem dla Afroamerykanów w czasach segregacji rasowej. Dowiedzieć się z niej można było, jak bezpiecznie nawigować między tablicami „Tylko dla białych” oraz hrabstwami reklamującymi się billboardami w stylu „Jeśli jesteś czarnuchem, to lepiej nie pokazuj się tu po zmroku”.

W serialu „Kraina Lovecrafta”, którego akcja rozgrywa się w połowie lat 50. XX stulecia, rolę książeczki Greena odgrywa inna publikacja: przewodnik pisany i wydawany (w podobnym celu) przez niejakiego George’a Blacka. W jedną ze swych krajoznawczych podróży Black wybiera się w towarzystwie swojego bratanka Atticusa Blacka oraz jego koleżanki z czasów szkolnych, Letycji. Wyprawa

ma też więcej niż jeden cel – Atticusowi przede wszystkim zależy na odnalezieniu ojca, który dwa tygodnie wcześniej zniknął w tajemniczych okolicznościach. Pozostawił po sobie enigmatyczny list. Kierunek podróży jest niepokojący – miejscowość Ardham, której nazwę początkowo błędnie odczytano jako Arkham. W atlasie wuja George’a zaznaczono, by omijać to miejsce szerokim łukiem.

DO JĄDRA CIEMNOŚCI

Rozpoczyna się więc podróż do jądra ciemności i krainy potworów, przy czym długo wydaje się, że najbardziej niebezpieczne są te w ludzkiej skórze. Napotkani biali w najlepszym przypadku są wobec podróżników obojętni, częściej jednak widok trojga Afroamerykanów wywołuje w nich nieodpartą potrzebę jeśli nie natychmiastowego linczu, to przynajmniej poniżenia. Przeważająca część

pierwszego odcinka „Krainy Lovecrafta” to mocna opowieść o rasizmie, dopiero pod koniec rzecz skręca gwałtownie w kierunku horroru, i to mocno krwawego. Od tej chwili obydwie te światy będą się przenikać: w jednym niebezpieczeństwem są koszmarnie stwory, a w drugim biali, zwłaszcza bogaci i wpływowi, zwłaszcza policjanci, a już najbardziej członkowie okultystycznego zakonu Synów Adama.

Troje głównych bohaterów (a także, jak odkryjemy, zaginiony ojciec Atticusa) wmiesza się na dobre w interesy Synów Adama. Kluczową postacią okaże się sam Atticus Black, weteran wojny w Korei, miłośnik science fiction i posiadacz pewnej niezwykle istotnej dla Synów Adama cechy. Atticusa gra Jonathan Majors (ostatnio widziany w „Pięciu braciach”) i jest to rola wybitna. Reszta obsady także zwraca uwagę. Ojca Atticusa gra Michael Kenneth Williams (pamiętny Chalky z „Zakazanego imperium”), a Letycję – Jurnee Smollett, sympatyczna aktorka z doświadczeniem głównie serialowym.

Serial „Kraina Lovecrafta” powstał na podstawie opublikowanej w 2016 r. powieści Matta Ruffa pod tym samym tytułem. Na potrzeby telewizji HBO projekt przygotowała Misha Green, współscenarzystka m.in. „Synów anarchii”, która rozgłos zdobyła dzięki serialowi historycznemu „Underground”. Jednak tym, co najbardziej elektryzowało krytyków i widzów w zapowiedziach, było nazwisko Jordana Peele’a, reżysera filmów „Uciekaj!” („Get Out!”, 2017), za którego scenariusz dostał Oscara, oraz „To my” („Us”, 2019). Jordan Peele został współproducentem „Krainy Lovecrafta” oraz napisał scenariusz do pierwszego odcinka.

Do czego Matt Ruff potrzebował w swojej książce potworów i klimatu z opowiadań mistrza grozy, którym był H.P. Lovecraft? Zapytałem o to biografę i najwybitniejszego znawcę twórczości autora „Zewu Cthulhu”, którym jest S.T. Joshi. – Szczepnie mówiąc, nie bardzo zainteresowała mnie ta książka, bo poza pierwszymi fragmentami w ogóle nie ma związku z Lovecraftem – mówił Joshi „Do Rzeczy”. – Dla mnie jest więc formą „fałszywej reklamy”. Wydaje mi się, że Ruff umieszczając w tytule nazwisko Lovecrafta, wykorzystywał tylko obecną popularność pisarza, żeby zwiększyć sprzedaż, jednocześnie wyrażając nieco

rytualny sprzeciw wobec jego rasizmu. W USA nazywa się to obecnie „virtue signalling” – tłumaczył. A „virtue signalling” to, jak podaje słownik socjologiczny, „afiszowanie się zachowaniami, które mają świadczyć o moralnej wrażliwości lub dobrym sercu (zwłaszcza w social mediach; zjawisko odbierane negatywnie i na pokaz)”.

Joshi zapewne ma rację, jeśli chodzi o książkę Matta Ruffa, z drugiej strony trudno podejrzewać Jordana Peele’a czy Miszę Green, twórców afroamerykańskich, o to, by musieli na pokaz demonstrować swój sprzeciw wobec rasizmu. Nie zmienia to faktu, że „Kraina Lovecrafta” wpisuje się w modną obecnie pedagogikę wstydu wobec białych.

CZARNA UTOPIA

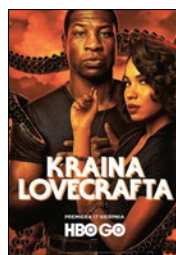
W „Krainie Lovecrafta” najpierw dostajemy kawałek czarnej utopii (w pierwszym odcinku, z którego wynika, że tam, gdzie mieszkają tylko czarni, panuje raj na ziemi), potem zaś opowieść o tym, że najstraszliwszą istotą pod słońcem jest biały amerykański rasista.

Są jednak i inne tropy. Jedna z bohaterów serialu, biała jak śnieg i oczywi-

ście po nordycku blondwłosa Christina Braithwhite sprzymierzona z zakonem Synów Adama, próbuje nawiązać z czarnoskórą Letycją nić porozumienia, podpowiadając, że obie są ofiarami męskiej opresji. No tak, to nie biali w ogóle, lecz heteroseksualni biali mężczyźni są dziś wrogiem numer jeden nowej rewolucji kulturalnej.

HBO udostępniło recenzentom pięć odcinków z dziesięciu, piszę więc na tej podstawie – po imponującym początku jest kłopot z utrafieniem we właściwy ton opowieści. Twórcy raz serwują nam groteskę o czarnej kobiecie w białej skórze, innym razem klasyczną opowieść o nawiedzonym domu, jeszcze kiedy indziej thriller spiskowy w stylu „Skarbu narodów” (za każdym razem oczywiście z odpowiednio antyrasistowską podbudową). Lekcja jest nieustannie ta sama: czarni mogą liczyć jedynie na czarnych.

Niektóre sceny swobodnie mogłyby trafić do wampirycznego serialu „Czysta



SEZON 1
„KRAINA
LOVECRAFTA”
(„LOVECRAFT
COUNTRY”)
USA 2020

wyst. Jonathan Majors, Jurnee Smollett, Michael Kenneth Williams,
distr. HBO

krew”, tyle tylko, że „Czysta krew” była bezczelnym pastiszem pełnym przewrotnego humoru. Serialowa „Kraina Lovecrafta” pozbawiona jest jednak bez troski i radości charakterystycznej dla pastyszu. Ideologiczne przesłanie przygniata zabawę. Szkoda, bo tam, gdzie dostajemy po prostu opowieść grozy, pozbawioną nachalnej dydaktyki, tam serial natychmiast zyskuje na jakości.

Nie zrozumcie mnie źle, nie neguję rasizmu i jego dziedzictwa, odrzucam odrażające praktyki odczłowieczające innych (wszelkie, nie tylko na tle rasowym czy etnicznym). Nie sposób jednak nie zauwa-

żyć, że kultura Zachodu promuje dziś rasizm à rebours. „Kraina Lovecrafta” dobra jest tam, gdzie jest pasjonującą opowieścią o winie, grzechach, rodzinie i miłości. Tam, gdzie próbuje być opowieścią jedynie słuszną, zamienia się w karykaturę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

GIGANCI HISTORII

Soboty godz. **19:00**
Niedziele godz. **16:30**

TVP
HISTORIA



FOT. MATERIALY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wpadka



★★★★★
**REŻ. KENNETH
 BRANAGH**
„ARTEMIS FOWL”
USA 2020

wyst. Ferdia Shaw,
 Lara McDonnell,
 Colin Farrell

Ten kompromis unieszczęśliwił obie strony. Fani serii książek Eoina Colfera są oburzeni, bo niewiele zostało z literackiego oryginału, decydenci z koncernu Disneya zaliczyli finansową wtopę i chyba wyrzucili do kosza materiał na bardzo dochodową serię. Film „Artemis Fowl” miał być hitem sezonu letniego w kinach, z powodu pandemii premierę miał jednak w serwisie Disney+ (USA) i w HBO (Polska). Nie ma czego żałować.

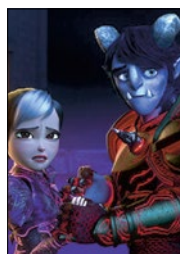
Pierwsze pół godziny jest niezłe. Poznajemy rodzinę bogaczy z Irlandii – Fowl senior (Colin Farrell) gromadzi wszelkie możliwe artefakty i dokumenty związane ze światem wrózek, goblinów i trolli. Wiele z nich po prostu wykrada. Jego syn, Artemis

Fowl (Ferdia Shaw – debiutant), to dziecię genialne i bardzo pewne siebie. Kiedy ojciec znika w tajemniczych okolicznościach, syn szybko zabierze się do akcji ratunkowej (z pomocą lokaja, który zwie się Domovoi Butler). Wszystko to się wiąże z faktem, że świat magicznych istot naprawdę istnieje – głęboko pod naszymi stopami. Tu najważniejszymi figurami dla fabuły okazały się funkcjonariuszka magicznej policji Holly Malutka, jej szefowa grana przez Judie Dench oraz pewien krasnolud specjalizujący się w żarciu ziemi (on jest narratorem filmu).

Scenarzyści Disneya zrezygnowali z tego, co było główną przyczyną sukcesu książek. Artemis był bezczelnym młodocianym złodziejem, postacią



trochę irytującą, trochę zachwycającą. W filmie zrobiono z niego postać jednoznacznie pozytywną i w dodatku młdą. Z Holly podobnie – w książce nienawidzi ludzi i bardzo trudno zdobyć jej zaufanie, najciekawsze było obserwowanie, jak się zmienia i walczy o swoją niezależność w magicznym świecie. Fabułę sklejono z dwóch pierwszych tomów serii i mocno uproszczono, emocji więc brakuje, podobnie jak specyficznego poczucia humoru, którym przesycony był oryginał. Disney liczył na nowego „Harry’ego Pottera”, ale widzowie chyba nie dadzą się naciągnąć. Nawet ci, którzy nie znali książek Rowling, czyli są od początku zaintrygowani filmami o małym czarodzieju i szkole w Hogwarcie. W przypadku perypetii Artemisa Fowla szybko wrzucamy ramionami: przewidywalne, nudne i właściwie dlaczego miałyby nas obchodzić? Trzecią gwiazdkę dokaładam tylko za ładne obrazki, zwłaszcza dworu Fowlów, oraz podziemnej krainy wrózek. ©©



NOWE SERIALE: „CZARODZIEJE”

Domknięcie animowanego cyklu wymyślonego przez Guillermo del Toro, jednego z ciekawszych seriali ostatniej dekady. Zaczęło się od serii „Łowcy trolli”, w której zwykły chłopak z miasteczka Arkadia staje się obrońcą ludzi przed magicznymi bestiami. Seria „Czarodzieje” robi wrażenie dopisanej na siłę. Mniej oryginalności

(podróże w czasie i Camelot? Widzieliśmy...) i humoru, więcej łopatologii (nietolerancja, mój panie, rasizm i nietolerancja), na szczęście pozostają bohaterowie, których łatwo polubić. ©©

Piotr Gociek
 • **Kreator: Guillermo del Toro**, „Czarodzieje: Opowieści z Arkadii” („Wizards: Tales of Arcadia”), USA 2020, animowany

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 3, „The Rain”; Dania 2020
- sezon 4, „Sprawa idealna” („The Good Fight”), USA 2020
- reż. Steven Wouterlood „Niezwyczajne lato z Tess” („My Extraordinary Summer With Tess”), Holandia 2019



Wróżka w kapuście

W KINACH

MOJEKINO.PL

Francuz potrafił! Alice Guy-Blaché, asystentka pioniera kinematografii Leona Gaumonta, wymyśliła, wyreżyserowała i wyprodukowała ponad tysiąc filmów – więcej niż bracia Lumière i Georges Méliès razem wzięci. Po przeprowadzce do Ameryki nie zwolniła tempa. W Fort Lee – mieście w New Jersey, gdzie wybranci X muzy urządzili sobie przystanek w drodze do Hollywood – miała własną wytwórnię. Jak to się stało, że „filmowcy-ni”, której pomysły podziwiali Eisenstein i Hitchcock, została zapomniana, a historycy kina ignorowali jej wkład w rozwój branży? Pamela B. Green, autorka dokumentu o utalentowanej Francuzce, zabawiła się w śledczego, zebrała zaskakująco

obfity materiał i umiała go w miarę interesująco pokazać. Niestety, przy okazji ugrzęzła w feministycznych schematach i przeceniła swoją bohaterkę. Łatwiej bajdurzyć o zмовie zawistnych mężczyzn niż przyznać, że kinomnie to wciąż terra incognita i kto wie, jakie odkrycia nas jeszcze czekają. Guy-Blaché nie wyprzedzała epoki, była jej dzieckiem. Debiutowała „Wróżką w kapuście”. Mimo klasztornej edukacji kręciła frywolne komedie, bo takiej rozrywki łaknęli widzowie. Wypierała się jednak stanowczo autorstwa „Przygód cięłej głowy”. Pod wrażeniem gniewu pionierki nabrałem ochoty na obejrzenie tego arcydzieła. © © Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. PAMELA B. GREEN
„BĄDŹ SOBĄ, CZYLI NIEOPOWIEDZIANA HISTORIA ALICE GUY-BLACHÉ” („BE NATURAL: UNTOLD STORY OF ALICE GUY-BLACHÉ”)
USA 2018



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIE BĄDŹ PINGWINEM!

W KINACH



★★★★★
REŻ. MICHAËL YOUN
„KLUB ROZWODNIKÓW” („DIVORCE CLUB”)
FRANCJA 2019/
MONOLITH FILMS

wyst. Arnaud Ducret, François-Xavier Demaison, Caroline Anglade

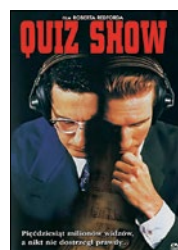
Przeczytałem gdzieś, że wracamy do średniowiecza. Dla branży rozrywkowej to dobra wiadomość: znów największe branie będzie miała farsa. Wielu twórców uprawia ten gatunek mimowolnie, dla odmiany można jednak rzucić okiem na „Klub rozwodników” – farsę wykonaną z premedytacją i przytupem.

Oto Ben – romantyk, spektakularnie porzucony przez żonę – spotyka kumpla w podobnej sytuacji życiowej. Panowie, mając do dyspozycji pałac z basenem i ogrodem, rzucają się w wir zabawy. Przemiana bekisy i niemoży w króla melanzu jest mało wiarygodna, lecz Youn i spółka przygotowali dla widzów tyle atrakcji, że kto by zważał na drobiazgi. Scenarzysta nie lubi zwierząt: lemur jest tu sadystą, zaś pingwiny, jedyne monogamiczne stworzenia na Ziemi, obiektem pogardy. Normalnie odradzałbym członkostwo w tym klubie, ale są wakacje, COVID-19 wciąż straszy, a Kool & The Gang to już nie obciąż, tylko klasyka obciążu.

TELEPROSTYTUCJA

HBO GO

Kiedy zaczęła gnić Ameryka? Czy w momencie, gdy Bill Clinton publicznie wyznał, że palił trawkę (choć się nie zaciągał)? A może wówczas, gdy sąd uniewinnił idola czarnoskórych, O.J. Simpsona, z zarzutu podwójnego morderstwa? Robert Redford odkrył, że stało się to znacznie wcześniej, gdy wyszło na jaw, iż teleturniej, ukochany przez miliony widzów, jest zwykłą ustawką. Co ciekawe, w „Quiz Show” oszust wzbudza więcej sympatii niż jego demaskator, zaś typ, przez którego cała sprawa się ryła, wręcz budzi odrazę. Redford lubi retro, więc film nie jest wolny od nostalgii. W pierwszej scenie rządzi błyszczący chrysler, model 1958. Z kolei ostatnie ujęcie, skradzione z „Kabaretu”, wskazuje prawdziwych winowajców. Oglądalność jest bożkiem. „Jesteśmy jak politycy, dajemy ludziom, czego chcą” – tłumaczy telewizyjny producent. Pewnie dlatego w niektórych krajach ciągle transmituje się egzekucje. © © recenzuje Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. ROBERT REDFORD
„QUIZ SHOW”
USA 1994

wyst. John Turturro, Rob Morrow, Ralph Fiennes

GRA TYGODNIA: „TOTAL WAR SAGA: TROY”

Po „Itronach Brytanii” – pierwszym z serii samodzielnych epizodów rozgrywających się w mechanice „Total War” – przyszedł czas na „Troję”. To podróż do najodleglejszej przeszłości, zaprezentowanej do tej pory przez studio Creative Assembly, w której mity krzyżują się z historią.

Jak zwykle całość rozgrywa się zarówno na mapie turowej królestwa, jak i podczas bitew w czasie rzeczywistym. Co z nowości? Jeszcze większy wpływ terenu na ruch jednostek, walka o przychylność bóstw, ciekawe podejście do legend. Minotaur to np. potężny wojownik



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z hełmem w kształcie głowy byka. Solidny tytuł, ale bez fajerwerków.

Marcin Makowski

- Gatunek: Strategia/RTS
- Platforma: PC
- Producent, dystrybutor: Creative Assembly/SEGA
- PEGI: 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Teatr nasz **widział ogromny**

Wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy tom wspomnień Bohdana Korzeniewskiego obok relacji mówionych zawiera prozę spisaną przez niego u schyłku życia, w latach 80., publikowaną swego czasu w paryskiej „Kulturze”. Teksty te potwierdzają opinię Jerzego Timoszewicza, wieloletniego współpracownika autora z redakcji „Pamiętnika Teatralnego”, że zamiast zajmować się teatrem, od strony dydaktycznej, teoretycznej ale i praktycznej – jako dyrektor teatrów i reżyser, powinien po prostu pisać. Robił to bowiem znakomicie, a jego „Pagórek” i „Powrót” Czesław Miłosz jak najślusniej wymienia jednym tchem z opowiadaniem Tadeusza Borowskiego jako przykład wybitnej literatury obozowej. Był bowiem Korzeniewski, przed wojną pracownik Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie i wykładowca historii teatru w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, więźniem Auschwitz, skąd dzięki interwencji profesora germanistyki UW został zwolniony. W dniu zwolnienia ważył 34 kg.

Po powrocie wrócił do pracy w Bibliotece UW i do działalności podziemnej, współtworząc Tajną Radę Teatralną, z której ramienia wnosił do sądu podziemnego sprawy przeciwko aktorom występującym w jawnych teatrach okupacyjnych i w niemieckich filmach. Rok przed śmiercią, odnosząc się do tamtych wydarzeń w dokumencie wyreżyserowanym przez Ewę Karmańską „Drzewa i ludzie”, powiedział m.in.: „Byłem zdania, że należy unikać, i to bardzo stanowczo, słowa »kolaboracja«. Uważałem, że aktorzy, którzy występują w teatrzykach, którzy przyjęli te erlaubniskarty, te pozwolenia niemieckie na



granie, popełnili nie zdradę, bo to za duże słowo dla tego zachowania. Jakaż to znowu zdrada? Taka zdrada Niemców nie interesowała! Był to po prostu, według mnie, brak dyscypliny wobec zarządzeń własnego związku. Związek w 1949 r., na zebraniu w lecie – ja nie brałem w nim udziału, bo byłem w Auschwitz – zabronił aktorom uczestnictwa w teatrach jawnych na tej prostej zasadzie, że mogą one nakłaniać do rzeczy nieprzyzwoitych. I rzeczywiście nakłaniały”. Następnie zrelacjonował swoją powojenną wyprawę do Krakowa, do sławnej aktorki Marii Malickiej, którą sąd Związku Artystów Scen Polskich ukarał zakazem występowania pod własnym nazwiskiem przez dwa lata, a do tego całkowitym zakazem występów w Warszawie. Tymczasem Ministerstwo Kultury i Sztuki „postanowiło ją wynagrodzić z okazji jubileuszu za to, co zrobiła dla teatru, i słusznie, ale jednocześnie któryś z urzędników przypomniał sobie, że była oskarżona i ukarana w czasie okupacji. Dostała nie Sztandar Pracy, lecz Polonię Restitutę, którą jeszcze w ostatniej chwili jej odebrano. Wobec tego ja z całą świadomością konsekwencji mego czynu pojechałem do Krakowa na uroczystość Malickiej, złożyłem

jej życzenia po to tylko, żeby pokazać, że nie prowadzimy żadnej paskudnej walki”.

W tej i podobnych sprawach nic jednak nie było oczywiste i nieprzypadkowo Czesław Miłosz, skądinąd niesłychanie wysoko oceniając walory prozy Bohdana Korzeniewskiego, jego działalność środowiskową nazwał „tropieniem czarownic”. A efekt tego wszystkiego był taki, że w stanie wojennym i po nim do Korzeniewskiego – jak wspomina jego żona – „ciągnął sznur aktorów, pragnących moralnej akceptacji dla swoich zachowań. Chcieli naśladować swoich niezłomnych poprzedników...”. Pamiętamy aktorski bojkot z tamtego czasu i wytupywanie w teatrach „kolaborantów”? No właśnie. Niektórym ta niemożność funkcjonowania zawodowego bez podziału na złych i dobrych, plugawych i szlachetnych pozostała do dzisiaj... Oczywiście tego, co obecnie dzieje się na polskich scenach, Bohdan Korzeniewski nie doczekał. Zmarł w roku 1992, w wieku 87 lat.

Wprzywoływanym już tutaj filmie o tym, czemu poświęcił prawie całe swoje życie zawodowe, mówił proroczo: „Wiemy, że posiadamy jedno z najpiękniejszych dziedzictw teatralnych, że nasz teatr romantyczny jest jednym z największych teatrów świata. Żaden naród nie stworzył takiego teatru, który o niedoli narodowej mówi z taką przejmującą prawdą jak teatr polski. Jednocześnie jest to teatr, który ucieka się do poezji, aby przemawiać ze sceny do ludzi. Ale najpiękniejsze rzeczy, jakie posiadamy, są właściwie całkowicie dla innych niedostępne. I wkrótce dla Polaków one także będą niedostępne, bo stają się obce”. Współczesny obraz sceny polskiej w stu procentach potwierdza tę diagnozę. ©©



★★★★★
**BOHDAN
KORZENIEWSKI**
**„BYŁO, MINĘŁO...
WSPOMNIENIA”**
**PIW, WARSZAWA
2020**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ku Arrakis

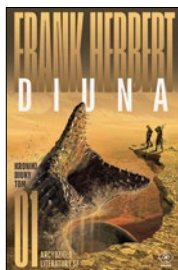
Czytana ponad pół wieku po napisaniu „Diuna” Franka Herberta (1965) wciąż jest aktualniejsza i ciekawsza od setek głośnych premier SF minionych dekad. Herbert trafił idealnie w gust czytelnika swojej epoki, ale zarazem ową epokę wyprzedził. Książka o pustynnej planecie, która jest jedynym we wszechświecie źródłem halucynogennej substancji (zwanej przyprawą), bez której podróże międzygwiazdne są niemożliwe – już takie streszczenie gwarantować musiało popularność w epoce dzieci kwiatów.

„Diuna” jest jednak czymś więcej. Powieścią przygodową, której bohaterowie zdają się niekiedy wyjęci ze średniowiecznych romansów rycerskich. Powieścią polityczną o bezlitosnej walce o władzę i towarzyszącej jej bizantyjskich intrygach (i niełatwych kompromisach). Powieścią feministyczną, bo nie istniałaby, gdyby nie fascynujące, silne kobiece postacie, łącznie z tymi tworzącymi tajemniczy żeński zakon Bene Gesserit, który de facto swoimi genetycznymi manipulacjami rządzi wszechświatem. Powieścią ekologiczną, w której poznajemy skomplikowany system współzależności ludzi, zwierząt i roślin na planecie Arrakis, system, który łatwo zniszczyć nierozsądną ingerencją.

Chociaż sam Herbert dopisał do „Diuny” jeszcze pięć tomów, a późniejsi kontynuatorzy dorzucili do tego całe tuziny prequeli i sequeli, to żadna z tych książek nie zbliża się nawet do poziomu i intensywności oryginału. Palec boży dotknął autora akurat wtedy i akurat przy okazji tego przedsięwzięcia. Zdarza się. Alfred Bester też nie napisał nigdy niczego zbliżonego do „Gwiazdy moim przeznaczeniem”, a Tolkien do „Władcy Pierścieni”.

O „Diunie” znów jest głośno, bo w grudniu ma wejść do kin film w reżyserii Denisa Villeneuve’a (twórcy „Sicario”, „Nowego początku” i „Blade Runnera 2049”). Poprzednia ekranizacja – Davida Lyncha – budziła mieszane uczucia. Był też telewizyjny miniserial. Warto jednak wracać na Arrakis bez pomocy filmowców. Intrygująca, świetnie napisana książka. Herbert doceniał też rolę religii w porządkowaniu świata. W jego Imperium czytana jest Biblia katolicko-protestancka, zaś w symbiozie świeckiej wła-

dzy, religii i dżihadu charakterystycznej dla Femenów z Arrakis trudno nie widzieć aluzji do islamu. A co do aktualności – społeczeństwo wolnego handlu, feudalnych współzależności, zaawansowanej nauki i starych religii: czy trudno sobie wyobrazić taką przyszłość? ©



★★★★★
FRANK HERBERT
„DIUNA”
REBIS 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Utkana z relacji i wspomnień opowieść o Powstaniu Warszawskim, której narratorkami i bohaterkami są kobiety. Nie jest to zbiór rozmów, autorka sama ułożyła ogromny materiał w zwartą całość – z korzyścią dla książki.



AGNIESZKA CUBAŁA
„KOBIETY '44”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Nie tyle klasyczny komiks, ile obrazkowa opowieść z podpisami, o bojowniczkach o niepodległość, Polkach przemycających przez granice zaborów broń i amunicję. Piękny hołd połączony z publikacją edukacyjną.



MARTA FREJ
„DROMADERKI”
CENTRALA –
MĄDRE KOMIKSY

Podsumowanie ponad dwóch dekad terrorizmu w Rosji. Najbardziej niepokojące tam, gdzie autor przypomina, jak często ślady wskazują na to, że mogły to być operacje kontrolowane przez służby reżimu Putina.



PAWEŁ SEMMLER
„ROSJA WE KRWI”
CZARNE

Autor popularnych powieści grozy powraca. Akcja rozpięta jest między latami 80. XX w. i współczesnością, a fabułę napędza próba wyjaśnienia zagadki specyficznego rodzaju wampiryzmu. Eastern gothic z serca Bieszczad. ©

poleca Piotr Gociek



STEFAN DARDA
„JEDNA KREW”
VIDEOGRAF

KOMIKS TYGODNIA:

„PROMETHEA”

Nie tylko kino jest snem, dowodzi tego surrealistyczna seria komiksowa wymyślona przez Alana Moore’a. Z pozoru opowieść o nietypowej superbohaterce, zarazem opowieść alternatywna i fantazja okultystyczna. Aby świata broniła Promethea, potrzebne jest przekonanie, że jest potrzebna, tutaj więc komiksowa historia zamienia się w przypowieść o relacji między twórcą, dziełem



ALAN MOORE,
J.H. III WILLIAMS,
MICK GRAY
„PROMETHEA.
KSIĘGA TRZECIA”
EGMONT 2020

a odbiorcą. Właśnie ukazał się tom trzeci i ostatni edycji zebranej przygód Promethei, komiksu imponującego rozwiązaniami graficznymi, niezliczonymi odniesieniami do kultury, popkultury i mitologii. ©

poleca Piotr Gociek



Lament i tany

FOT. MATERIAŁ PRASOWY

„To lament autobiograficzny” – puszcza oko Karolina Cicha, opisując swój najnowszy singiel. Jej jest tekst, jej muzyka, a wykonanie wspólne z Kayah. „Nadchodzi światu memu ta wymowna data, / półmetkiem życia zwana, w mądrość bogata / [...] Jędrne me policzki wolniutko marszczę, / oczy me blask tracą, siwieje niejeden włos, / ciało się w kształt zmyślny już mi nie formuje, / czas je

niedo piłuje” – śpiewają. Ale kończą: „Gdy czas się dokona, / gdy ciało pokona / Gdy bój nasz skończony, niech dusza – pójdzie w TANY!”. „Płacz nad młodością, co odchodzi” to zapowiedź płyty „TANY” Karoliny Cichej. Album, pełen tanecznych i nowoczesnych brzmień, będzie – do czego artystka nas przyzwyczaiła – zakorzeniony w tradycjach muzycznych Podlasia. O Karolinie, kompo-

zytorce, wokalistce, eksploratorce muzyki folk, Kayah mówi: „Jestem oczarowana Karoliną, odkąd zobaczyłam ją w telewizji, siedzącą na krzesłku, akompaniującą sobie na akordeonie oraz różnych przeskadzajkach i dzwoneczkach pozawieszanych na stopach. Do tego pięknie śpiewała. Już wtedy pomyślałam sobie, że byłoby idealnie zrobić z nią kiedyś wspólny utwór. Mijały lata, aż w końcu moje marzenie

się spełniło i Karolina zapytała mnie, czy zaśpiewałabym z nią któryś utwór na nową płytę”. To, że padło akurat na „Płacz...”, było wyborem Kayah, która uznała, że to właśnie ten utwór z całego albumu przemówił do niej najbardziej. Teledysk powstał w domku działkowym Karoliny.

– Ucieszyło mnie, że Kayah z całej płyty „TANY” wybrała sobie piosenkę o tak delikatnej tematyce. Dodatkowy szacun za odwagę – komentuje Karolina Cicha. – Etniczną ekspresję głosu Kayah podziwiałam od wielu lat. Kayah była dla mnie uosobieniem rootsowej energii, kimś niezwykle prawdziwym i przekonującym w tym, co robi. Moment, w którym usłyszałam w studiu głos Kayah śpiewającej wraz ze mną „Płacz nad młodością, co odchodzi”, był dla mnie zupełnie magiczny – dodaje. Premierę albumu „TANY” zaplanowano na 11 września. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

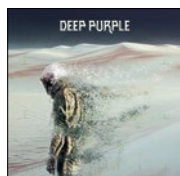
NA SŁUCH

Znane i kochane

Deep Purple jest w Polsce zespołem nietykalnym. Nasi radiowcy zbudowali grupie gigantyczny pomnik, dzięki któremu piosenka „Thrown My Bones” mogła w maju dotrzeć do 2. miejsca trójkowej Listy Przebojów (sic!).

Grupa, będąc pionierem metalu, odegrała znaczącą rolę w latach 1970–1974. Z perspektywy historii rocka był to zacy epizod, ale do annałów kierunku przeszły dokonania Led Zeppelin i Black Sabbath. Reaktywacja zespołu w 1984 r. wzbudziła zainteresowanie, jednak kolejnych 10 studyjnych albumów elektryzowało już tylko fanów. Purple przez ostatnie 35 lat odcinają kupony i w Europie oprócz byłych demoludów wielbieni są jeszcze w Niemczech.

Na albumie „Whoosh!” wszystko jest wedle oczekiwań leciwych fanów. Kompozycje rozpoczyna gitarowy riff, perkusja dudni, wokół jęczy, organy grają barokowe pasaże, a przesterowana gitara wywija solówki. Doceniam znaczne, zmuszające brzmienie odbudowane przez legendarnego producenta Boba Ezrina, z którym grupa współpracuje od trzech albumów. Przyświecające jego pracy hasło: „Deep Back in Purple” jest jednak średnio warte, jeśli brakuje niosących album utworów. Pod tym względem znacznie lepiej wypada płyta „No What?” sprzed siedmiu lat. Ciekawostką na „Whoosh!” jest nowa wersja instrumentalu „And the Address”, który otwierał debiutancki album grupy „Shades of Deep Purple” sprzed... 52 lat. ©



★★★★★
DEEP PURPLE
„WHOOSH!”
EAR MUSIC



★★★★★
ALANIS MORISSETTE
„SUCH PRETTY FORKS IN THE ROAD”
EPIPHANY

To album o szukaniu zadowolenia w wieku średnim. Morissette, koncentrując się na wewnętrznej podróży, zmaga się z lękami, nałogami, rodzicielstwem i partnerstwem. Melodie podporządkowane są nastrojowi, który podkreślany jest też przez w większości spokojną muzykę.



★★★★★
ART BLAKEY & THE JAZZ MESSENGERS
„JUST COOLIN”
BLUE NOTE

Niepublikowana sesja z marca 1959 r. Legendarny perkusista nie wydał jej, gdyż lepiej wypadły nagrania koncertowe znane z albumu „At the Jazz Corner of the World”. Zespół w składzie m.in. z Hankiem Mobleyem i Lee Morganem gra precyzyjnie, ale jednak nie porywa. ©©

Tego się można było spodziewać, niemniej z satysfakcją przyjęliśmy wyniki Festiwalu Muzyki Tanecznej, zakończonego kolejnym wielkim triumfem Zenka Martyniuka, jakże słusznie obwołanego królem Zenonem Pierwszym. W szlachetnej i jakże pasjonującej rywalizacji, której świadkami była rozentuzjasmowana widownia kieleckiego amfiteatru Kadzielnia oraz równie zachwycona milionaowa publiczność telewizyjna, refleksyjny utwór artysty „Życie to są chwile” zdystansował tak silne konkurentki jak pieśni: „Jesteś zaręczysta”, „Mama ostrzegała” czy „Szalona blondynka”, w pełni zasługując na szczytne miano Tanecznego Przeboju Roku. Dwudniowa impreza, iście królewska, której patronowała inna koronowana głowa, król polskich didżejów Marek Sierocki, poświadczyla niezmiennie wysoki poziom polskiej kultury, i to jeśli chodzi zarówno o jej nadawców, jak i odbiorców.

Po zakończeniu tego „Szalonego party Marka Sierockiego”, przyłączając się do powszechnych gratulacji dla króla Zenona Pierwszego, pozwolę sobie nieśmiało wyrazić jednak żal, że nie w pełni doceniony został ambitny zespół Classic, któremu należało się chociażby wyróżnienie specjalne za brawurową interpretację dzieła zasłużonego artysty PRL, a obecnie wyrafinowanego komentatora politycznego Zbigniewa Hołdysa „Nie płacz, Ewka”. Brawo, podwójne brawo!

Ani się obejrzymy, a w pierwszy weekend września czeka nas organizowany już po raz 57., choć wcześniej niekoniecznie we wrześniu, Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki, po upadku Polski



FOT. DAWAN KLAWKA/EST NEWS

Głowy do pozłoty



Krzysztof Masłoń

Ludowej konsekwentnie prezentujący te same piosenki wykonawców jeszcze żywych lub coraz częściej – niestety – zastępowanych – znów

niestety – mniej zdolnymi następcami. Ciekawe, w jakiej roli objawi się na festiwalu nad Odrą inna absolutnie godna już nie królewskiej,

ale cesarskiej korony osobowość szklanego ekranu, a mianowicie wszechstronnie utalentowany Przemysław Babiarz. Sądzę, że po jego znanych i uznanych popisach kabaretowych mogłoby znaleźć odpowiednie dla siebie miejsce w koncercie piosenki literackiej „A po nocy przychodzi dzień”, na którym mają ponoć być przedstawione utwory nie tylko poetyckie, lecz także zaangażowane. Słowem, kultura wysokich lotów w sam raz dla tego wytrawnego znawcy lekkooatletyki, a więc i skoku wzwyż.

Na razie objawia się nam w kolejnym prowadzonym przez niego z niezrównaną maestrią teleturnieju „Giganci historii”, nowej sztandarowej produkcji odnowionej TVP Historia. Nie wątpię, że z pomocą innego telewizyjnego omnibusa Macieja Kurzajewskiego osiągnie on dla tego programu rodzimej produkcji sławę i chwałę. Tworząc – zacytuję redaktora naczelnego TVP Historia, Piotra Legutkę – „wspañiałą atmosferę napięcia i rywalizacji”. Martwię się tylko o jedno: Polacy podobno lubią piosenki jak filmy – te, które znają. I stąd biorą się sukcesy takich przedsięwzięć jak te, które dane nam było podziwiać w Kielcach. Jeśli jednak chodzi o wiedzę historyczną naszego narodu, a zwłaszcza młodszej jego części, to pozostawia ona sporo do życzenia. Jak zatem będzie z oglądalnością „Gigantów historii”? Na szczęście „premiera nowych odcinków planowana jest na sobotnie wieczory i niedzielne popołudnia, a w tygodniu będą powtórki o różnych porach dnia, dzięki czemu zsumowana widownia będzie spora i koszty się z pewnością zwrócą” – pociesza nas i siebie Piotr Legutko.

No to jesteśmy w domu. To znaczy w telewizji. ©©

Zapomniano obalić m.in. pomnik Marksa, który w 2018 r. odsłonięto w niemieckim Trewirze

FOT. ADOBESTOCK

Obalanie pomników – o kim zapomnieli lewacy



Grzegorz Kucharczyk

Zgodnie z „krytyczną teorią rasizmu” wyznawaną przez niszczących pomniki „białych martwych mężczyzn” hunwejbínów z takich rewolucyjnych grup jak Black Lives Matter wszyscy biali to rasiści. A najgorsi są biali heteroseksualni mężczyźni przyznający się do chrześcijaństwa

Wten sposób Kolumb, Pułaski, Kościuszko, gen. Lee, Baden-Powell i Churchill trafili do jednego worka postaci przeznaczonych do wygumkowania zgodnie z „cancel culture”, jak mówią za oceanem.

WOLTER I LUDZIE PRZED ADAMEM I EWĄ

Gdyby jednak rewolucyjna młodzież z BLM chciała poszperać w swoim macierzystym obozie „postępu”, musiałyby runąć kolejne pomniki. Ot, na przykład Woltera. Autor „Kandyda” wyznawał bowiem pogląd, że „gatunek ludzki rządzi się tymi samymi prawami, co świat roślinny, podobnie jak grusza, sosny, dęby, morele nie wywodzą się z jednej rośliny, tak biali, czarni, żółci oraz ludzie o gładkich twarzach nie wywodzą się od jednego człowieka”.

W ten sposób Wolter wyrażał swój akces do tzw. preadamickiej teorii, która odrzucała zawarty w Księdze Rodzaju opis stworzenia człowieka, twierdząc, że przed Adamem istniały już istoty ludzkie. Jej autorem był kalwiński teolog z Bordeaux, wywodzący się z portugalskich „maranos” (ochrzczonych Żydów), Isaac La Peyrère. W opublikowanym w 1655 r. po łacinie dziele „Prae-Adamitae” utrzymywał on, że Adam nie był pierwszym rodzicem całej ludzkości, a jedynie Żydów. Natomiast wszystkie inne narody wywodzą się od ludzi, którzy istnieli już przed stworzeniem Adama i Ewy.

Kościół katolicki od początku głoszący pochodzenie całego rodzaju ludzkiego od tych samych pierwszych rodziców (a tym samym odrzucając teorię o „wyższych” i „niższych” rasach) wpisał książkę La

Peyrère’a na indeks ksiąg zakazanych, a samym autorem zajęła się Inkwizycja – na tyle skutecznie, że odwołał on swoje poglądy, a po pielgrzymce do Rzymu i rozmowie z papieżem nawrócił się na katolicyzm.

Jak wiadomo, Wolter nie przeszedł takiej przemiany, a w jego wersji teoria La Peyrère’a przybrała zdecydowanie antychrześcijański charakter. Autor „Kandyda” całkowicie bowiem odwrócił jej wymowę, podkreślając, że od Adama i Ewy pochodzą „niższe rasy” (w tym Murzyni), a „wyższe” (tj. biali Europejczycy) od ludzi istniejących przed aktem stwórczym opisanym w Biblii.

W takim stanowisku odzywał się również antysemityzm „patriarchy oświecenia”. Wolter w swoim „Eseju o obyczajach” stwierdzał, że „Żydzi zachowywali wszystkie swoje zwyczaje, które stoją w opozycji do wszystkich właściwych społecznym zwyczajów; słusznie więc traktowano ich jako lud będący w opozycji do wszystkich innych, służący innym narodom, kierując się chciwością i nienawiścią oraz fanatyzmem, czyniąc z lichwy świętą powinność”.

Podobną narrację stosował Wolter w „Słowniku filozoficznym”, pisząc o Żydach jako „małym, ignoranckim i ciemnym narodzie”. Dodawał jednocześnie, że „trzeba być wielkim ignorantem albo wielkim łajdakiem, by twierdzić, że Żydzi nauczali Greków”.

„REAKCYJNE NARODY” MUSZĄ ZNIKNAĆ!

Antysemickich tyrad nie brakowało również w pismach Karola Marksa, który według obowiązujących aktualnie w obozie rewolucyjnego postępu kryteriów „systemowego rasizmu” także należał do „cywilizacji martwych białych mężczyzn”. Corpus delicti odnajdujemy w liście Marksa do Fryderyka Engelsa o Ferdinandzie Lassalle’u, twórcy pierwszej partii o profilu socjaldemokratycznym w Niemczech (niepodzielającym jednak bezkrytycznie marksowskiej wizji dziejów): „Jest teraz dla mnie całkowicie jasne, że jak wskazuje kształt jego głowy i sposób, w jaki rosną jego włosy, pochodzi on od Murzynów, którzy przyłączyli się do ucieczki Mojżesza z Egiptu. [...] To połączenie Żyda z Niemcem na murzyńskiej bazie musiało wyprodukować nadzwyczajną hybrydę”.

Z kolei Engels w listach do Marksa o Lassalle’u pisał najczęściej „Icek” vel

„baron Icek” albo „żydowski Murzyn”. Engels nie tylko był rasistą. Z aprobatą patrzył na rozbudowę europejskich kolonialnych imperiów. W 1848 r. pisał, że „podbój Algierii jest ważnym i korzystnym czynnikiem dla postępu cywilizacji. A jeśli możemy ubolewać nad utraconą wolnością Beduinów z pustyni, to nie wolno nam zapominać, że ci sami Beduini byli narodem rabusiów”. A zresztą „nowoczesny burżuj, z cywilizacją, przemysłem, porządkiem i choćby względny oświeceniem, jakie ze sobą przynosi, jest lepszy od pana feudalnego czy koczowniczego rozbójnika”.

Engels zaakceptował naczelną tezę tzw. oficjalnej pruskiej historiografii (Leopold von Ranke et consortes) o istnieniu „narodów historycznych” (czytaj: Niemców i Francuzów), które stworzyły zachodnią cywilizację, oraz „narodów bez historii” – w tym gronie wszystkie narody Europy Środkowej i Wschodniej plus Irlandczycy – które były biernymi uczestnikami procesu ich cywilizowania przez „nacje historyczne”. W naszym regionie takimi naznaczonymi przez Historię cywilizatorami „dzikusów” byli Niemcy.

Zniknięcie z mapy Europy takich „pozabawionych historii” narodów – przekonywał Engels – byłoby czymś zgodnym z „obiektywnym rozwojem dziejowym”, byłoby wprost rozwojową koniecznością i czymś postępowym. W okresie Wiosny Ludów Engels podkreślał, że „owe szczątki ludów występują za każdym razem jako fanatyczni nosiciele kontrrewolucji i pozostają nimi aż do zupełnej swej zagłady bądź wynarodowienia, tak jak w ogóle samo ich istnienie jest już protestem przeciw wielkiej rewolucji historycznej”.

Współtwórca „naukowego socjalizmu” doskonale wpisywał się w ten sposób w klimat duchowy, który w latach 1848–1849 zapanował w liberalnych i lewicowych elitach politycznych krajów niemieckich. To przecież w czasie tzw. polskiej debaty w parlamencie frankfurckim (niemiecka konstytuanta) w lipcu 1848 r. reprezentant lewicy heglowskiej Wilhelm Jordan deklarował, że „czas skończyć z użalaniem się nad Polską”, bo „przyszedł czas zdrowego egoizmu narodowego”. Odstąpienie od przyłączenia całego Poznańskiego do nowej demokratycznej Rzeszy Niemieckiej byłoby według Jordana i jego politycznych kolegów „aktem zdrady wobec

Niemiec jako narodu ucieleśniającego kulturę [Kulturvolk]”.

Wynurzenia Engelsa całkowicie więc mieściły się w nurcie „narodowego przebudzenia” idącego przez państwa niemieckie w okresie Wiosny Ludów. W tym samym czasie, gdy liberalno-radykalna większość w parlamencie frankfurckim nie tylko domagała się aneksji przez Rzeszę całego Wielkiego Księstwa Poznańskiego, lecz także Szlezewiku zamieszkanego przez Duńczyków, Engels pisał: „Takim samym prawem, jakim Francuzi zabrali Flandrię, Lotaryngię oraz Alzację, i prędzej czy później zabiorą Belgię – takim samym prawem Niemcy zabierają Szlezewik: prawem cywilizacji wobec barbarzyństwa, prawem postępu wobec zastoju”.

Co znamienne, tego typu poglądom Engels pozostał wierny do końca swojego życia. W 1882 r. w jednym z listów pisał o Słowianach: „Mam w sobie tyle autorytaryzmu, że uważam za anachronizm istnienie takich małych prymitywnych narodów w sercu Europy [...], trzeba te narody oraz ich prawo do grabieży była poświęcić bez litości w imię interesu europejskiego proletariatu”.

Jeśli dobrze wczytać się w słowa Engelsa z tego okresu, to przyszła rewolucja miała być nie tylko eksterminacją „klas wyzyskujących”, lecz także jej koniecznym dopełnieniem musi być ludobójstwo: „Najbliższa wojna światowa zmiecie z powierzchni ziemi nie tylko reakcyjne klasy i dynastie, lecz także całe reakcyjne narody. A to jest także postęp”.

GRZECH NAJWIĘKSZY: HOMOFOBIA

Gdybyż tylko to obciążało Engelsa (zresztą gromy na „reakcyjne narody” Europy Środkowej spadają dziś regularnie ze strony jego ideowych spadkobierców). Okazuje się, że był nie tylko rasistą, lecz także homofobem – a to grzech bardzo ciężki w oczach całego postępowego, różnorodnego świata. W 1869 r. z nieukrywanym obrzydzeniem informował Engels Marksa o tym, że „pederaści zaczynają liczyć swoje szeregi i uważają, że stanowią siłę w państwie [...]”. Całe szczęście, że my osobiście jesteśmy zbyt starzy, byśmy w razie zwycięstwa tej partii mieli się jeszcze obawiać, że każą nam ciałem płacić haracz zwycięzcom [...]. Nam biednym ludziom operującym frontalnie, z naszą dziecinną skłonnością do kobiet, niełatwo wówczas będzie żyć”.

Ileż w tych słowach nienawiści, pogardy i kulturowego wykluczania. I pomyśleć, że pisał to człowiek, który przez długie lata sponsorował Karola Marksa, a nawet zdaniem niektórych historyków to on, o wiele bardziej niż autor „Kapitału”, był właściwym autorem nowej teorii rewolucyjnego przewrotu. Tymczasem mamy do czynienia z typowym reprezentantem świata „białych martwych mężczyzn”.

Nie wiadomo, czy hunwejbini z Antify i BLM namierzali już pomniki Engelsa (może jakiś stoi w okolicach Parlamentu Europejskiego?). Skądinąd ciekawe, czy rewolucyjna młodzież domagać się będzie usunięcia z uniwersyteckich i publicznych bibliotek dzieł Engelsa, w tym jego traktatu „O pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa” (1864) – elementarza rewolucyjnego uderzenia w rodzinę jako „miejsca wyzysku”?

LINCOLN: NAJLEPIEJ, ABY MURZYNI WYJECHALI

Mauzoleum Lincolna w Waszyngtonie ze słynną siedzącą figurą amerykańskiego prezydenta – to dopiero wyzwanie dla uświadomionej politycznie młodzieży z kilofami w ręku. Dekapitacja pomnika Kolumba to tylko mała wprawka. A przecież Lincoln, choć przeciwnik niewolnictwa, był zadeklarowanym zwolennikiem segregacji rasowej. Gdy w 1858 r. z powodzeniem ubiegał się o mandat senatora w Illinois, co – jak się okazało dwa lata później – było początkiem jego drogi do Białego Domu, w czasie jednej z debat przedwyborczych mówił: „Nie opowiadałem się ani nigdy nie opowiadałem się za wprowadzeniem w taki czy inny sposób społecznej i politycznej równości między białą a czarną rasą. Nigdy nie byłem i nie jestem za uczynieniem z czarnych sędziów lub wyborców ani też za udzieleniem im prawa do pełnienia urzędów publicznych lub też zawierania małżeństw z białymi. Dodatkowo powiem jeszcze, że między białą a czarną rasą istnieje fizyczna różnica, która, jak sądzę, zawsze będzie przeszkodą na drodze społecznej i politycznej równości między tymi dwiema rasami. A ponieważ nie mogąc osiągnąć takiego stanu, rasy te muszą żyć razem, musi być ktoś na wyższej lub niższej pozycji. Jeśli chodzi o mnie, to uważam, podobnie jak wszyscy inni, że ta wyższa pozycja powinna być przypisana rasie białej”.

Abraham Lincoln odrzucał za przyczyn moralnych instytucję niewolnictwa, co

nie oznaczało jednak, że był zwolennikiem zniesienia segregacji między białymi i czarnoskórymi (już wolnymi) obywatelami Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej utworzenia wielorasowego społeczeństwa. Gdy trwała już wojna secesyjna, prezydent Lincoln przemawiając w 1862 r. do delegacji społecznościi murzyńskiej, deklarował: „My i wy jesteśmy innymi rasami. Istnieje między nami większa różnica niż między jakimikolwiek innymi dwiema rasami [...]. Ta fizyczna różnica jest dużą niedogodnością dla naszych ras, ponieważ uważam, że wasza rasa straszliwie cierpi, żyjąc wśród nas, a nasza rasa cierpi poprzez waszą obecność. Słowem, cierpimy z obu stron. [...] Lepiej jest więc dla nas być odseparowanymi od siebie”.

Jeszcze przed wybuchem wojny domowej w USA Lincoln dawał do zrozumienia, że najskuteczniejszym remedium na tak zdiagnozowane „cierpienie obu ras” byłaby masowa emigracja czarnej ludności z USA do Afryki lub na Karaiby. W 1852 r. Lincoln przekonywał, że Stany Zjednoczone wspierając taką emigrację, mogłyby uwolnić się od „niebezpiecznej obecności niewolnictwa, a jednocześnie przywrócić niewolnikom ich dawno utraconą ojczyznę”. W grudniu 1862 r. podczas orędzia do Kongresu już jako urzędujący prezydent powtórzył tę opinię.

Tak naprawdę bowiem Lincolnowi nie chodziło o los czarnych niewolników, a o uratowanie Unii. Krótko po wybuchu wojny secesyjnej, odpowiadając na proaboliconistyczny apel redaktora nowojorskiej „Tribune”, prezydent odpowiedział: „Moim zasadniczym celem w tej walce jest uratowanie Unii, a nie zachowanie lub zniszczenie niewolnictwa. [...] To, co robię w sprawie niewolnictwa i kolorowej rasy, czynię, uważając, że pomoże to zachować Unię”.

W czasie tego samego przemówienia przed Kongresem w grudniu 1862 r., w którym powracał do idei emigracji czarnej ludności z USA, Lincoln zaproponował plan likwidacji niewolnictwa w południowych stanach do 1900 r. Dla właścicieli niewolników przewidywana była rekompensata finansowa ze środków federalnych. Trudno to nazwać strategią szybkiego i radykalnego zerwania z dyskryminacją i poniżaniem „kolorowej rasy”.

Nawet uwzględniając, że mógł to być element gry politycznej z Południem,

które już ogłosiło wyjście (secesję) z Unii, to jednak nie sposób przejść do porządku dziennego nad wcześniejszymi wypowiedziami przyszłego prezydenta. Nic, tylko rasista i segregacionista.

LAUREAT POKOJOWEGO NOBLA I NIERÓWNOŚĆ RAS

Rozważania o kulturowej wyższości „anglosaskiej rasy” stale obecne były w piśmiennictwie amerykańskich progresyistów z przełomu XIX i XX w. Jednym z nich był Woodrow Wilson – rektor Uniwersytetu w Princeton, a w latach 1913–1921 prezydent USA i laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1919).

U progu swej naukowej kariery Wilson opublikował w 1889 r. rozprawę „Państwo: elementy historycznej i praktycznej polityki”. We wstępie autor zaznaczył, że jego zamierzeniem jest analiza systemu rządów w państwach stworzonych przez „rasy aryjskie”. Główna teza rozprawy głosiła bowiem, że istnieje ścisły związek między rozwojem instytucji demokratycznych a rasą. Wilson przekonywał, że prawdziwa demokracja zapanowała tylko w USA oraz krajach „poczętych przez angielską rasę”. Amerykańska demokracja zrodziła się natomiast dzięki temu, że Anglicy koloniści „pozwolili swobodnie działać zwyczajom oraz instynktom ich rasy”.

W ostatnim tomie swojej „Historii narodu amerykańskiego”, który ukazał się w 1902 r., Wilson wyrażał swój krytycyzm wobec napływu do Stanów Zjednoczonych „ludzi niższych klas z południa Włoch oraz ludzi najuboższej kondycji z Węgier i Polski”. Tacy imigranci reprezentowali zdaniem prof. Wilsona niższy od „krzepkich szczepów z północy Europy” poziom kulturowy. Przybysze z południowej i ze wschodniej Europy „nie posiadają ani umiejętności, ani energii, ani jakiegokolwiek inicjatywy złączonej z bystrą inteligencją”. Wysyłając ich do Ameryki, kraje ojczyste „pozbywały się w ten sposób ciężaru w postaci topornych i nędznych elementów ze swoich społeczeństw”.

Podobnie jak cały ruch progresywny w USA również Wilson był gorącym zwolennikiem eugeniki, traktowanej przez to środowisko jako „naukowe” podejście do radzenia sobie z problemem „jednostek społecznie nieużytecznych”. Wilson jako gubernator stanu New Jersey podpisał w 1911 r. ustawę nakazującą przymusową sterylizację „imbecyli”

oraz innych osób, będących „obciążeniem” dla społeczeństwa. Na marginesie można dodać to, o czym od lat piszą historycy, że „osiągnięcia” amerykańskiego ruchu eugenicznego obserwował Hitler, a amerykańskie ustawodawstwo w tym zakresie było jedną z ważnych inspiracji dla praw norymberskich z 1935 r. wprowadzających w Rzeszy Niemieckiej segregację rasową o odcieniu antysemickim.

Zamykając wątek związany z Woodrowem Wilsonem, należy przypomnieć, że w czasie paryskiej konferencji pokojowej (styczeń–czerwiec 1919 r.) ustalającej polityczny ład międzynarodowy po pierwszej wojnie światowej, amerykański prezydent skutecznie sprzeciwił się wpisaniu do Paktu Ligi Narodów zasady równości ras, o co zabiegała delegacja japońska. Dodatkowym smaczkiem było to, że Japończycy powoływali się na zapis w amerykańskiej Deklaracji Niepodległości (1776), głoszący, że „wszyscy ludzie zostali stworzeni równi”.

Amerykański prezydent w 1919 r. pozostał jednak wierny swoim wcześniejszym poglądom w kwestii „równości ras”. Dobitnie wyraził je dwa lata wcześniej podczas jednego z posiedzeń rządu amerykańskiego. Wyrażając swój sceptycyzm co do sensowności wchodzenia Ameryki do wielkiej wojny, Wilson podkreślał, że naczelnym celem polityki amerykańskiej powinna być raczej troska o to, by „biała rasa zachowała silną pozycję wobec rasy żółtej – na przykład wobec Japończyków”.

Takie poglądy nie przeszkodziły Wilsonowi jako inicjatorowi powołania Ligi Narodów w otrzymaniu w 1919 r. Pokojowej Nagrody Nobla. Aż do dzisiaj Wilson jest jednym z ulubieńców amerykańskiej lewicy. Jego imieniem nazwany jest jeden z najważniejszych amerykańskich lewicowych think tanków (Woodrow Wilson Center). Zanim kilofy pójdą w ruch, poruszyła się już społeczność akademicka, od pół wieku zawsze w awangardzie ruchu rewolucyjnego. Macierzysta uczelnia Wilsona – Uniwersytet w Princeton – już zakazała upamiętniania w swoich murach swojego byłego rektora z powodu „uprzedzeń rasowych”.

W każdym razie widać, że przed rewolucyjnymi brygadami z BLM i Antify jeszcze sporo ciężkiej fizycznej pracy. Bo chyba na inną nie ma co liczyć.



Marek Jurek

Pisarstwo Pawła Jasienicy pozostaje jednym z pomników współczesnego polskiego konserwatyzmu

Mija 50 lat od śmierci Pawła Jasienicy. Ten wielki pisarz traktowany był przede wszystkim jako panoramista i kustosz dziejów Polski, wielka postać opozycji z czasów „małej stabilizacji” PRL, ofiara prześladowań i inwigilacji, partyzant niepodległościowego powojennego podziemia. Życie człowieka może być dziełem sztuki, ciekawszym niż spisane dramaty. Dzieło Jasienicy sięga jednak dalej niż pamięć o zmaganiach ze swoim czasem.

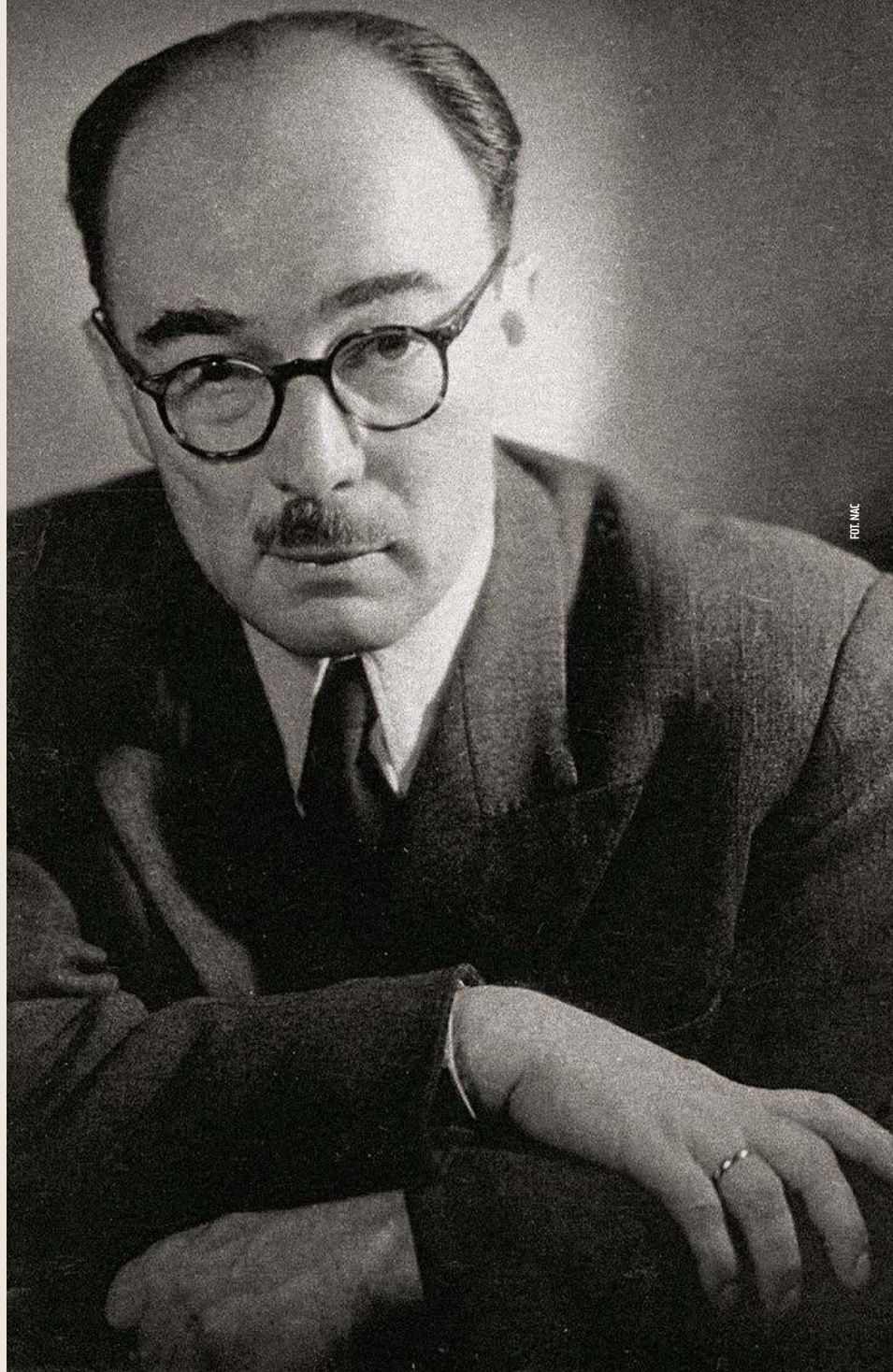
Przywilejem artystów jest najdalej idąca oryginalność. Jasienica drażnił władzę, mógł drażnić również czytelników. Jego „gallikańskie” wycieczki pod adresem Kościoła i dziś irytują odbiorcę przywiązane do sarmackiej tradycji. Tymczasem pisarstwo Jasienicy pozostaje jednym z pomników współczesnego polskiego konserwatyzmu. Ten aspekt – wobec ogólnie antykomunistycznej funkcji jego twórczości – schodził na drugi plan. Dzisiaj czas go stamtąd wydobyć.

Z MARZEŃ NASZYCH KSIĄŻĄT

W jednej ze swoich najważniejszych książek, „Polsce Piastów”, Jasienica pisał o państwie, które zbudował upór narodowej dynastii, jej nieugięta walka o scalenie ziem, po które sięgała, o niezależność od sąsiadów, szczególnie od cesarstwa, ale również o uznanie z jego strony i w całym chrześcijaństwie.

Książka ta drażniła komunistyczną krytykę, gdyż widziała w niej reakcyjną interpretację dziedzictwa, które chciano zawłaszczyć. Polska piastowska miała być właśnie ich, swojska, luźno związana z Zachodem, w odróżnieniu od włosko-litewskiego i sięgającego daleko na wschód królestwa Jagiellonów. Miała być ludowa, poczęta w pogaństwie, samoczynnie wyrastająca ze zdrowego etnicznego pnia. Powrót do początków miał służyć zanegowaniu całej późniejszej historii.

Ostatni kronikarz Korony



FOT. MAC

„Polska Piastów” ukazała się w szczytowym momencie Wielkiej Nowenny Tysiąclecia, Jasienica więc otwierał przeciw komunistom drugi front. Prymas Wyszyński pokazywał chrześcijaństwo jako duszę narodu, Paweł Jasienica – monarchię jako jego ciało. Obie idee delegitymizowały komunistyczną usurpację i zadawały kłam oficjalnej propagandzie.

Narracja Jasienicy nie miała charakteru tryumfalistycznego, przeciwnie. Jednak właśnie porażki państwa – wygnanie Bolesława Śmiałego, konflikt Władysława II z braćmi, załamanie śląskich planów zjednoczeniowych po bohaterskiej śmierci Henryka Pobożnego pod Legnicą – uwypuklały cenę klęsk (trwałą utratę Śląska i czasową Pomorza), ale również wagę niezdeterminowanych zwycięstw. Poza wszystkim to dynastyczna jedność piastowskich książąt utrzymała byt państwa mimo dwupółwiekowego rozbitcia i utraty korony.

Dla Jasienicy dorobek Piastów skumulował się w panowaniu ostatniego króla z narodowej dynastii, Kazimierza Wielkiego. Zostawił nie tylko „Polskę murowaną”, lecz także dwa zasadnicze składniki naszej tożsamości. Po pierwsze dopełnione pojęcie państwa – Koronę Królestwa Polskiego – tworzące niepodzielną całość, w którym władca był depozytariuszem tronu, a nie jego dysponentem. Jak pisze Jasienica, byliśmy w Europie „podwójnym” wyjątkiem, bo „inny jeszcze kraj wyznawał wtedy »barbarzyńskie« poglądy o zupełnej niezależności państw narodowych – Francja. Rządzili nią Kapetyngowie, ród królewski młodszy od Piastów [...], ale istota rzeczy i we Francji, i w Polsce wyglądała całkiem podobnie – chodziło o suwerenność państwa narodowego”. Jacques Bainville, który sformułował tę wizję we Francji, oczekiwał się (niezależnie od swych monarchistycznych poglądów) ogólnonarodowego uznania, czas, by Jasienica zyskał porównywalne w Polsce.

Kazimierz Wielki, po drugie, pozostawił cywilizację polską i jej horyzont geopolityczny. Jego królestwo sięgnęło daleko na wschód. Gdy ów – jak pisze Jasienica – „król katolicki i polski” objął panowanie nad krajem „ruskim i prawosławnym”, rozszerzając granice po Kamieniec Podolski, już wtedy w „królestwie polskim istniały dwa języki i dwa alfabety urzędowe – łacina i ruski”. Król nie tylko „żadnej walki z prawosławiem

nie prowadził”, lecz także postanowił je „podźwignąć z rozprzeżenia i upadku”, odnawiając metropolię w Haliczu. „Również zamieszkali we Lwowie Ormianie – nienależący jeszcze wtedy do Kościoła katolickiego – oraz Tatarzy otrzymali swobody”. Jasienica wszystkie te fakty przeciwstawiał „fałszywemu mniemaniu, że dopiero czasy jagiellońskie przyniosły wspaniałą tolerancję”. Tak, Dom Jagiełły był raczej beneficjentem i kontynuatorem niż twórcą tej cywilizacji. I nie tak sobie piastowska Polska wyobrażali administratorzy PRL.

WIARA I LUD

Opowieść o losach Domu Mieszka miała jednak więcej szczęścia niż całkowicie już niecenzuralne „Rozważania o wojnie domowej”. Ta książka o katolickim powstaniu wandejskich chłopów przeciw królobójczej republice uderzała już w samo serce komunistycznej usurpacji, w „ludowe” pretensje PRL. Była bowiem również parabola ludowej wojny, którą Polska toczyła po 1944/1945 roku przeciw narzuconej przez Sowietów władzy, w niej zaś Jasienica brał osobiście udział jako adiutant mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, dowódcy 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. Nie trzeba było snuć analogii, wystarczyło opisać Wandę, podobieństwo (szczególnie psychologiczne i socjologiczne) narzucały się same.

W Wandei wiara (wraz z wyznającą ją i chroniącą monarchią) była bezpośrednim motywem zaangażowania, a dla większości ludzi, przede wszystkim biednych, była zasadniczą treścią ich życia, więc wolności. Jasienica jednak broni nie tylko motywacji obrońców przedrewolucyjnej Francji, lecz także jej samej. Przekonuje z Chestertonem, że „najbardziej liberalna republika dzisiejsza wydawałaby się ludziom ówczesnym straszny dom niewoli, że stary porządek był po prostu naszpirowany niepojętymi dla nas wolnościami”. I z Maurrasem opisuje dawną Francję jako monarchię tysiąca republik – prowincjalnych i miejskich, uniwersyteckich, cechowych i parafialnych – żyjących pod chroniącą je władzą króla, który – jako uosobienie całości Korony – był „świętością”. „Porównywano kiedyś obrazowo – pisał Jasienica w »Rozważaniach« – ład społeczny do nieszytej sukni Chrystusa, gdyż wystarczyłoby zerwać w niej jedno oczko, by cała

tkanina się spruła. Tak [...] odczuwały tłumy kontrrewolucjonistów”. Pisząc to, Jasienica pokazywał wspólnotę naszych polskich doświadczeń z tymi, którzy pierwsi otwarcie musieli przeciwstawić się barbarzyństwu rewolucji. Od lat 70., od „Szuńskiej ballady” Waldemara Łysiaka, katolicka kontrrewolucja coraz mocniej wchodziła do naszej pamięci historycznej. Potem były książki, szkice i filmy Haliny Popławskiej, Pawła Lisickiego, Piotra Semki, Marka Robaka. Ale kierunek wskazał Jasienica.

CIĄGŁOŚĆ TRADYCJI PAŃSTWOWEJ

Polska, tracąc niepodległość pod koniec XVIII w., straciła również ciągłość tradycji państwowej. Sprawa polska znalazła się w tyleż przypadkowym, co trwałym sojuszu z europejską rewolucją. Mistyka walki „za wolność waszą i naszą” utrudniała zrozumienie trwającego europejskiego dramatu, prawdziwie „Nie-Boskiej komedii”. Głos Krasińskiego, który ją opisał, pozostał długo odosobniony. Podobnie jak apele „Cata” u progu drugiej niepodległości, by zrozumieć, że nasze miejsce – wielkiego historycznego narodu, niechętnie, tak jak Węgry, traktowanego przez postępowy Zachód, kierowanego pod kuratelę Ligi Narodów, stale zagrożonego przez Sowietów – jest w obozie „reakcji”.

Sprzeciw katolicki był łatwiejszy, tym bardziej że aura katolicka nigdy w ciągu ostatnich dwóch i pół wieku nie przestała owiewać polskiej walki o wolność, niezależnie od jej politycznej treści. Gorzej było właśnie z tradycją państwową, rozplywającą się w populistycznych nadziejach na opatrnościową rękę demokracji i przyszłego braterstwa ludów.

Jasienica tymczasem pokazywał, że Polska jest dziełem ludzkiej woli, zbudowanym dzięki 11 pokoleniom władców z naszej pierwszej dynastii. Ani przetrwanie i jedność naszego państwa, ani jego późniejszy prymat wśród narodów Europy Środkowej nie były w żadnym momencie dane z góry naszym przodkom. W ciągu wieków historii dojrzewał i rósł polityczny naród, ale zawsze potrzebował projektującej i jednoczącej siły państwa. Tego państwa, którego niepodległość, siła i ład są najlepszym gwarantem wolności ludu i wszystkich wartości, dzięki którym wolność nie zmienia się w puste słowo ani ideologiczną abstrakcję.

**Z Dorotą Skotarczak,
historykiem,
autorką książek**

rozmawia

Tomasz Zbigniew Zapert



TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Rodzimy kryminał literacki nie narodził się w PRL...

DOROTA SKOTARCZAK: To prawda, mamy pod tym względem całkiem długą historię. Pionierskie polskie powieści kryminalne ukazały się w latach 80. wieku XIX. Mam tu na myśli dwie książki Henryka Nagła: „Tajemnica Nalewek” i „Sęp”. Jednak wątki charakterystyczne dla tego gatunku można już znaleźć w „Sprawie kryminalnej” Józefa Ignacego Kraszewskiego z roku 1872. Jak więc widać, nasza tradycja dorównuje brytyjskiej, związanej z nazwiskiem Arтура Conan Doyle’a. Niemniej złoty okres polskiego kryminału to niewątpliwie okres międzywojenny. Tworzyli wtedy Antoni Marczyński, Adam Nasielski, Marek Romański (właściwie Roman Dąbrowski), a także Piotr Godek, pod którym to pseudonimem kryła się Stefania Osieńska. Epizody sensacyjne pojawiają się również u Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Nasze kryminały z tego okresu pełne były przygód, porwań, pościgów. Nawiązywały do stylu angielskiego pisarza Edgara Wallace’a.

Arcypopularni twórcy prozy sensacyjnej z czasów II RP w powojennej rzeczywistości nie zaistnieli, ponieważ z reguły wybrali emigrację?

Zostali skazani na niebyt, chociaż nie od razu. W latach 1945–1948 można było jeszcze kupić w księgarni powieści Romańskiego czy Marczyńskiego. Jednak bardzo szybko kryminał (podobnie jak romans) został uznany za gatunek burżuazyjny i jako taki godny potępienia. Wszyscy przedwojenni autorzy znaleźli się na liście książek zakazanych. Figurowała tam nawet Agatha Christie! Kryminały znajdujące się w księgarniach i bibliotekach publicznych przeznaczono na przymiół. Z powodu tej akcji oraz wcześniejszych zniszczeń wojennych egzemplarze wczesnych polskich kryminałów są rzadkością. Nie miały dorobek naszej literatury kryminalnej dwudziestolecia międzywojennego zostać zapomniany, dzisiaj już właściwie trudno przywrócić go polskiej kulturze, choć od kilkunastu lat jest systematycznie odkurzany przez współczesnych edytorów.



Niektóre opowieści z cyklu „Ewa wzywa 07” stały się podstawą jednego z odcinków serialu „07 zgłoś się” FOT. Z. JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS

Zbrodnie spomiędzy okładek

Dlaczego autorzy tego gatunku stosowali pseudonimy?

Odpowiedź na to pytanie jest złożona. Wiadomo, że w PRL najpoczytniejsze były kryminały anglosaskie. W związku z tym w Polsce narodził się kryminał pseudo-zachodni. Akcja tego podgatunku toczyła się w świecie kapitalistycznym, toteż żeby uwiarygodnić autentyczność przedstawionych realiów, autorzy zakładali maski. Najbardziej znanym przypadkiem jest Joe Alex, czyli Maciej Słomczyński, używający też pseudonimu Kazimierz Kwaśniewski, którym firmował powieści milicyjne. Andrzej Szczypiorski pisał kryminały jako Maurice S. Andrews, Tedeusz Kwiatkowski przeistoczył się w Noela Randona, Ireneusz Iredyński, umieszczając akcję książki „Ryba płynie za mordercą” we Włoszech, podpisał ją Umberto Pesco. Waldemar Łysiak stworzył pseudonim dla lingwistów – Valdemar Baldhead. Tadeusz Kostecki, autor, który zadebiutował przed wojną, pisał bardzo dużo i aby nie znużyć czytelników swoją produkcją, sygnował ją także personaliami: Krystyn T. Wand względnie W.T. Christine.

W socrealizmie gatunek trafił na cenzorski indeks, lecz w ówczesnej literaturze wątki sensacyjne występowały.

Nie służyły już jednak, tak jak dawniej, rozrywce, tylko propagandzie. Odnaleźć je można, chociaż zniekształcone, w opowieściach o szpiegach, dywersantach, sabotażystach i innych wrogach ludu wydawanych w ramach Biblioteczki Przygód

Żołnierskich (sic!) podległej Ministerstwu Obrony Narodowej.

Intrygom towarzyszyły elementy ideologiczne? Wykorzystywano autentyczne zbrodnie?

Zaraz, zaraz... żebyśmy się nie pogubili. Może trochę systematyki. Polska powieść kryminalna okresu PRL, zwana często milicyjną, przyszła na świat wraz z odwilżą. Skądinąd była jednym z jej symptomów, czego najlepszym przykładem jest „Zły” Leopolda Tyrmanda opublikowany w 1955 r. W następnych latach, poszerzając sfery wolności, zaczęto drukować autorów zza żelaznej kurtyny, dotychczas zakazanych oraz polskich, zaczynających się specjalizować w kryminale. Powstały wtedy bardzo ciekawe utwory, które nazwałam w swojej monografii odwilżowymi. Nawiązują one trochę klimatem do czarnej serii ówczesnych filmów dokumentalnych, głównie autorstwa tandemu reżyserskiego Jerzy Hoffman – Edward Skórzewski, która w sposób krytyczny ukazywała naszą rzeczywistość: powszechne ubóstwo, alkoholizm z przyczyn społecznych, chuligaństwo stanowiące plagę, brak perspektyw... Te tematy pojawiają się też w ówczesnych powieściach kryminalnych Tyrmanda, Dominika Damiana (czyli Adama Bahdaja), Barbary Gordon (Larysy Zajączkowskiej-Mitner). Nierazadko zdarzało się, że prozaicy czerpali inspirację z rzeczywistości. Od początku lat 60. powieść kryminalna w Polsce zaczęła wchodzić w fazę pewnej stabilizacji i schematyzmu.

Przechodząc do kwestii wpływu głównych przestępstw na to piśmiennictwo, to owszem, na kartach książek Gordon i Anny Kłodzińskiej są nawiązania do eksponowanych w dobie małej stabilizacji tow. Wiesława afer gospodarczych: skórzanej i mięsnej. Pod koniec lat 50. pojawiły się dwa tytuły dotyczące kidnapingu: „Porwane dziecko” Jacka Wołowskiego (Stanisława Sachnowskiego) i „Akcja Małgosia” Juliana Woźniaka. Można domniemywać, że ich inspirację stanowiło do dziś nie w pełni wyjaśnione porwanie i zamordowanie Bohdana Piaseckiego, syna założyciela Stowarzyszenia PAX. Wielu autorów czerpało informacje z Komendy Głównej MO, gdzie funkcję referentki prasowej pełniła Helena Sekuła, późniejsza autorka licznych i poczytnych kryminałów. Po latach opowiadała, że z bezpośrednich relacji i sprawozdań milicyjnych korzystali m.in. Wołowski, Zygmunt Zeydler-Zborowski i Krzysztof Szmagier (reżyser serialu „07 zgłoś się”).

Negatywni funkcjonariusze MO w powieściach też się zdarzali?

Trafiłam na dwóch. Podpułkownika Burkego z „Oczu alchemika” Roberta Azderbilla oraz komendanta posterunku powiatowego Kawalka z „Fałszywego tropu” Lucjana Marbuta. Obaj są szefami złodziejskich band i mordercami. Pamiętajmy, że te powieści powstały na fali odwilży październikowej. W tym samym czasie krytyczne uwagi na temat „niegodziwości” Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa pojawiają się na kartach „Smugi grozy” Kosteckiego i „Bezimiennych” Romana Michałowskiego. Potem wizerunki milicjantów stawały się coraz bardziej stereotypowe. Przestrzegano zasady, że porucznik był mądrzejszy od sierżanta, kapitan od porucznika i tak dalej aż do pułkownika. Ten ostatni uosabiał jakby figurą sekretarza partii: ojcowski, dobry, lecz stanowczy i – oczywiście – nieomylny. Milicja zawsze pracowała, mówiąc ówczesnym językiem, kolektywnie. Zaprzeczało to zasadzie, na której opiera się kryminał, że głównym bohaterem winien być prowadzący śledztwo. Podejmowano mniej czy bardziej udane próby wykreowania samodzielnego detektywa, ale najczęściej ginął on pośród innych postaci w niebieskich mundurach.

Powieści kryminalne miawały pierwodruk w prasie?

Funkcjonowały dwa obiegi prozy kryminalnej – książkowy i prasowy. Powieści drukowane w odcinkach na łamach gazet

bardzo rzadko doczekały się edycji książkowych. To dziś się wydaje w takiej postaci. Na ogół te tzw. gazetowce były znacznie mniej ciekawe.

Istniały trzy sztandarowe serie kryminalne...

Tak – Czytelnikowski „Jamnik”, „Labirynt” wydawnictwa MON oraz „Klub Srebrnego Klucza” Iskier – aczkolwiek zdarzały się pomniejsze, choćby „Złota Podkowa” czy „Ewa wzywa 07”. W drugiej połowie lat 50. kryminały miały nakład 20–30 tys. egz. Potem nastąpił gwałtowny wzrost, w latach 80. sięgający nawet 300 tys. Najbardziej poszukiwano książek autorów zachodnich, ale i krajowe zniknęły błyskawicznie z księgarń. Jednak w ostatniej dekadzie Polski Ludowej nie mało powieści milicyjnych zalegało księgarskie półki.

„Zbrodniarza, który ukradł zbrodnię” Krzysztofa Kąkolewskiego z powodzeniem przeniosł na ekran Janusz Majewski, trafnie obsadzając w rolach antagonistów Zygmunta Hübnera i Ryszarda Filipkiego...

Znakomita komedia kryminalna „Lekarstwo na miłość” Jana Batorego – z Kaliną Jedrusik, Krystyną Sienkiewicz, Andrzejem Łapickim, Mieczysławem Czechowiczem i Jackiem Fedorowiczem – to z kolei adaptacja „Klina” Joanny Chmielewskiej. Wersji filmowych doczekały się powieści Słomczyńskiego: „Ostatni kurs”, „Zbrodniarz i panna” oraz „Gdzie jest trzeci król?”. Zeydler-Zborowski współpracował z Teatrem Sensacji „Kobra”. Żartuje się nawet, że wąż, będący logo tej sceny, był wzorowany na nim. Niektóre opowieści z cyklu „Ewa wzywa 07” stały się podstawą komiksów z kapitanem Żbikiem, a następnie jednego z odcinków („Skok śmierci”) przygód telewizyjnego porucznika Sławomira Borewicza, ucieleśnianego przez Bronisława Cieślaka.

Najpopularniejsi pisarze tego segmentu literackiego w epoce słusznie minionej to?

Większość nazwisk już padła. Dodałabym jeszcze Andrzeja Piwowarczyka i Jerzego Edigeya (prawdziwe nazwisko Korycki).

Trafiali się wśród nich związani zawodowo z ówczesnym wymiarem sprawiedliwości.



Najbardziej znanym przykładem jest ptk Władysław Krupka, pomysłodawca serii komiksów o kpt. Janie Żbiku, piszący powieści pod pseudonimem Krupiński. I wspomniana por. Sekuła. Zaczynała w odczytówce, następnie była referentką prasową, pisarką została na wczesnej emeryturze.

Niektórzy autorzy kryminałów zajmowali się także dziennikarstwem: Kłodzińska i Wołowski z redakcji „Życia Warszawy”, ale i – uwaga – Stefan Kisielewski. Słomczyński, jak wiadomo, był wybitnym tłumaczem z języka angielskiego. Chmielewska – inżynierem – i z tego fachu przez dłuższy czas się utrzymywała. Mikołaj Kozakiewicz stworzył „Tajemniczy obiektyw” ponad trzy dekady przed objęciem stanowiska marszałka Sejmu. Krąży pogłoska, że kryminały pisał Jacek Kuroń, które pod swoim nazwiskiem wydawał

Edigey i przekazywał honoraria autorowi.

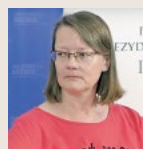
Czemu pionier kryminału milicyjnego Piotr Guzy zbiegł z Polski Ludowej?

Kilka lat temu sama się nad tym zastanawiałam. Nie udało się jednak znaleźć jego teczek w IPN, więc mogę jedynie powtórzyć za historykami literatury, że ów ceniony poznański literat był prześladowany przez UB.

Moda na tę literaturę wraca?

Już powróciła. Od kilkunastu lat wyraźnie widać to wyraźnie. Działa Klub Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MORD, któremu szefuje Grzegorz Cielecki. Założył on też wydawnictwo Wielki Sen, wznowiające powieści milicyjne, w tym gazetowce, oraz kryminały przedwojenne. Literackie Towarzystwo Wydawnicze, oficyny CM i Saga także dają drugie życie kryminałom retro. Niektóre to wciąż całkiem niezła literatura rozrywkowa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Dorota Skotarczak – historyk, wykładowca akademicki, autorka książek: „Historia amerykańskiego musicalu filmowego”, „Od Astaire’a do Travolty”, „Historia wizualna”, „Otwierać, milicjo! O powieści kryminalnej w PRL”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Prawda o roku 1939

Otym, że druga wojna światowa zaczęła się od kampanii polskiej, wie na Zachodzie niemal każdy. Tego jednak, jak ta wojna wyglądała, nie wie niemal nikt. Jest to „zasługa” anglosaskich historyków, którzy nigdy nie interesowali się atakiem Hitlera na Rzeczpospolitą. Była to dla nich kampania peryferyjna.

W efekcie w wydawanych na Zachodzie syntezach drugiej wojny światowej kampanii 1939 r. poświęcano po kilka stroniczek. Historycy korzystali przy tym tylko ze źródeł niemieckich, nie znali bowiem języka polskiego. Mało tego, często bezwiednie zdarzało im się powtarzać tezy niemieckiej propagandy.

W efekcie kampania polska opisywana była jak triumfalna defilada Wehrmachtu, który bez wysiłku przejechał się po Polsce. Rzeczywistość była zgoła inna. „Kampania polska, mimo że krótka, była niezwykle brutalna i ciężka. Choć Niemcy mieli inicjatywę, Polacy kontratakowali przy każdej nadarzającej się okazji” – pisze Robert Forczyk w książce „Fall Weiss. Najazd na Polskę 1939”.

Forczyk jest byłym oficerem US Army i jednym z najlepszych historyków wojskowości. W przeciwnieństwie do przytaczającej większości zachodnich historyków w swojej pracy wykorzystał rów-

nież źródła polskie. Forczyk wskazał na poważne błędy operacyjne, które Wehrmacht popełnił w Polsce. Kampania ta wcale nie była perfekcyjnym blitzkriem. Dla niemieckiej armii była to pierwsza poważna akcja bojowa – wielu rzeczy dowódcy i żołnierze musieli się dopiero nauczyć. Zawiodły logistyka i rozpoznanie.

Forczyk wskazuje również na błędy strony polskiej. Niewłaściwy plan rozwinęcia armii, nieskoordynowana obrona. Luki między dużymi jednostkami, w które wbiły się niemieckie kliny pancerne. Zła koordynacja działań dywizji, pozostawienie na pozycjach całych armii bez konkretnie wytyczonych celów.

Polacy – ze względu na różnicę potencjałów – wojny z Niemcami oczywiście wygrać nie mogli. Zdaniem Forczyka nawet ze swoim skromnym potencjałem mogli jednak osiągnąć znacznie lepsze efekty. Marszałek Śmigły-Rydz powinien był zostawić w zachodniej części kraju wiele umocnionych punktów oporu, które spowolniłyby marsz Wehrmachtu i związały walką część dywizji niemieckich. Większość polskich sił powinna zostać skoncentrowana i czekać na nieprzyjaciela za linią Wisły.

Pasjonująca i obiektywna książka. ©©



★★★★★
ROBERT FORCZYK
„FALL WEISS.
NAJAZD
NA POLSKĘ 1939”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Legenda o zakładnikach z Głogowa

Niemiecki najazd na Polskę w 1109 r. w powszechnej świadomości uchodzi za wielkie zwycięstwo Bolesława Krzywoustego. Zgodnie zresztą z prawdą, chociaż przebieg wojny miał niewiele wspólnego z pokutującą do dzisiaj legendą.

Przyczyną ataku Henryka V (jeszcze nie cesarza, koronował się dopiero dwa lata później) była zbyt samodzielna polityka Krzywoustego. Odmawiał płacenia trybutu, uważał się za niezależnego od Niemiec, a do tego wygnał z kraju swojego przyrodniego brata, Zbigniewa. Powodów do wojny było zatem wiele, jednak wyprawa od samego początku napotykała problemy. Strona polska umiejętnie unikała otwartej bitwy i szarpała przeciwnika podjazdami. Armia cesarska nie potrafiła zdobyć nawet Bytomia nad Odrą, jednak pod Głogowem coś się zaczęło w sprawnie dotychczas działającej polskiej obronie.

24 sierpnia 1109 r. Niemcy bez strat sforsowali Odrę i opanowali podgrodzie. Załoga nie podjęła walki, podobno jej dowódca wraz z podwładnymi uczestniczył w tym czasie w nabożeństwie w kościele. Wprawdzie wiara podczas wojny jest szczególnie potrzebna, ale wiadomości o pochodzie nieprzyjaciela docierały na bieżąco, a w Głogowie chronili się uciekinierzy. Prawda była zatem bardziej skomplikowana, a relacjonu-

jący wydarzenia Gall Anonim starał się ją ukryć. Dowódca grodu sympatyzował ze Zbigniewem znajdującym się w szeregach armii wroga i z tego powodu zawarto rozejm, oddając agresorom zakładników. Do Krzywoustego wysłano prośbę o zgodę na kapitulację, ale książę zabronił jej pod karą śmierci.

W tej sytuacji załoga zażądała zwrotu zakładników, lecz cesarz odmówił. Poleciał przywiązać ich do machin oblężniczych i dał rozkaz do szturm. Była to wyjątkowa zbrodnia nawet jak na epokę średniowiecza, jednak z czasem polska propaganda ubarwiła tragedię. Swobodnie przetworzono relację Galla Anonima i zakładnicy okazali się nagle dziećmi polskich wojów, które wykorzystano jako „żywe tarcze”. Do utrwalenia legendy „głogowskich dzieci” przyczynił się też Wincenty Kadłubek, przedstawiając sprawę z właściwą sobie egzaltacją.

Relacja o dzieciach zakładników pokutuje zatem od pokoleń, co było szczególnie wygodne dla władz PRL. Dlatego w centrum Głogowa ustawiono pomnik przedstawiający stylizowane ramię maszyny oblężniczej, na której można odróżnić sylwetki małych mieszkańców grodu.

Niemcy Głogowa nie zdobyli, pomnik stoi do dzisiaj, a sprawa zakładników nie jest jedynym mitem tej wojny. Słynnej bitwy na Psim Polu w ogóle nie było, ale do tego tematu jeszcze powrócę. ©©



DONALD TRUMP OCENZUROWANY

Prezydent USA w telewizyjnym wywiadzie stwierdził m.in., że dzieci są „niemal odporne” na COVID-19. Klipy wideo z tej rozmowy zostały usunięte z Facebooka oraz Twittera. Rzecznik Facebooka tłumaczył, że wideo naruszało „politykę dotyczącą szkodliwej dezinformacji ws. COVID”. Rzekomym złamaniem regulaminu dotyczącym dezinformacji w sprawie koronawirusa tłumaczyła także ukrycie wpisu Trumpa firma posiadająca Twittera.

FOT. JIM WATSON/ARREST NEWS

WOLNOŚĆ SŁOWA PO IRAŃSKU

W Iranie od 2004 r. działała gazeta „Jahane Sanat” zajmująca się głównie podawaniem informacji z zakresu biznesu. Niedawno zacytowała opinię epidemiologa Mohammada Rezy Mahboobfara. Ekspert mówił m.in., że jego zdaniem państwo nie doszacowuje liczby zakażeń koronawirusem i w istocie oficjalne dane stanowiąc mogą jedynie 5 proc. rzeczywistej liczby. Dodał też, że pierwsze zakażenie wykryto wcześniej, niż oficjalnie podano, żeby nie przeszkadzało to w obchodach rewolucji islamskiej z 1979 r. Po tej publikacji władze Iranu zamknęły gazetę.

KOCZOWNICY CHCIELI ZARAŻAĆ

Na jednej z plaż na Teneryfie służby zlikwidowały koczowisko, w którym znajdowały się 62 osoby. Według dziennika „Publico” policyjne dochodzenie wskazało, że młodzi ludzie nie tylko nie przestrzegali żadnych reguł dotyczących dystansu społecznego w czasie pandemii, lecz także mieli konkretny plan – celowo chcieli zarazić COVID-19 lokalną społeczność.

USZKODZIŁ SIOSTRĘ NAPOLEONA

50-latek z Austrii podczas zwiedzania muzeum Antonia Canovy we Włoszech przysiadł obok pomnika siostry Napoleona I – Pauliny Bonaparte. Pozując do zdjęcia, ukruszył palec przy stopie gipsowego dzieła. Gdy to zauważył, opuścił muzeum i szybko wyjechał z Possagno. Dzięki nagraniu z kamer władzom placówki udało się go namierzyć. Gdy upubliczniono jego wizerunek, Austriak sam zgłosił się do muzeum i przyznał do wandalizmu. Twierdził, że nie zdawał sobie sprawy ze szkody, którą wyrządził swoim zachowaniem.

MANDAT ZA KOGUTA

83-latek z włoskiej Lombardii (z Castiraga Vidardo) ma koguta, który regularnie pieje ok. godz. 4.30. Jego pianie budzi sąsiadów, którzy uznali, że to łamanie gminnych przepisów, które zabraniają trzymania zwierząt domowych zakłócających spokój w godz. 22–8. Policjanci ukarali starszego pana grzywną w kwocie 166 euro. Zapowiedział, że od tej kary się odwoła. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Biden ostro na lewo

Kamala Harris, 55-letnia senator z Kalifornii, była prokurator generalna tego stanu, została kandydatką na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Joe Biden dokonał tym samym historycznego wyboru. To dopiero trzecia kobieta będąca kandydatką na ten urząd (po Ferraro oraz Palin). To też pierwsza „Afroamerykanka”, która będzie kandydowała na wiceprezydenta USA. I choć to córka Hinduski i Jamajczyka, to liberalne media muszą widzieć mocniej jej „afrykańskie” niż azjatyckie korzenie, ponieważ Joe Biden obiecał wybrać na wyborczego kompana czarnoskórą kobietę.

Harris to świetnie wykształcona, uśmiechnięta prawniczka, a także wierząca w karmę socjalistka, która lewicowość wyssała z mlekiem matki.

Jest faworytką partyjnego establishmentu i reprezentantką najbardziej progresywnego (czyli lewicowego) skrzydła Partii Demokratycznej. Zanim postawiła na Bidena, oskarżała go o katolicyzm oraz rasizm (w tym o współpracę z białymi segregacjonistami z Południa). I chociaż dorastała w zamożnej rodzinie, to świetnie kreuje się na biedną ofiarę dyskryminacji rasowej.

Według ekipy Donalda Trumpa jej wybór ma być gwarancją, że w razie zwycięstwa prezydent będzie grzecznie realizował program lewicowych radykałów. To oznacza m.in. wyższe podatki dla bogatszych Amerykanów, łatwiejszą aborcję i darmową opiekę medyczną dla nielegalnych imigrantów.

Po czterech latach Harris ma zaś zająć miejsce Bidena – który sam siebie widzi w roli „przejęciowego” prezydenta – i zostać pierwszą prezydentem Ameryki. Najbardziej lewicową prezydent w historii USA. Na szczęście, aby to było możliwe, Joe Biden musi najpierw pokonać Donalda Trumpa. ©©

Mają dość Łukaszenki, ale nie Rosji



Maciej Pieczyński

Po sfałszowanych wyborach białoruska opozycja jest słaba i pozbawiona liderów. Białoruska ulica – silna i zdeterminowana, by „rozgnieść wąsatego karalucha”. A na powyborczych awanturach zyskuje Rosja

Swiatłana Cichanouska, która miała szansę wygrać z Aleksandrem Łukaszenką, gdyby nie fałszerstwa wyborcze, w krytycznym momencie opuściła Białoruś. Wszystko wskazuje na to, że została do tego zmuszona przez służby. W krótkim filmiku, nagrany najprawdopodobniej w gabinecie szefa Centralnej Komisji Wyborczej, gdzie była przetrzymywana przez funkcjonariuszy KGB, zwróciła się do „obywateli”, aby „nie stawiali oporu milicji, nie wychodzili na ulice, nie ryzykowali życia”. Cichanouska, „zwykła gospodyni domowa”, trafiła do polityki przypadkiem. Stanąć do walki o prezydenturę miał jej mąż, znany i radykalnie antyłukszenkowski bloger. Zastąpiła go, bo został aresztowany i nie mógł zarejestrować swojej kandydatury. Eksperci są zgodni: bieg wydarzeń ewidentnie przerósł Cichanowską. Nie wytrzymała presji psychicznej. – Prawdziwy lider powinien walczyć do końca. Ale ona nie była liderem, tylko symbolem, sztandarem opozycji – mówi

„Do Rzeczy” Aleś Zarembiuk, prezes Białoruskiego Domu w Warszawie.

Aleksander Łukaszenka zlekceważył przeciwnika. Pozwolił na rejestrację niedoświadczonej „gospodyni domowej” i wyśmiewał ją na każdym kroku, sądząc, że patriarchalne społeczeństwo białoruskie nie poprze kobiety, która zresztą – co udowodniły jej wypowiedzi – o polityce pojęcie miała niewielkie. Tymczasem efekt był odwrotny. Wiece poparcia Cichanouskiej zbierały dziesiątki tysięcy Białorusinów, którzy najwidoczniej uwierzyli, że skoro nawet ona nie boi się „wąsatego karalucha” (tak Siarhiej Cichanouski przedstawiał Łukaszenkę, w nawiązaniu do postaci ze znanego rosyjskiego wiersza – dlatego zwolennicy opozycjonisty na wiece przychodzili z kapturami...), to warto spróbować.

POCZĄTEK KOŃCA?

– Kampania została przeprowadzona bardzo profesjonalnie. Dodatkowo Cichanouska dostała premię za jedność.

Do jej sztabu dołączyły żony niezarejestrowanych kandydatów, w tym bardzo popularnego Wiktara Babaryki – zauważył Kamil Kłysiński z Ośrodka Studiów Wschodnich. Zmuszenie kandydatki do upokarzającej kapitulacji miało doprowadzić do wygaszenia protestów. Jednak antyłukszenkowski ruch już się nie da zdławić. – Cichanouska i tak nie chciała wyjść na ulicę i stanąć na czele protestu. Spirala emocji już została nakręcona. Brutalne pacyfikacje rozżłościły demonstrantów, którzy teraz mszczą się za swoich bliskich czy znajomych. Protesty powyborcze były spontaniczne, chaotyczne, pozbawione liderów. W końcu więc ucichną, ale trauma pozostanie. W chwilach kryzysu niezadowolone społeczne będzie dawać o sobie znać śmieiej niż dotychczas – komentuje Kłysiński.

– Może to być początek końca systemu, ale ten koniec może się wydarzyć za kilka lat i dopiero historycy określą kiedyś, że to właśnie teraz się zaczęło. Ci, którzy wierzyli, że demokratycznie uda



Człowiek z flagą protestujący w Mińsku przeciw nieuczciwym wyborom prezydenckim na Białorusi, 9 sierpnia 2020 r. FOT. YAUHEN YERCHAK/EPA/PAP

się przekonać Łukaszenkę, aby odszedł, pewnie stracą złudzenia. Ci, którzy myśleli, że jest on bardzo słaby, zapewne również. Niemniej rozpalonego społeczeństwa nie ma teraz czym zgasić – komentuje Bartosz Tesławski, szef portalu NaWschodzie, specjalista ds. Białorusi. – Sytuacja gospodarcza w kraju jest nie najlepsza, Unia Europejska pewnie nałoży zaraz sankcje, a Rosja raczej nie będzie spieszyła się z kredytami, więc naród będzie wciąż sfrustrowany i tym bardziej skory do wybuchów. Nadchodząca kadencja Łukaszenki będzie zatem jeśli nie ostatnią, to z pewnością bardzo trudną – dodaje.

Podobne protesty przetoczyły się przez Białoruś prawie 10 lat temu. Wówczas także powodem były fałszerstwa wyborcze, ale opozycja miała konkretnych liderów. Dzisiaj do oporu zagrzewają głównie blogerzy, tacy jak mieszkający na co dzień w Warszawie NEXTA. Ważną rolę w przebijaniu się przez oficjalną propagandę Mińska spełniła nadawana

z Polski telewizja Bielsat. Protest bez „głowy”, spontaniczny, chaotyczny, ale nieprzejednany. Do tego rozlany po całym kraju, a nie tylko po ulicach stolicy.

Czym Łukaszenka tak rozwścieczył z natury spokojnych Białorusinów, że nawet bez silnych liderów i konkretnego programu wyszli na ulice, nie dając się uciszyć, pomimo brutalności sił porządkowych? Po pierwsze: demonstracyjnym lekceważeniem koronawirusa. Po drugie: bezprecedensową skalą fałszerstw. Biorąc pod uwagę popularność Cichanouskiej czy ujawnione przez zbuntowanych (to też ewenement) pracowników części komisji wyborczych protokoły, dające kandydatce opozycji miażdżące zwycięstwo, 80 proc. dla urzędującego prezydenta było szokiem. To miał być pokaz siły, który może się okazać oznaką słabości. Prezydent zmuszony do tak ostentacyjnego fałszowania wyborów traci legitymację. Brutalność milicji i sił OMON tylko dołżała oliwy do ognia. Do tego wszystkiego dochodzi nieciekawa sytuacja gospodarcza. Nowe pokolenia nie podzielają też sentymentu do czasów sowieckich, na którym grał przez lata Łukaszenka. Wielu studiowało w Polsce, zna inny świat. – Białorusini jeżdżą do innych krajów, widzą, że nawet na Ukrainie jest lepiej. Generalnie nie chcą ani do Europy, ani do Rosji, po prostu mają dość autorytarnych rządów Łukaszenki. Chcą wolnych wyborów – mówi Aleś Zarembiuk.

INACZEJ NIŻ NA UKRAINIE

Ruch opozycyjny na Białorusi trudno porównać do ukraińskiego Majdanu. Ludzie na ulice Mińska, Grodna czy Mohylewa nie wyszli „umierać za Europę”. Ale też nie wyszli ginąć za „ruski mir”. Siarhiej Cichanouski prowadził interesy w Rosji. Walerij Cepkała, niedoszły kandydat na prezydenta (w przeszłości dyplomata, m.in. ambasador w USA), tuż przed wyborami wysłał list do Putina z prośbą o wsparcie. Jego żona Weronika tuż przed wyborami wyjechała do Moskwy, nie przestając wspierać Cichanouskiej. – Znam Walerija Cepkałę. Kształcił się na MGIMO [sowiecka, potem rosyjska szkoła dla dyplomatów – przyp. red.], więc trudno się dziwić, że licytuje się z Łukaszenką na to, kto jest bardziej promoskiwski – mówi „Do Rzeczy” Stanisław Szuszkiewicz, pierwszy przywódca niepodległej Białorusi, jeden z sygnatariuszy paktu białowieskiego,

rozwiązującego ZSRS. – Na Białorusi nic nie jest jednak czarno-białe. Jesteśmy jako naród mocno zrusyfikowani, więc ciężko oczekiwać, żebyśmy nagle odrzucili jakiejkolwiek związki z Moskwą. Opozycja antyŁukaszenkowska może być zarówno prorosyjska, jak i antyrosyjska. Ci młodzi ludzie wyszli przede wszystkim po to, by obalić dyktatora, któremu aktualnie sprzyja Putin – dodaje Szuszkiewicz.

– Nie brak opinii, że Cepkała to po prostu rosyjski agent – mówi Zarembiuk. Jego zdaniem, niedoszły kandydat na prezydenta będzie próbował jeszcze tworzyć antyŁukaszenkowską, ale prorosyjską opozycję oraz zyskiwać dla niej poparcie Zachodu. To nie geopolityka, tak jak w przypadku Ukrainy, jest główną osią sporu na Białorusi, ale niechęć do konkretnej formy rządów, sprawowanych przez konkretnego, coraz bardziej znienawidzonego polityka. – Kiedy podczas wieców wyborczych jedna z lidererek protestu, Maria Kalesnikawa, skandowała ze sceny adresowane do Łukaszenki hasło: „Pozor!”, czyli po rosyjsku „wstyd!”, tłum odpowiadał jej po białorusku: „Hańba!” – mówi Zarembiuk. Aktywista przypomina, że protestujący wyszli na ulice zarówno w kampanii, jak i po wyborach pod flagą biało-czerwono-białą [tradycyjne barwy narodowe Białorusi, zastąpione przez Łukaszenkę symboliką nawiązującą do czasów sowieckich – przyp. red.], a nie pod flagą Rosji. Tak czy inaczej kwestia językowej, kulturowej, międzynarodowej orientacji nie jest w tych protestach najważniejsza.

Wiele przed wyborami było dyskusji o tym, kto w sporze Łukaszenka vs. Cichanouska cieszy się sympatią Kremla. Urzędujący prezydent grał Putinowi na nosie, zwlekał z pogłębieniem integracji z Rosją nie tyle powodowany patriotycznym uniesieniem (choć czasem używał takiej retoryki), ile własnymi ambicjami. „Ostatni dyktator Europy” woli być głową państwa niż gubernatorem obwodu. Swego czasu Łukaszenka marzył o tym, by stanąć na czele związku Rosji i Białorusi i zasiąść na Kremlu... Tak czy inaczej powybiorczy skandal wywołał u „wielkiego brata” mieszaninę uczuć. W mediach państwowych stosunek do wydarzeń na Białorusi jest niejednoznaczny. Jedni krytykują Łukaszenkę za brutalną rozprawę z demonstrantami, inni za niewystarczającą agresję wobec przeciwników.

„To bestialstwo i kompromitacja wsadzić do więzień kandydatów na prezydenta, a potem w noc liczenia głosów aresztować protestujących. Białoruś powstała przeciwko Łukaszence. Dzisiaj on stracił swój kraj” – stwierdził Władimir Żyrinowski.

OKIEM KREMLA

– Kreml nie wspiera szczególnie Łukaszenki być może dlatego, że traktuje protesty jako karę za zablokowanie integracji z Rosją. Wyczekuje tym samym, aż osłabiony i skompromitowany prezydent sam zwróci się o pomoc do Moskwy – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Jekaterina Szulman, rosyjska politolog, niezależny komentator. – Reżim Putina wyznaje religię „suwerenności”, rozumianej jako święte prawo każdego przywódcy do rządzenia krajem po swojemu, niezależnie od tego, co powie świat. W ramach tej „międzynarodówki autokratów” tak czy inaczej nie poprze protestujących wprost, także w obawie przed plagą „kolorowych rewolucji”, która może dojść i do Moskwy – zauważa. Putin pogratulował Łukaszence jako drugi (tuż po przywódcy Chin). To najlepsza odpowiedź na pytanie o to, kogo wspiera.

Siergiej Markow, blisko związany z Kremlu politolog, oskarżył Polskę i Litwę o wywołanie protestów na Białorusi. Celem Warszawy i Wilna, miałyby być obalenie Łukaszenki, odtworzenie jego zdaniem, Rzeczypospolitej, a następnie wywarcie nacisku na Rosję i obalenie Putina. Cichanouska miała być polską marionetką. Jak wiadomo, prezydenci Polski i Litwy jako pierwsi zdecydowanie zareagowali na wydarzenia na Białorusi. Markow nie kryje zadowolenia z faktu, że Unia Europejska na apel o zaangażowanie odpowiedziała niechętnie. – Rosja potrzebuje Łukaszenki skonfliktowanego z Zachodem – przyznaje Markow w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Poczekamy, aż wyrośnie nowe, prorosyjskie pokolenie Białorusinów – dodaje. W domyśle: lepszy przewidywalny, osłabiony przez protesty Łukaszenka niż obecna opozycja. Nawet jeśli będzie dalej stawiał opór, to z czasem ten opór uda się złamać – jeśli nie za jego, to za kolejnych kadencji.

– Rozhisteryzowany, nieobliczalny Łukaszenka, skompromitowany fałszerstwami w oczach Zachodu i własnego społeczeństwa, używający siły wobec przeciwników, będzie bardziej chętny do

ustępstw wobec Moskwy. To dla Putina idealny wariant – prognozuje Kamil Kłysiński z OSW.

Zdaniem Bartosza Tesławskiego Moskwa znów zacznie naciskać na pogłębienie integracji z Białorusią. A osłabiony Łukaszenka może się ugiąć, bo traci argument w postaci „my, Białorusini, tego nie zaakceptujemy”. – Dla ludzi, którzy teraz wychodzą na ulice, jest on złem wcielonym. Łukaszenka będzie musiał się liczyć z tym, że jeśli podejmie w Moskwie decyzje, które nie przypadną do gustu Białorusinom, a będzie musiał je w końcu ogłosić, to ludzie znów wyjdą protestować. Będzie to ograniczało jego pole manewru, a w negocjacjach czyniło znacznie słabszym, bo sfrustrowany naród łatwo będzie sprowokować jakimś bardziej bądź mniej intencjonalnym przeciekiem z negocjacji – komentuje Tesławski.

Cytowany już Siergiej Markow prowadzi na Facebooku polityczną krucjatę przeciwko polskiemu imperializmowi, przekonując, że Warszawa chce podbić Białoruś. Rosja tradycyjnie traktuje nas jako swojego rywala na „pomoście bałtycko-czarnomorskim” i liczy na to, że uda się porozumieć z Zachodem ponad naszymi głowami. Polska od lat wspiera białoruską opozycję. Ta jednak wciąż nie jest w stanie realnie zaważczyć o władzę. Słabość Łukaszenki i szwacha erozja dyktatury to dla niej szansa, ale trzymająca rękę na pulsie Rosja – jak pokazuje przykład Cepkały – ma wystarczające instrumenty, aby zgodnie z sugestią Markowa w odpowiednim czasie zastąpić „prorosyjskiego dyktatora” prorosyjskim albo „wielowektorowym” demokratą. Kolejne próby porozumienia Warszawy z Mińskiem były nieudane.

– W przypadku Białorusi na ten moment wiadomo, że Mińsk chciałby sprzedawać nam energię z Ostrowca, abyśmy wyłączyli Bielsat i zapewne Radio Racja i aby nie wspierać białoruskiej opozycji – chociaż to oczekiwanie ostatnio znacznie rzadziej pojawiało się na stole. Warto byłoby, abyśmy my również sformułowali jasne oczekiwania wobec Mińska i uznawali, że pewne rzeczy są dla nas absolutnie nie do zaakceptowania. Tego trochę nam brakuje, więc politykę wobec Białorusi prowadzimy ad hoc albo przedmiotowo, bo w tyle głowy mamy wyłącznie ogromny strach i niechęć wobec Moskwy. Mińsk nie jest

zatem partnerem, a jedynie narzędziem, które ma trzymać Kreml jak najdalej od nas, w bliżej nieokreślony sposób – mówi Bartosz Tesławski. – Kontakty profesjonalne z Białorusią mają wąska grupa ekspertów oraz biznes, który jakoś sobie radzi w relacjach z tym krajem. Tego powinno być przede wszystkim więcej. Jeśli chcielibyśmy mieć na Białoruś wpływ, to powinniśmy mieć jakieś środki wpływu, wspólne interesy. Moskwa może w dowolnym niemal momencie powiedzieć Łukaszenko, że zatrzymuje dostawy surowców czy choćby blokuje wpływ produktów mlecznych z Białorusi, i już ktoś z Mińska jest wysyłany na pilne rozmowy do Moskwy. Czym my moglibyśmy na Mińsk wpłynąć? – pyta retorycznie.

Oświadczenie prezydentów Polski i Litwy było dość ostrożne. Zaapelowali nie tylko o powstrzymanie się od przemocy, lecz także o dialog, podkreślając szacunek dla „suwerenności i niezależności Białorusi”, oraz wyrazili nadzieję, że „zaistnieją warunki do współpracy ze społeczeństwem oraz instytucjami państwowymi Białorusi”. Marszałek Terlecki, dopytywany o pomoc dla protestujących, z rozbrajającą szczerością odpowiedział: „A co pani myśli, że wyślemy tam czołgi?”.

Warszawa jednak przejmuje inicjatywę. Wiceszef MSZ stwierdził, że Polska jest naturalnym mediatorem w sytuacji na Białorusi. Narzędziem dyplomatycznego nacisku jest też powstały niedawno Trójkąt Lubelski. Szefowie dyplomacji Polski, Litwy i Ukrainy wydali oświadczenie, apelując do władz w Mińsku o „powstrzymanie się od użycia siły oraz uwolnienie wszystkich osób zatrzymanych”, podkreślając, że „poszanowanie podstawowych wolności i praw człowieka, demokracji i rządów prawa są kluczowe dla dalszego rozwoju niezależnej i suwerennej Białorusi”. Z kolei premier Morawiecki bezskutecznie zaapelował o zwołanie specjalnego szczytu UE, a unijni politycy, według doniesień mediów, mieli być „oburzeni”, że to właśnie Polska chce przejąć inicjatywę w sprawie praworządności w sąsiednim kraju. Bruksela, Berlin i Paryż zapewne nie będą ryzykować poprawnych stosunków z Moskwą. Kreml może być spokojny – Polska nie obali Łukaszenki. Słabnący dyktator pozostaje w objęciach Putina.

TEST „DO RZECZY”: KAMERA SAMOCHODOWA MIO MIVUE C560

Dobra jakość filmów nagrywanych w dzień, szeroki realny kąt widzenia oraz świetny stosunek ceny do jakości – to najważniejsze zalety budżetowej kamery samochodowej Mio MiVue C560.

Niewielkich rozmiarów kamera z wyświetlaczem o przekątnej obrazu jest intuicyjna w obsłudze. Przysawka jest mocna, dzięki czemu gadżet dobrze trzyma się przedniej szyby. Znajdujące się obok wyświetlacza przyciski mogłyby być jednak lepiej spasowane.

Mio MiVue C560 wyposażona została w trzysosiowy sensor przecięcia, który wykrywa kolizje oraz automatycznie uruchamia nagrywanie, a także w wysokiej klasy matrycę Sony Starvis CMOS oraz szklaną optykę o stosunkowo jasnej przysłonie F1.8, które umożliwiają uzyskanie w dzień nagrań o wysokiej ostrości, niezłym kontraście, dobrej kolorystyce i wystarczającej szczegółowości. Dużą zaletą testowanego modelu jest szeroki rzeczywisty kąt widzenia obiektywu, wynoszący 150 stopni.

Nowy model daje również możliwość siedmiostopniowej ręcznej kalibracji poziomu jasności obrazu. Dzięki technologii Night Vision Pro w nocy dobrze widoczne są zarówno trasa, jak i pobocze, dzięki czemu w razie potrzeby łatwiej będzie o rzetelne dowody przebiegu kolizji czy wypadku. Kamera nagrywa w formacie

Full HD, czyli 1920 x 1080 pikseli z szybkością 30 klatek/s.

Liczba klatek na sekundę mogłaby być większa, ale przeważnie bez problemu można odczytać numery tablic rejestracyjnych.



Jakość nagrań wykonanych w nocy jest oczywiście gorsza, choć wciąż w miarę przyzwoita. Zdarzają się przepalone fragmenty, ale w większości przypadków kamera rejestruje obraz ostry i czytelny nawet na krawędziach kadru. C560 ładnie zachowuje się też w przypadku nagłej zmiany warunków oświetleniowych, np. po zjeździe z dobrze oświetlonej trasy głównej w małą boczną drogę. Niestety bardzo rzadko da się jednak odczytać numery tablic rejestracyjnych mijanych pojazdów, o samochodach nadjeżdżających z naprzeciwka już nawet nie wspominając.

Mio MiVue C560 obsługuje karty pamięci microSD o pojemności do 128 GB. Plusem jest też niewielka, ale jednak wbudowana bateria o pojemności 240 mAh.

Do testowanego modelu można też podłączyć tylną kamerę, a także tzw. Smart Box, dzięki czemu kamera będzie działać również w trybie parkingowym. To oznacza, że jeśli ktoś uderzy w nasz pojazd na parkingu, to kamera powinna nagrać sprawcę i ułatwić nam dochodzenie odszkodowania. Nieco droższe modele obsługujące tego trybu mają jednak w standardzie.

W C560 brakuje także modułu GPS, który w razie wypadku umożliwiałby dokładne wskazanie miejsca zdarzenia, a w codziennym życiu przydaje się choćby po to, aby przypomnieć o lokalizacji fotoradarów. Moduł jest także typowym elementem wyposażenia droższych modeli.

Przed zakupem warto więc rozważyć, czy przypadkiem nie lepiej od razu dołożyć 150–200 zł, zamiast po zakupie dołączać do tańszej kamery kolejne elementy. Jeśli ktoś jednak szuka podstawowego, budżetowego modelu, który oferuje świetny stosunek ceny do jakości, to MiVue C560 może mu się spodobać. Za testowaną kamerę trzeba zapłacić 319,99 zł. ©

Jacek Przybylski

MASECZKA POLIGLOTKA

Obowiązek noszenia maseczek nie wszystkim przypadł do gustu. Inżynierowie japońskiego start-upu Donut Robotics postanowili go jednak wykorzystać i stworzyli maseczkę „inteligentną”. Gadżet o nazwie C-Face Smart nie tylko zmniejsza ryzyko zakażenia koronawirusem, lecz także potrafi wzmocnić głos użytkownika oraz... przetłumaczyć jego słowa w czasie rzeczywistym na jeden z ośmiu języków. Plastikowo-silikonowa maska po bezprzewodowym połączeniu ze smartfonem potrafi tłumaczyć na angielski, francuski, hiszpański, chiński, japoński, koreański, a także wietnamski i indonezyjski. Sprytnie urządzenie może również nagrywać konwersację, a następnie zachować ją w formie tekstu pisanego. Gadżet w sprzedaży w Japonii ma się pojawić w grudniu. Prognozowana cena: 40–50 dol., czyli mniej więcej 150–200 zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PROJEKTOR Z „DOTYKOWYM EKRANEM”

Hachi Infinite M1 to projektor, który potrafi rzucić kolorowy obraz na biurko, ścianę czy dowolną inną płaską powierzchnię o maksymalnej wielkości 100 cali. Nie byłoby w tym nic godnego uwagi – zwłaszcza że rozdzielczość wynosi zaledwie 720 p – gdyby nie to, że wyświetlany obraz może być w pełni interaktywny. Gadżet pozwala więc na pracę niczym na dużym tablecie, tyle tylko, że bez fizycznego wyświetlacza. Hachi Infinite M1 może się przydać np. podczas gotowania czy zabaw z dziećmi (gdy używa się tej funkcji, maksymalna wielkość obrazu wynosi 23 cale). Urządzenie wyposażone jest w procesor Snapdragon 670 i 6 GB pamięci RAM, porty USB i HDMI oraz w moduły Bluetooth, Wi-Fi, Miracast i AirPlay oraz system Android 9.0. Cena: 999 dol., czyli ok. 3,8 tys. zł. ©

Jacek Przybylski



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polacy „giełdy się chwytają”

Od kilku miesięcy polskie państwo, prowadząc dziwną politykę monetarną, na siłę wypycha Polaków z banków. Agresywnie zachęca ich, by nie trzymali swych oszczędności na bezpiecznych lokatach, lecz ryzykowali i przenosili je do funduszy inwestycyjnych albo wprost na giełdę.

Jak bowiem inaczej odczytywać politykę polegającą na tym, że inflacji utrzymującej się na poziomie 3 proc. i więcej towarzyszą niemal zerowe stopy procentowe, co skutkuje de facto ujemnym nominalnym oprocentowaniem oszczędności trzymanych w bankach, a gdy dodać do tego inflację, ujemne oprocentowanie realne sięga już 3–4 proc. w skali roku? A z takimi stratami – nietrudno zgadnąć – trudno się pogodzić. I trudno znaleźć (może z wyjątkiem Węgier) drugie podobnie postępujące państwo w świecie, do którego – jak się nas zapewnia – Polska wciąż należy. W tym świecie oczywiście także stosuje się ostatnio niskie stopy procentowe, lecz inflacja jest dużo, dużo niższa niż w Polsce, która bije w UE pod względem jej wysokości rekord za rekordem.

I zgodnie z wolą polityczną polskich władz, a na pewno tej jej części, która odpowiada za stan polskiego pieniądza, w tym za poziom inflacji, od kilku miesięcy miliard złotych za miliardem płynie na polską

giełdę oraz do funduszy inwestycyjnych – w tym do tych agresywnych, inwestujących w akcje. A przecież w tym nagłym przerzucaniu fury pieniędzy z banków na giełdę nie ma żadnego ekonomicznego sensu poza próbą uchronienia swych topniejących w bankach oszczędności – na polskim parkiecie nie pojawiło się więcej firm, w które warto byłoby zainwestować swój życiowy dorobek. Wręcz przeciwnie – nowych, ciekawych prywatnych spółek przybywa niewiele, a te na wół państwowe robią, co mogą, by odstraszyć od siebie inwestorów. Ale przecież trudno się dziwić, że w związku z fatalnymi rokowaniami dla oszczędności w bankach zdesperowani Polacy – trawestując stare powiedzenie – „giełdy się chwytają”.

I w ten sposób – wskutek natarczywej zachęty władz monetarnych – w Polsce „main street” hurmem pojawia się na Wall Street”. Z łatwym do przewidzenia skutkiem. To oczywiście Kowalski i Nowak będą jednak „sami sobie winni”, gdy za jakiś czas – za kilka miesięcy lub kwartałów – ta kolejna, sztucznie tworzona bańka pęknie i tysiące Polaków stracą znaczną część swoich oszczędności. Polskie państwo bowiem – jak zawsze – na wszelki wypadek już teraz w licznych deklaracjach swych wysokich przedstawicieli „umywa od tego ręce”. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Szatański dylemat konserwatystów

Dylemat nie jest nowy. Konserwatyści, obrońcy tradycji, katolicy stawali przed nim w Polsce już wielokrotnie, choć chyba nigdy w tak gwałtownych okolicznościach i w takiej skali jak teraz. Dylemat brzmi: czy reagować na coraz bezczelniejsze prowokacje lewackich agresorów, mając świadomość, że wpisujemy się w ten sposób

Inna pokusa to zapatrzenie się w fałszywych idoli

w ich scenariusz, czy zachować obojętność, wiedząc, że i w ten sposób realizujemy cel oponentów. Diabelskość tego wyboru polega na tym, że jakkolwiek strona konserwatywna by się zachowała, staje się funkcjonalnym sojusznikiem swoich przeciwników.

Na dodatek czeka po drodze wiele pokus. Na przykład pokusa uznania, że wobec ideowego wroga pozabawionego skrupułów należy również zachowywać się bez oporów i godzić się chociażby na zawieszenie niektórych przynajmniej aspektów państwa prawa. Przypomina to sytuację, gdy podczas wojny partyzanci walczący przeciwko brutalnemu okupantowi, a przywiązani do swoich zasad, zaczynają się zastanawiać, czy by jednak nie należało tych zasad zawiesić. Sko-

ro wróg stosuje na przykład odpowiedzialność zbiorową, to również taką zastosować wobec niego. Problem w tym, że jeśli wróg jest pozbawiony zmysłu etycznego, to takie postępowanie przychodzi mu z łatwością. Partyzantom, którzy stają nie tylko w obronie kraju, lecz także systemu przekonań – absolutnie nie.

Inna pokusa to zapatrzenie się w fałszywych idoli, którzy mienią się obrońcami konserwatywnego ładu, podczas gdy w istocie są oszustami, traktującymi konserwatywne wartości jako maskę, która ma służyć wyłącznie cynicznym politycznym celom. Tacy są i w Polsce, i poza nią. Pokusie stwarzanej przez ten pozór uległo wiele prawicowych środowisk Zachodu.

Co zatem robić? Nie ma dobrej odpowiedzi. Być może pozostaje po prostu robić swoje, nie zapominając, jakich wartości bronimy i że to nakłada na nas obowiązek przyzwoitego zachowania w każdej sytuacji. Może zresztą już przegraliśmy. Jak w głośnym tekście na portalu Klubu Jagiellońskiego napisał niedawno dr Marcin Kędziński, z obecną sytuacją może być jak z patrzeniem w gwiazdy: widzimy ich postać sprzed kilkunastu, a nawet sprzed milionów lat. Gwiazd, na które patrzymy, może już nie być. I być może podobnie jest z naszym odczuciem, że wciąż żyjemy w świecie bądź co bądź tradycjonalistycznym. Oby Kędziński się mylił. Oby. ©

- Dumni konsumenci. Patriotyzm gospodarczy rośnie w siłę
- Polska w G20? W pogoni za największymi graczami
- Wzrasta innowacyjność i produktywność
- Polska odporniejsza na kryzys

POLSKA GOSPODARKA ROŚNIE W SIŁĘ



Partnerzy dodatku:



Jeżeli polska gospodarka zdoła szybko powrócić do przedpandemicznego tempa wzrostu, to w ciągu 10 lat nasz kraj może wejść do grona ekonomicznej elity świata

Ostatnie trzy dekady doprowadziły do istotnego wzrostu znaczenia Polski na arenie międzynarodowej. Poza siłą polityczną wzrosła również nasza siła ekonomiczna. Nasz kraj, m.in. dzięki dużej aktywności przedsiębiorców, wprowadzeniu wielu innowacji, otwarciu na nowe technologie oraz większej produktywności, błyskawicznie awansował z ekonomicznej trzeciej ligi do gospodarczej ekstraklasy.

Polska gospodarka to obecnie nie tylko największa wśród członków Unii Europejskiej z krajów byłego bloku wschodniego, lecz także – według tego-
rocznych danych Eurostatu – siódma największa gospodarka wśród wszystkich krajów Europy. Zdaniem wielu ekonomistów ostatnie trzy dekady to początek złotego wieku Polski.

W skali całego świata Polska pod względem PKB w rankingu Międzynarodowego Funduszu Walutowego zajmuje 22. miejsce, wyprzedzając m.in. Szwecję, Belgię czy Argentynę.

W kwietniu 2019 r. analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego szacowali, że Polska mogłaby już w roku 2029 wejść do prestiżowego klubu G20 – skupiającego najbogatsze kraje świata, które odpowiadają w sumie za ok. 90 proc. światowego PKB oraz 80 proc. globalnej wymiany handlowej. Ten optymistyczny scenariusz pozostaje realny. Pod względem wielkości PKB Polska już wyprzedza bowiem zarówno Argentynę, jak i Republikę Południowej Afryki – tymczasem oba te kraje są obecnie członkami G20. Zresztą już kilka lat temu o tym, że Polska mogłaby w tym elitarnym klubie zastąpić Argentynę – RPA jest w tym gronie strategicznym reprezentantem Afryki – pisały światowe media, takie jak „Forbes” czy „The Economist”.

MAŁY CUD NAD WIŚLĄ

W rankingu brytyjskiego banku inwestycyjnego HSBC pokazującym kraje świata najlepsze do życia i pracy Polska w 2019 r. awansowała aż o 10 pozycji i zajęła miejsce 13., wyprzedzając m.in.



Polska w G20?

Irlandię, Hongkong, Francję czy Szwecję. Autorzy raportu podkreślali, że Polska to kraj do życia m.in. ze względu na „możliwość realizacji aspiracji w zakresie rozwoju kariery, doskonalenia umiejętności prywatnych i zawodowych”.

Szybki wzrost gospodarczy sprawił, że niemiecki dziennik „Die Welt” pisał w lipcu 2019 r. o „Silicon Warszawa” – nawiązując do słynnej kalifornijskiej Silicon Valley – i podkreślał, że Polska zdystansowała Niemcy pod względem cyfryzacji, szybkości Internetu czy ułatwień w zakładaniu firmy. „Pod względem technologicznego rozwoju Polska już dawno temu została Niemcy daleko w tyle” – podkreślał autor tekstu Philipp Fritz.

Nasz kraj chwalił też dziennik „Handelsblatt”, pisząc wręcz o polskim „ma-

łym cudzie gospodarczym”. „Państwo, w którym narodowo-konserwatywny i krytyczny wobec Brukseli rząd pewnie ponownie wygra wybory w październiku, wyróżnia się oczekiwanym wzrostem gospodarczym na poziomie 4,6 proc. PKB. W 2020 r. wzrost ma wynieść 3,7 proc. PKB. Specjalizujący się w regionie instytut WiiW musiał ostatnio podnieść prognozy wzrostu dla całej środkowej i wschodniej Europy” – zauważał w sierpniu 2019 r. „Handelsblatt”, podkreślając, że w tym samym okresie prognozowany wzrost dla Niemiec miał wynieść ledwie 0,6 proc. PKB.

Tak szybkie tempo rozwoju było możliwe, ponieważ nasz kraj zdołał uniezależnić się od spowolnienia w strefie euro. Motorem wzrostu polskiej gospodarki przez ostatnie lata rządów PiS była



UE. W całej Unii eksperci KE spodziewają się spadku PKB o 18,3 proc., a w strefie euro o 8,7 proc. Na tym tle prognozy dotyczące Polski (-4,6 proc.) nie wyglądają najgorzej – w przypadku Polski recesja ma być bowiem najpłytsza spośród wszystkich państw Unii Europejskiej. W dużo ciemniejszych barwach eksperci KE widzą przyszłość Niemiec, Francji, Hiszpanii, Włoch czy Grecji.

Nasza gospodarka okazała się relatywnie odporna na gospodarcze skutki pandemii m.in. dzięki zróżnicowanej strukturze oraz stosunkowo niskim udziałem sektorów najbardziej dotkniętych skutkami kryzysu. Polscy przedsiębiorcy z coraz większym optymizmem patrzą więc w przyszłość. W lipcu indeks PMI – obrazujący kondycję i nastroje sektora przemysłowego w różnych państwach świata – wzrósł w Polsce do 52,8 pkt wobec 47,2 w czerwcu i zaledwie 31,9 pkt w kwietniu (odczyt w szczycie koronawirusowego lockdownu był najniższy w historii).

Według lipcowych danych zlecenia do polskich przedsiębiorstw przemysłowych znów napływają zarówno z kraju, jak i zagranicy. Jeśli podobne odczyty będą miały miejsce w najbliższych miesiącach, to będzie to oznaczać, że polska gospodarka bardzo szybko wraca do normalnego działania.

Stosunkowo mocno w czasach pandemii trzymają się również największe polskie banki. Co prawda ich zyski netto spadły o mniej więcej jedną trzecią, ale i tak udaje im się zarabiać więcej, niż spodziewali się analitycy. Szybkie interwencje Narodowego Banku Polskiego zapewniły z kolei dodatkową płynność w sektorze bankowym, co może się przełożyć na pobudzenie kredytów konsumenckich oraz kredytów dla firm.

Ekspertsi podkreślają jednocześnie, że szczególną rolę w wyciąganiu gospodarki z kryzysu mogą odegrać firmy z sektora rozwiązań teleinformatycznych.

I chociaż poważne ryzyko związane z pandemią COVID-19 nadal istnieje, to może się okazać, że po drugim kwartale 2020 r. – najtrudniejszym w polskiej historii od początku ustrojowej transformacji – nadrabianie strat pójdzie polskim przedsiębiorcom znacznie szybciej i już w przyszłym roku Polska znów znajdzie się na ścieżce wzrostu. Według prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa Polska może powrócić do poziomu aktywności gospodar-

czej sprzed pandemii koronawirusa w pierwszym lub drugim kwartale 2021 r.

Nasz kraj nadal przyciąga też wielkie zagraniczne inwestycje: w maju 2020 r. Microsoft ogłosił plan zainwestowania nad Wisłą aż miliarda dolarów, co jest największą do tej pory inwestycją technologiczną w Polsce.

Oczywiście, aby móc wejść do grupy G20, sama wartość PKB jednak nie wystarczy. Trzeba być np. regionalną potęgą gospodarczą, eksportową, kapitałową czy surowcową oraz krajem mającym istotny wpływ na losy świata. Na zbyt wiele surowców nie mamy co liczyć.

Dzięki innowacjom, inwestycjom oraz aktywności polskich przedsiębiorców optymistyczny scenariusz ma jednak szansę się ziścić. Polska powinna w tym celu, wzorem np. Korei Południowej, stworzyć zaawansowane technologicznie innowacyjne firmy, które pozwoliłyby nam wyprzedzić takie kraje jak Holandia czy Hiszpania, które wciąż są od nas silniejsze gospodarczo, a które nadal nie mają swego miejsca w klubie G20.

W tym celu rząd opracował m.in. Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Jednocześnie władze oferują ulgi podatkowe dla innowacyjnych firm, dzięki którym mają one większe szanse na osiągnięcie sukcesów nie tylko w Polsce, lecz także na globalną skalę. Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju co roku w ramach konkursu „Polski Produkt Przyszłości” nagradzają projekty z obszaru medycyny, chemii, elektroniki czy biotechnologii. Świetnie radzą sobie również krajowi twórcy gier komputerowych. Jeden z nich, firma CD Projekt, stał się w tym roku największym producentem gier komputerowych w całej Europie, wyprzedzając m.in. francuską firmę Ubisoft.

Aby ułatwić gospodarczą pogoń za największymi światowymi graczami nad Wisłą, rząd rozpoczął już także proces wspierania tzw. narodowych czempionów. Są wśród nich np. Grupa PZU, PKN Orlen i Lotos czy też Krajowa Spółka Cukrowa. Dalszy rozwój spółek z narodowym kapitałem może nie tylko zapewnić Polsce większe bezpieczeństwo ekonomiczne, lecz także zmniejszyć ryzyko wpadnięcia w pułapkę średniego wzrostu. Aby dalej rozwijać się w rekordowym tempie, Polacy muszą bowiem zostać gospodarczymi mistrzami świata.

bowiem głównie konsumpcja prywatna, wspierana przez rekordowo niskie bezrobocie (w styczniu 2020 r. stopa bezrobocia wyniosła zaledwie 2,9 proc.), szybko rosnące wynagrodzenia, środki z unijnych funduszy strukturalnych oraz stymulujące popyt transfery socjalne.

Wyższe płace nie zaszkodziły jednak konkurencyjności polskich przedsiębiorstw. Równocześnie z ich podwyższaniem rosła bowiem także wydajność pracy. W latach 1993–2016 wydajność mierzona wielkością PKB per capita liczona w dolarach według parytetu siły nabywczej wzrosła w Polsce prawie dwuipółkrotnie z 12,2 tys. dol. porównywalnych w 1993 r. do 29,1 tys. dol. porównywalnych w roku 2016. Pozytywny efekt przyniosły także zwiększone inwestycje polskich przedsiębiorców.

PRZEMYSŁ WRACA DO WZROSTÓW

Wybuch epidemii COVID-19 spowodował potężny kryzys gospodarczy na całym świecie. W lipcu 2020 r. Komisja Europejska obniżyła prognozy wzrostu gospodarczego dla większości krajów

FOT. ANDRZEJ KUCIŁA



FOT. ADRIAN STOLK

Konsumenci dumni z Polski

Polacy coraz chętniej sięgają po rodzime produkty. Przybywa klientów, którzy są gotowi nawet dopłacić, byle tylko kupić towary polskich marek. Dzięki temu nie tylko otrzymują sprawdzoną jakość, lecz także wspierają krajowe firmy oraz narodową gospodarkę

Cheć kupowania polskich produktów i wspierania w ten sposób rodzimych przedsiębiorców to już trwały trend wśród polskich konsumentów. Od trzech lat wyniki badań sondażowych pokazują zaś, że Polacy, robiąc zakupy, na pierwszym miejscu stawiają już jakość usługi lub produktu, a dopiero na drugim jego cenę. W 2019 r. na pytanie, co jest najważniejsze podczas codziennych

zakupów, miejsce pochodzenia produktu podało 34 proc. respondentów (badanie wykonane przez ASM – Centrum Badań i Analiz).

W roku 2020 już ponad połowa Polaków oznajmiła ankieterom, że przykłada wagę do tego, czy produkt jest polski. Z badania ARC Rynek i Opinia przeprowadzonego w tym roku dla firmy Korol wynika, że na pochodzenie produktów podczas codziennych zakupów szczególną uwagę zwracali konsumenci powyżej 45. roku życia, wśród których odsetek ten sięgał 60 proc. Ekonomicznym patriotyzmem w sklepach kieruje się 57 proc. kobiet i 45 proc. mężczyzn.

SMAK I BEZPIECZEŃSTWO

Kryzys wywołany przez pandemię COVID-19 dodatkowo wzmocnił patriotyzm ekonomiczny Polaków. Ze wspomnianego badania ARC Rynek i Opinia wynika, że ponad 60 proc. Polaków deklaruje chęć pomocy polskim fir-

mom w czasie pandemii koronawirusa, a 90 proc. z nich ma już sposób na to, jak chce to zrobić. W badaniu Polacy podawali jednak jeszcze drugi motyw, dla którego wolą kupować rodzime produkty: to bezpieczeństwo produktów. Połowa ankietowanych jest przekonana, że polskie produkty, zwłaszcza podczas pandemii koronawirusa, są bezpieczniejsze od tych importowanych.

Patriotyzm konsumencki jest widoczny szczególnie w przypadku artykułów spożywczych, Polacy chętnie poszukują zdrowej, polskiej żywności, robią zakupy w mniejszych sklepach, do których produkty dostarczają lokalni rolnicy, a także wybierają restauracje, w których potrawy przygotowywane są z ekologicznych produktów od miejscowych dostawców.

Aż 69 proc. Polaków ankietowanych w październiku 2019 r. deklarowało, że jest gotowych zapłacić więcej za rodzimą żywność wytworzoną w sposób ekologiczny. Z raportu wchodzącego w skład cyklu

badań opinii publicznej w projekcie Polski Monitor Opinii, inicjatywy PKO Banku Polskiego, Fundacji Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych (IBRiS) oraz Forum Zrównoważonej Technologii wynika także, że większość Polaków utożsamia rodzime towary z dobrym smakiem (94 proc.), bezpieczeństwem dla konsumenta (84 proc.) oraz posiadaniem odpowiednich wartości odżywczych (81 proc.).

Polscy konsumenci chętnie kupują również produkty, które nad Wisłą są nie tylko projektowane oraz szyte. Podobnie jak w bogatszych krajach świata metka „Made in China” budzi bowiem coraz większą niechęć wśród konsumentów.

Patriotyczne zakupowe wybory pojedynczych konsumentów zamiast poprawiać wskaźnik PKB obcego kraju, mogą istotnie poprawić stan polskiej gospodarki. Gdy bowiem wydawane przez Polaków na zakupach pieniądze trafiają do polskich rolników, producentów czy usługodawców, większa część tych pieniędzy zostaje w Polsce. To zaś oznacza, że płacone przez nich podatki zasilają polski budżet. Wspierani przez rodzimych konsumentów polscy przedsiębiorcy nad Wisłą tworzą miejsca pracy, w Polsce inwestują również w rozwój swojej firmy, a także wspierają budżety samorządów, sponsorują lokalne zespoły sportowe etc. Z tych samych powodów warto wspierać polskie spółki technologiczne, farmaceutyczne, energetyczne, paliwowe i inne.

Wbrew pozorom świadome dokonywanie zakupów przez pojedynczych konsumentów może mieć ogromny wpływ na kondycję rodzinnych firm. Biorąc pod uwagę, że Polacy wydają rocznie 1,2 bln zł, nawet symboliczna zmiana nawyków konsumenckich mogłaby przynieść polskiej gospodarce dodatkowe kilka lub nawet kilkadziesiąt miliardów złotych.

Według wyliczeń firmy doradczo-audytorskiej Grant Thornton jeśli wybieramy towar zagraniczny, to z każdego jednego złotego, który przeznaczymy na taki produkt, aż 75 gr ucieka za granicę, a tylko 25 gr zostaje w Polsce. Kiedy produkt jest polski, wówczas z każdej złotówki aż 79 gr zostaje w Polsce.

KOD 590

– Kupowanie polskich produktów to najprostszy sposób na wsparcie polskiej gospodarki – przekonywał pod koniec zeszłego roku premier Mateusz Morawiecki. W obliczu globalnej recesji

wspieranie rodzimej gospodarki jeszcze bardziej zyskało na znaczeniu. – Apelujemy do wszystkich, aby w czasie robienia zakupów zwracali uwagę na to, gdzie wyprodukowane jest to, co kupują, i aby starali się, mając do wyboru różne produkty, ze sklepowych półek wybierać te, które zostały wyprodukowane w naszym kraju. Wspiera to rozwój gospodarki, walkę z kryzysem, wspiera też naszych przedsiębiorców – powiedział Andrzej Duda, inaugurując w kwietniu akcję „Kupuj świadomie produkt polski”.

Jak na zakupach szybko rozpoznać, czy produkt jest rzeczywiście polski? Najłatwiej zacząć od sprawdzenia kodu kreskowego. Liczba 590 na jego początku w światowym systemie oznaczania produktów jest przypisana naszemu krajowi. Produkt opatrzony takim kodem z pewnością oznacza więc, że producent został zarejestrowany w polskiej gałęzi systemu kodów kreskowych.

Ponieważ wiele polskich firm zostało wykupionych przez zagraniczne koncerny, to aby mieć 100 proc. pewności polskiego pochodzenia kupowanego towaru, można również sprawdzić dane firmy oraz miejsce produkcji. Żeby na zakupach na to sprawdzanie nie tracić zbyt wiele czasu, można skorzystać z pomocy bezpłatnej aplikacji Pola. Wystarczy wówczas zeskanować kod kreskowy produktu, aby zobaczyć szczegóły dotyczące firmy, która go wyprodukowała. Aplikacja poinformuje nie tylko, czy dany towar rzeczywiście jest produkowany w Polsce, lecz także na przykład, czy jest to firma z polskim czy z obcym kapitałem. Dzięki niej łatwo można się też dowiedzieć, czy dany producent prowadzi w Polsce badania i rozwój. Wyświetli się także ocena punkтова w skali od 0 do 100.

Osoby używające smartfonów z systemem Android mogą też zainstalować aplikację Polskie Marki 3.0 – ona również pozwala na sprawdzenie kraju pochodzenia właściciela marki produktowej lub usługowej, a także dostarcza informacji o produkcji w Polsce oraz stopniu, w którym kapitał producenta jest rzeczywiście polski.

Przed zakupami danego producenta można również sprawdzić w komputerze, korzystając z bazy firm lub wyszukiwarki polskich sprzedawców zamieszczonych na stronie naszhandel.pl.

Aby ułatwić klientom dokonywanie świadomych wyborów, od 2017 r. polskie

produkty mogą mieć na opakowaniach specjalne oznaczenie: prostokąt podzielony na pół w barwach biało-czerwonych z napisem „Produkt polski”. Dzięki temu konsumentom łatwiej jest znaleźć wysokiej jakości polskie przetwory, polskie słodycze czy też szybko podjąć decyzję, czy wolać np. cukier polski czy niemiecki.

Na opakowaniach można również szukać znaków graficznych i napisów „Made in Poland”, „Produkt z Polski” czy „Jestem z Polski”, a także flagi czy mapy naszego kraju. Od niemal 30 lat organizowany jest konkurs „Teraz Polska”, którego godło stało się już rozpoznawalną marką, wzmacniającą konkurencyjność wyróżnionych nim laureatów.

Polskie produkty wspiera również redakcja tygodnika „Do Rzeczy”, która od 2016 r. organizuje plebiscyt „100% Polski Produkt”, adresowany do rodzimych przedsiębiorców, którzy odnoszą sukcesy rynkowe w Polsce i za granicą. W ramach konkursu nagradzane są najlepsze produkty lub usługi, do których wytworzenia użyto komponentów, technologii, know-how oraz polskiego kapitału.

PATRIOTYZM NA GLOBALNĄ SKALĘ

Gospodarczy patriotyzm rozwija się nie tylko w Polsce. Od wielu lat świadomość zjawienia wpływu decyzji zakupowych na lokalną gospodarkę mają mieszkańcy wielu krajów rozwiniętych. A hasło „Proudly Local, Going Global” – co w luźnym tłumaczeniu oznacza „działający globalnie, ale dumny z lokalnych osiągnięć” – pojawiło się w raporcie organizacji badania rynku Euromonitor wśród 10 najważniejszych globalnych trendów konsumenckich 2020.

Konsumenci coraz częściej nie tylko wspierają lokalne firmy, lecz także od międzynarodowych korporacji wymagają, aby dostosowały się do lokalnych zwyczajów i korzystały z lokalnych dostawców. Na te zmiany w mentalności kupujących reagują nie tylko małe osiedlowe sklepy, lecz także wielkie centra handlowe. Coraz większą popularnością również w Polsce cieszą się hale handlowe i manufaktury oferujące produkty i usługi lokalnych sprzedawców i rzemieślników czy też biobazary z tradycyjną, ekologiczną żywnością.

Wiele wskazuje więc na to, że popyt na rodzime produkty będzie konsekwentnie rósł. Zarówno na świecie, jak i w Polsce.

LOTOS Kolej świadczy usługi dla Grupy Kapitałowej LOTOS oraz dla klientów zewnętrznych. Wykonuje czynności ekspedycyjne na bocznicie kolejowej, a także oferuje wynajem i serwis techniczny taboru kolejowego. W nowoczesnej oczyszczalni wykonywane są usługi czyszczenia cystern kolejowych, a w symulatorze lokomotywy Dragon 2 odbywają się szkolenia maszynistów. Spółka od 2015 r. samodzielnie realizuje przewozy na terenie Republiki Federalnej Niemiec, od 2020 r. ma również licencję oraz rozpoczęła przewozy do Republiki Czeskiej.

TRANSPORT NOWYM JEDWABNYM SZLAKIEM

Gdańska spółka zaangażowała się w przedsięwzięcie związane z Nowym Jedwabnym Szlakiem. Chodzi o transport kontenerów z Chin do Niemiec, w którym wykorzystuje się swoje nowo zakupione wagony platformy. Pod koniec lipca 2020 r. pierwszy intermodalny skład o długości 600 m (22 platformy) i pojemności 88 TEU pokonał liczącą ponad 1300 km trasę z Małaszewicz (zlokalizowanych przy granicy z Białorusią) do leżącego niedaleko granicy niemiecko-holenderskiej miasta Krefeld.

W sumie LOTOS Kolej planuje mieć aż 324 specjalne wagony platformy. To wynik projektu dofinansowanego przez Unię Europejską. Szacuje się, że koszt całego przedsięwzięcia to ok. 214,7 mln zł, z czego 74,3 mln zł ma pochodzić z unijnych funduszy.

– Dofinansowanie zakupu wagonów wpisuje się w potrzeby rozwojowe spółki. Poprzez inwestycje w tabor stajemy się konkurencyjni wobec przewoźników samochodowych. Wychodzimy również naprzeciw oczekiwaniom klientów, którzy chcą z nami rozwinąć przewozy intermodalne – mówi Jaromir Falandysz, wiceprezes Zarządu LOTOS Kolej.

Z optymizmem na tę inwestycję patrzy także prezes Zarządu Grupy LOTOS, Paweł Jan Majewski. Jego zdaniem, dzięki temu spółka może liczyć na zwiększoną liczbę zapytań ze strony zewnętrznych klientów. – Powiększanie taboru LOTOS Kolej to nie tylko wyjście naprzeciw oczekiwaniom klientów spółek naszej Grupy Kapitałowej, lecz także wzmocnienie oferty kierowanej do rynku. Jako jeden z największych przewoźników kolejowych w naszym kraju spółka jeszcze bardziej stawia na rozwój i no-



LOTOS Kolej nie

Ostatnie lata to dobry czas dla gdańskiej spółki kolejowej. LOTOS Kolej jest drugim przewoźnikiem kolejowym w kraju i liderem w transporcie towarów niebezpiecznych. Spółka eksploatuje ok. 130 lokomotyw i ponad 4 tys. wagonów. Rozwija także międzynarodowe projekty i rozszerza portfolio oferowanych usług. Jednocześnie dynamicznie modernizuje swój tabor

woczesność. Potwierdzeniem są właśnie inwestycje w transport intermodalny – tłumaczy prezes Zarządu Grupy LOTOS.

PRZEWozy W NIEMCZECH I CZECHACH

Intensywna działalność LOTOS Kolej na terenie Niemiec nie byłaby możliwa bez odpowiednich zagranicznych certyfikatów. Niemiecki Federalny Urząd Kolejowy Eisenbahn-Bundesamt wydał spółce nowy certyfikat bezpieczeństwa. Dokument daje gwarancję swobodnego przemieszczania się do 2024 r.

W sumie gdańska spółka działa na terytorium naszych zachodnich sąsiadów

już od przeszło pięciu lat. Imponująco wyglądają również statystyki transportowe. Łącznie przewieziono ponad 550 tys. ton towarów, natomiast praca przewoźowa wyniosła 272 mln ntkm.

– Mamy stałych klientów, z którymi współpracujemy za naszą zachodnią granicą i aktywnie poszukujemy nowych partnerów. Obecność LOTOS Kolej na niemieckim rynku znacznie poszerza ofertę spółki, a poprzez możliwości przewozowe możemy w krótkim czasie przewieźć produkty zarówno Grupy LOTOS, jak i klientów zewnętrznych eksportujących swoje towary na rynki zagraniczne. W Niemczech wozimy przede wszystkim



zwalnia tempa

paliwa – diesel, FAME, a także gaz, węgiel i kontenery – podkreśla Anatol Kupryciuk, prezes Zarządu LOTOS Kolej.

Spółka rozpoczęła także przewozy paliwa do Czech. Przewozy diesla z bocznic w Gdańsku do miejscowości Sedlnice w Czechach są możliwe dzięki odpowiedniemu Certyfikatowi Bezpieczeństwa. Na jego mocy LOTOS Kolej może realizować przejazdy do 2024 r. Czesi chętnie zamawiają od Polaków paliwo. Pierwszy skład, liczący 22 wagony, dostarczył aż 1200 ton nowoczesnego oleju napędowego.

– Rozszerzenie działalności na Republikę Czeską jest uzasadnione pod względem ekonomicznym. Zamierzamy w większym stopniu realizować międzynarodowe przewozy przez nasze zasoby. Dzięki temu zminimalizujemy konieczność korzystania z podmiotów zewnętrznych – dodaje Anatol Kupryciuk, prezes Zarządu LOTOS Kolej.

Warto spojrzeć na dalekosiężne plany gdańskiej spółki. Firma stara się obsa-

dzać przewozy blisko stacji granicznych z Rosją, Czechami, Słowacją i Białorusią. W przyszłości ma być także rozwijany kierunek litewski. W kontekście ewentualnego przejścia kapitałowego przez PKN ORLEN oznacza to dodatkowe korzyści. Rozbudowuje się oferowaną sieć połączeń w korytarzu wschód – zachód. Dodatkowo wzmacnia to pozycję firmy jako największego polskiego przewoźnika kolejowego w zakresie transportu towarów niebezpiecznych, w tym przede wszystkim paliw płynnych oraz produktów ropopochodnych i chemicznych.

WSPÓŁPRACA Z WOJSKIEM POLSKIM

LOTOS Kolej współpracuje też z Wojskiem Polskim – spółka podpisała czteroletni kontrakt na przewozy paliwa lotniczego F-34 dla Sił Zbrojnych RP. LOTOS Kolej będzie brała udział w łańcuchu logistycznym mającym na celu zaopatrzenie w paliwo baz lotniczych na

terenie całego kraju, m.in. w Krakowie, Warszawie, Łasku, Krzesinach i Powidzu. Spółka transportuje paliwo lotnicze dla Sił Zbrojnych RP już od 2016 r. Nowa umowa podpisana z 2 Regionalną Bazą Logistyczną RP przewiduje przewiezienie niemal trzykrotnie wyższego wolumenu.

– Zawarcie umowy ramowej na przewóz paliwa lotniczego F-34 cysternami kolejowymi na potrzeby Sił Zbrojnych RP jest gwarantem zabezpieczenia logistycznego jednostek wojskowych sił powietrznych kraju zarówno w czasie realizacji zadań szkoleniowych, jak również na poligonach. Spółka LOTOS Kolej, jako sprawdzony w realizacji dotychczasowych umów partner logistyczny, jest gwarantem terminowego i profesjonalnego świadczenia usługi, co zapewnia realizację zadań przez siły powietrzne kraju – mówi płk Andrzej Magiera, zastępca komendanta 2 Regionalnej Bazy Logistycznej.

DOBRA POZYCJA W RANKINGACH I ODPOWIEDZIALNY BIZNES

Spółka LOTOS Kolej zbudowała silną pozycję na rynku usług transportowych, co ma swoje odzwierciedlenie w prestiżowych branżowych zestawieniach. W tegorocznym Rankingu Firm TSL spółka zajęła trzecie miejsce w kategorii: „Przychody z deklarowanej głównej działalności – transport”, plasując się najwyżej spośród wszystkich spółek kolejowych oraz znalazła się w czołówce kategorii „Przychody z działalności TSL”.

LOTOS Kolej, jak cała Grupa Kapitałowa LOTOS, przykładą wagę do społecznej odpowiedzialności biznesu. Za pośrednictwem Fundacji LOTOS spółka przekazała środki finansowe na rzecz Fundacji Grupy PKP. Dzięki temu możliwy był zakup sprzętu komputerowego dla dzieci z najuboższych rodzin kolejarskich. Łącznie zakupiono sprzęt dla 17 rodzin.

– Sytuacja rodzin kolejarskich o niższym statusie materialnym nie jest nam obojętna, dlatego cieszę się, że spółka LOTOS Kolej mogła wziąć udział w akcji charytatywnej zorganizowanej przez Fundację Grupy PKP – mówi Jaromir Falandysz, wiceprezes Zarządu LOTOS Kolej.



Ile będzie nas kosztować kolejny postęp?

W pierwszym półroczu 2021 r. Komisja Europejska ma przedstawić projekt dotyczący tzw. granicznej opłaty węglowej. Rozwiązanie – w dużym skrócie – ma polegać na nakładaniu dodatkowego cła na sprowadzane do UE towary, których produkcja wymagała dużej emisji CO₂. Jak dużej? Jeszcze nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że



Krzysztof Budka, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

według eurokratów traktujących europejską politykę klimatyczną, czyli tzw. Zielony Ład, jako nową religię opłata węglowa ma „zapobiegać przenoszeniu produkcji, zwłaszcza wysokoemisyjnego przemysłu, do państw, w których nie trzeba płacić za emisję gazów cieplarnianych” i rocznie przynieść z tego tytułu 14 mln euro.

Zwolennicy takiego rozwiązania nawet nie ukrywają, że graniczny podatek węglowy to kluczowy element koncepcji wspomnianego Zielonego Ładu, który w Brukseli traktuje się z nabożną czcią. Opłata węglowa w ich przekonaniu ma sprawić, że „konkurencyjność UE zostanie zachowana, a jednocześnie pomoże zmobilizować inne państwa do podobnych działań”.

Jakieś szczegóły? O tych na razie cisza poza deklaracjami, że obecnie projekt jest konsultowany przez Komisję Europejską, więc dopiero w przyszłym roku przekonamy się, jaki jest proponowany kształt tego podatku, gdyż stworzenie całego systemu dla całej Unii będzie niezwykle skomplikowane. Niech się jednak nie łudzą ci, którzy myślą, że skoro to takie skomplikowane, to może KE odpuści. Niestety, dla chcącego nic trudnego. Walka z klimatem, która ma dokładnie taki sam sens jak walka z czterema porami roku, by pozamieniały się miejscami, zaostrza się, więc koszty tej walki muszą rosnąć.

No właśnie – koszty. O nich oczywiście nikt głośno nie mówi. Mamy za to narrację, według której chodzi przede wszystkim o zachęcanie przedsiębiorstw do inwestycji w nowe technologie – tak, by z jednej strony ograniczały emisje, a z drugiej stawały się innowacyjne i bardziej konkurencyjne. Bez „pomocy finansowej” te technologie są obecnie zbyt kosztowne, jednak zachęcanie do postępu technologicznego – jak przekonują wyznawcy klimatu – ma sens. KE będzie więc do niego zachęcać, przy okazji windując nam ceny. Trudno. Jak widać, każdy postęp kosztuje, a co dopiero postęp technologiczny...

Tego typu narracje mają to do siebie, że powinny brzmieć zachęcająco, by uśpić naszą czujność. Wystarczy jednak zapytać: „Ile?”, by wizja postępu technologicznego napędzana zielonym ładem przestała już być tak zachęcająca. Wystarczy sobie uświadomić, że tego typu polityka doprowadzi do tego, że za szynkę, której kilogram kosztuje dziś 25 zł, za chwilę płacić będziemy 55 zł. Że cena prądu, za który dziś w gospodarstwie domowym płacimy co miesiąc – powiedzmy – 80 zł, pójdzie w górę dwu- albo i trzykrotnie. Że stanie się tak z każdym dosłownie towarem. To

jeden z kosztów „technologicznego postępu”, który trzeba będzie ponieść w imię europejskiej polityki klimatycznej. Uczciwie byłoby ludziom powiedzieć już teraz, że za chwilę w imię „walki z klimatem” będzie drożej. Dużo drożej.

Opłata węglowa to – jak wspomniałem – jeden z elementów tzw. Europejskiego Zielonego Ładu, którego celem jest osiągnięcie neutralności klimatycznej w 2050 r. Ile Polskę będzie kosztował cały ten projekt? Według ostrożnych szacunków z ubiegłego roku nieistniejącego już Ministerstwa Energii ok. 900 mld euro. To, że naszego kraju na coś takiego zwyczajnie nie stać, jest oczywistością. Nie zmienia to jednak faktu, że koszt tej całej transformacji ponieść będziemy musieli wszyscy – jako podatnicy, przedsiębiorcy i konsumenci. Wygląda bowiem na to, że tego szaleństwa nie da się już powstrzymać. Polityka klimatyczna niczym jakiś wirus zainfekowała większość unijnych decydentów, którzy prą do dewastacji gospodarek państw członkowskich w imię walki ze zmianami klimatu. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że Zielony Ład staje się elementem wojny ideologicznej, więc jego konsekwencje będą znacznie wykraczać poza sferę ekonomiczną.

Inwestowanie w odnawialne źródła energii i szukanie innowacyjnych rozwiązań na tym polu to oczywiście coś, co ma sens, co warto wspierać i do czego warto dążyć. Jednak bez żadnego zadęcia ideologicznego, podszytego pseudoreligią, w której nikt nie liczy się z kosztami.

**Autor jest ekspertem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl**

**Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA**

Dbałość o środowisko naturalne, transparentne relacje z klientami i kontrahentami, rozwój biznesu z myślą o przyszłych pokoleniach – to fundamentalne zasady, które tworzą podwaliny każdego profesjonalnego biznesu budowanego w sposób odpowiedzialny społecznie i zgodnie z szeroko pojętymi zasadami zrównoważonego rozwoju. W Krajowej Spółce Cukrowej wszystkie te elementy wpisują się w długofalową strategię rozwoju firmy. Jednym z kluczowych aspektów w tym obszarze jest ścisła współpraca z plantatorami, dostarczycielami płodów rolnych i wzajemna wymiana doświadczeń, dla dobra każdej ze stron i całego otoczenia społeczno-gospodarczego.

– Krajowa Spółka Cukrowa jest największym producentem cukru w Polsce i jednym z największych w Europie. Odgrywanie tak istotnej roli w biznesie i gospodarce rolnej zobowiązuje. Jako firma bierzemy pełną odpowiedzialność za to, aby nasze działania były prowadzone w sposób etyczny i uwzględniający potrzeby innych jednostek. Podejście to stanowi fundament aktywności podejmowanych przez nas w zakresie trzech głównych obszarów działalności: rolnictwie, produkcji i handlu – mówi Marek Dereziński, członek Zarządu Krajowej Spółki Cukrowej.

W kluczowym obszarze dla rozwoju Krajowej Spółki Cukrowej, jakim jest rolnictwo, priorytetem jest wzorowa, jak najlepsza współpraca z plantatorami buraka cukrowego. Przejawia się ona w aspekcie zarówno społecznym, jak i agrotechnicznym. Szereg aktywności w tym zakresie wpisuje się w przyjętą w 2019 r. przez Radę Ministrów „Strategię zrównoważo-



Rolnictwo i produkcja: dla dobra ludzi i planety

nego rozwoju wsi, rolnictwa i rybactwa 2030”.

– W Krajowej Spółce Cukrowej mamy świadomość tego, jak bardzo istotny i potrzebny jest wkład w gospodarczy rozwój wsi. Równolegle też pamiętamy o tym, by podejmować wszelkie niezbędne działania – rozwijając współpracę z plantatorami, a docelowo naszą produkcję – na rzecz poprawy stanu środowiska naturalnego. Wspieramy naszych kontrahentów, stawiamy sobie nowe wyzwania, dbamy o najwyższą jakość produkcji – podkreśla Marek Dereziński.

W relacjach z plantatorami Krajowa Spółka Cukrowa kieruje się zasadami zrównoważonego rolnictwa. Warto w tym miejscu podkreślić, że eksperci KSC już ponad 12 lat temu współuczestniczyli w stworzeniu publikacji „Kodeks dobrych praktyk w produkcji buraków cukrowych”, która to cała czas stanowi ważny dokument źródłowy z wytycznymi dla plantatorów. Na tym jednak wzajemne relacje i współpraca z kontrahentami spółki się nie kończą. Oprócz publikacji i prasy fachowej ważny kanał

komunikacji z plantatorami stanowią organizowane przez Krajową Spółkę Cukrową szkolenia, konferencje branżowe czy wydawany przez KSC „Kwartalnik Polski Cukier”. W ramach każdej z tych aktywności prezentowane są między innymi aktualne zagadnienia dotyczące zrównoważonego rolnictwa.

Działania te spotykają się z uznaniem plantatorów. Szczególnie cenna jest wymiana doświadczeń w zakresie mechanizacji rolnictwa, nawożenia i ochrony roślin. Wiedza na ten temat z roku na rok jest coraz większa, a eksperci KSC stale aktualizują posiadane informacje z tego obszaru. Spółka współpracuje też z krajowymi i zagranicznymi instytucjami naukowymi. Dział ds. Agrotechniki Krajowej Spółki Cukrowej każdego roku realizuje szereg doświadczeń dotyczących odmian roślin, ich uprawy oraz nawożenia, a także ochrony plantacji przed agrofagami. Dzięki transferowi wiedzy ze świata nauki eksperci KSC mogą rekomendować najlepsze rozwiązania dla konkretnych rejonów upraw.

To jednak nie wszystko. W celu spełnienia wymagań

klientów Krajowa Spółka Cukrowa stale doskonali system zarządzania, podnosi konkurencyjność oferty oraz wdraża najwyższe standardy jakości. KSC jest też posiadaczem wielu certyfikatów. Jednym z istotniejszych na polu współpracy z rolnikami jest certyfikat zrównoważonej uprawy buraków cukrowych REDcert2, który potwierdza, że plantatorzy współpracujący z Krajową Spółką Cukrową spełniają wymagania w zakresie uprawy buraka cukrowego zgodnie z dobrymi praktykami rolniczymi. Istotne jest to, że praktyki weryfikowane w czasie certyfikacji obejmują planowanie upraw i zarządzanie zasobami gospodarstwa, w szczególności glebą, poprzez optymalne wykorzystanie środków produkcji (nawozy, pestycydy, nawadnianie). Ponadto w czasie audytu przeprowadzonego przez jednostkę certyfikującą – Przemysłowy Instytut Motoryzacyjny – plantatorzy potwierdzili, że podejmują działania, które mają na celu zachowanie i poprawę kondycji środowiska naturalnego, w którego otoczeniu prowadzi swoje gospodarstwo.

Skutecznie realizowana przez KSC strategia na polu realizowania zasad zrównoważonego rozwoju otwiera przed firmą też nowe obszary biznesowe. We wrześniu 2019 r. zostały przeprowadzone w Spółce przez jednostkę certyfikującą TÜV Rheinland Polska Sp. z o.o. audyty na zgodność z wymaganiami standardu KZR INIG (Kryteria Zrównoważonego Rozwoju – Instytut Nafty i Gazu). 20 września 2019 r. Spółka otrzymała certyfikat KZR INIG, potwierdzający spełnienie wymagań zrównoważonego rozwoju. Certyfikat ten umożliwia Spółce sprzedaż melasy firmom produkującym etanol na biopaliwa.



Radosław Wojtas

Żeby wysłać SMS, Marcin Scelina musi szukać zasięgu 2 km od swojego domu. Kazimierz Nózka nagrywa niedźwiedzie aparatem mieszczącym się w dłoni. Razem prowadzą stronę na Facebooku, którą obserwuje ponad 200 tys. osób

Dla wielu stał się symbolem Bieszczadów, niemalże – Kaziu, przepraszam za porównanie – jak zaporą w Solinie”. Tak o Kazimierzu Nózce w wydanej niedawno książce „Wilczy gang” pisze Marcin Szumowski. – Zaporą w Solinie? Eee tam. Marcin przesadza w tych swoich porównaniach – uśmiecha się Kazimierz Nózka. – Jakoś to się tak potoczyło, że ta rozpoznawalność jest, ale gdzież mi tam do zapory...

A potoczyło się tak, że filmy kręcone w bieszczadzkich lasach kompaktowym aparacikiem miewają milionowe zasięgi, a Kazimierz Nózka i jego przyjaciel Marcin Scelina stali się najbardziej rozpoznawalnymi leśniczymi w Polsce. Ponad 200 tys. obserwujących na Facebooku, wiadomości od fanów, wywiady, książki, autografy... Życie dwóch bieszczadzkich leśniczych w ciągu kilku ostatnich lat bardzo się zmieniło. A oni po prostu chcieli pokazywać ludziom las.

GADANIE Z NIEDŹWIEDZIEM

Kazimierz Nózka i Marcin Scelina pracują w nadleśnictwie Baligród. Pierwszy administruje leśnictwem Polanki, drugi – Roztoki. To Scelina wpadł na pomysł, by nieco rozpromować Baligród w sieci. Już wcześniej udzielał się na forach internetowych, przyglądał się, jak profile na Facebooku prowadzą inne nadleśnictwa. Chciał to robić po swojemu. Potencjał dostrzegł w starszym od siebie o dwie dekady Kazimierzowi. – Marcin mnie zagadnął, czy byśmy nie założyli profilu na Facebooku. Przekonywał: „Inne nadleśnictwa mają, poprowadzimy przez rok i zobaczmy, jak będzie. Jeśli nie wypali, to damy sobie spokój” – wspomina Kazimierz Nózka.

2 stycznia 2013 r. na Facebooku pojawiła się strona „Nadleśnictwo Baligród, Lasy Państwowe”. Marcin Scelina: – Od

początku poszło jak burza. Pewnie dlatego, że prowadziliśmy nasz profil inaczej niż nasi koledzy. Wielu leśniczych chciałoby wyedukować każdego na przeciętnego drwala, tłumaczyć gospodarce leśną, wyjaśniać, dlaczego wycina się drzewa itd. A przecież nikt nie przychodzi do lasu, żeby oglądać zręby, ale żeby odpocząć. Nie chcieliśmy kolejnego profilu leśników dla leśników. Chcieliśmy ludzi zaintrygować. Oczywiście także edukować, ale w przystępnej, luźnej formule.

Panowie dobrze się uzupełniają. Kazek to fascynat świata fauny, zna zwyczaje zwierzęcy, potrafi na podstawie tropów odtworzyć przebieg leśnych starć na śmierć i życie. Marcin Scelina to chodząca botaniczna encyklopedia (prymus na studiach, mógł wybrać dowolne nadleśnictwo w Polsce, postawił na Baligród).

Kazimierz z małym aparacikiem (ale dysponującym potężnym zoomem) ma rękę do filmów ze zwierzętami w rolach głównych. Marcin Scelina, zawsze z lustrzanką i zestawem obiektywów, ma oko do zdjęć roślin i krajobrazów. Między leśniczymi czuć chemię. Nie szczędzą sobie kąśliwości, ale nikt nie ma wątpliwości, że darzą się sympatią i szacunkiem. Wypracowali własny styl. Ludzie polubili i podchwycili poetykę ich postów w rodzaju: „Mgły okrutne nad Bieszczadami”, „Pustka sakramencka” albo „Miało lać i leje”.

Pierwszy raz naprawdę głośno o Nadleśnictwie Baligród zrobiło się w Boże Narodzenie 2017 r. Chcąc odsapnąć od zgiełku przedświątecznych przygotowań, Kazimierz Nózka postanowił poszukać spokoju w lesie. I trafił w sam środek akcji. „Za gęstym młodnikiem zobaczyłem

Kazimierz Nózka (z lewej) i Marcin Scelina prowadzą facebookowy profil „Nadleśnictwo Baligród, Lasy Państwowe” po godzinach

FOT. WOJTEK DRZYŻDZYK



Ambasadorzy Baligrodu

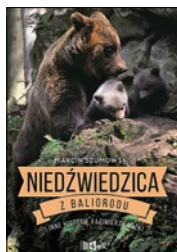
świeżą ścieżkę pozostawioną przez watahę wilków. Liczę tropy: jeden, dwa, cztery, sześć, siedem. »Matko, ile ich jest! Coś się tu szykuje...« – pomyślałem i poszedłem dalej ich śladem» – relacjonował Marcin Szumowski w książce »Niedźwiedź z Baligrodu«. – Aga [Kazimierz Nózka nadaje niedźwiedziom imiona, Aga to matka niedźwiadków Grzesia i Lesia – przyp. R.W.], chcąc uchronić młode, zatrzymała się i od razu została osaczona przez wilki. Kilka metrów od moich nóg przytulone do skały drżały ze strachu jej dzieci. [...] krzyknąłem »Nie! Zostawcie! Zostaw!« Wilki zawróciły».

Kazimierz Nózka nagrał całą akcję. 23 grudnia przed południem wideo trafiło do Internetu, a kilka godzin później film pokazywały większość polskich mediów, zagraniczne portale oraz telewizje. Oj, nie były to najspokojniejsze święta w rodzinie państwa Nózków...

Nagrania ze spotkań leśniczego z Polanek z niedźwiedziami zawsze generują zwiększony ruch na profilu. Kasek zna zwyczaje tych zwierząt, ich drogi krzyżują się nawet kilkanaście razy w roku. Przy każdej okazji podkreśla, że to niebezpieczne drapieżniki, przed którymi czuje ogromny respekt i wobec których zachowuje dystans, choć na niektórych nagraniach (pamiętajmy o dużym zoomie) może to wyglądać inaczej. Na jednym z filmów widać, jak Aga z młodymi idzie wprost na Kaska. Dookoła głębokie śniegi, ucieczka nie wchodzi w grę. Kazimierz Nózka postanawia przemówić do zwierząt. »Nie!«, powtarza kilka razy zdecydowanym głosem, a niedźwiedzie, jak na komendę, schodzą mu z drogi. Podczas innego zimowego spotkania z młodym niedźwiedziem Nózka pyta czule: »Grzesiu, dlaczego ty jeszcze nie śpisz?«. »Zasuwaj spać. Szybko!« – radzi. Zwierzę przygląda mu się, po czym odchodzi jak skarcone dziecko do swojego pokoju.

PRZYNIĘŚ LAS DO BLOKOWISK

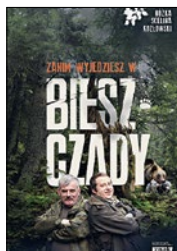
– Większość filmów, które pojawiają się na profilu, to niekoniecznie filmy związane ze zwierzętami – mówi Marcin Szumowski, autor dwóch książek napisanych w dużej mierze na kanwie opowieści Kazimierza Nózki. – To są pory roku, zmieniające się kolory, krajobrazy, mgły, płynąca woda, klangor przelatujących żurawi... To jest cała przyroda Bieszczad. Oni to wszystko dają ludziom, jakby podawali kroplówkę z życiodajną miksturą, którą chłoną wszyscy ci, którzy siedzą



MARCIN SZUMOWSKI
„NIEDŹWIEDZICA
Z BALIGRODU I INNE
HISTORIE KAZIMIERZA
NÓŻKI”
OFICyna 4EM 2019



MARCIN SZUMOWSKI
„WILCZY GANG I NOWE
HISTORIE KAZIMIERZA
NÓŻKI”
OFICyna 4EM 2020



MACIEJ KOZŁOWSKI,
KAZIMIERZ NÓŻKA,
MARCIN SCELINA
„ZANIM WYJEDZIESZ
W BIESZCZADY”
ZNAK HORYZONT 2019



MACIEJ KOZŁOWSKI,
KAZIMIERZ NÓŻKA,
MARCIN SCELINA
„ZANIM WYJEDZIESZ
W BIESZCZADY.
PRZYSTANEK JEZIORO”
ZNAK HORYZONT
PREMIERA: 28.10.2020

w miastach. Las trafia do tych, którzy nie mogą do niego pójść. Stąd ta popularność Kasia i Marcina – dodaje.

– Widocznie jest zapotrzebowanie na takie relacje, przekazywane prostym językiem, zrozumiałym i dla ucznia szóstej klasy, i dla emeryta z blokowiska – mówi Kazimierz Nózka. – Czasem ludzie do nas piszą, że las znają tylko z naszego profilu, bo na przykład są przykuci do łóżek.

A bieszczadzki las to las nie byle jaki. – Przed wojną Bieszczady były trochę zapomnianym miejscem, znacznie mniej ciekawym niż pobliskie Gorgany czy Czarnohora. Powojenne wysiedlenia sprawiły natomiast, że miejsce ludzi i spalonych wiosek zajmowała przyroda – niedźwiedzie, jelenie, wilki. Nie było tu też dużej presji przemysłowej, zwłaszcza w naszym nadleśnictwie mała spławność

rzek sprawiała, że nie pozyskiwano zbyt wiele drewna. Dzięki temu zachowało się u nas sporo lasów w stanie zbliżonym do naturalnego. Bieszczady to ewenement na ogólnopolską skalę – mówi Marcin Scelina. Dodaje, że każdego roku dokonują z Kazimierzem Nózką jakiegoś spektakularnego (no, może nie dla przeciętnego zjadacza chleba, bo dotyczącego np. porostów) odkrycia.

PAN KOTEK BYŁ CHORY

Prowadzeniem strony na Facebooku, która jest dziś najpopularniejszym profilem Lasów Państwowych w kraju, Kazimierz Nózka i Marcin Scelina (dziś mają już pomocników – adminów jest kilku) zajmują się w czasie wolnym. – To nasze hobby. Jeden zbiera znaczki, a my robimy zdjęcia, kręcimy filmiki i dzielimy się nimi w Internecie – mówi Marcin Scelina. Kazimierz Nózka dodaje: – Przede wszystkim jesteśmy leśniczymi frontowymi i musimy wykonywać swoją robotę. Czasem nawet lepiej, niż by się komuś zdawało, dlatego że jesteśmy w pewnym sensie na cenzurowanym. Ludzie mogą nas bardziej krytycznie oceniać, a później nam coś wytykać.

Marcin Szumowski w »Niedźwiedzicy z Baligrodu« zauważa, że kiedyś leśniczy był w bieszczadzkiej głuszy jak numer 112 – gdy tylko coś się działo we wsi, to wszyscy biegli do leśniczego, który i pomógł wyciągnąć wóz z błota, i w środku nocy organizował pomoc dla chorego. Dzisiaj Kazimierz Nózka dostaje zdjęcia tropów z prośbą o wskazanie, jakie zwierzę je zostawiło, ludzie pytają o przycinanie drzewek na działce czy o radę, co robić, gdy kot straci apetyt. – Nie wiem, czy Kazio czasem nie żałuje, że dał się ponieść mediom – mówi Marcin Szumowski. – Z jednej strony pewnie czerpie z tego przyjemność, z drugiej zapewne przeszkadza mu to w pracy. Na pewno nie jest człowiekiem, który chciał zdobyć sławę, bo to bardzo skromna osoba – dodaje.

– Zapora w Solinie... – kręci głową Kazimierz Nózka. – Czasem ludzie zatrzymują mnie na drodze do Łopienki, która jest miejscem mojej pracy, proszą o autograf czy zdjęcie. Czasem niektórym się wydaje, że jak oni mają czas, to i ja muszę go mieć, zwłaszcza wieczorami mam nawał wiadomości. Co bym odpowiedział Scelinie, gdybym siedem lat temu wiedział, jak to się skończy? Wziąłbym się za to raz jeszcze! Bo wiem, że sporo zrobiliśmy dla naszej firmy, dla środowiska i dla Bieszczad.



Wojciech Cejrowski

Pierwszy Muminek przyszedł na świat w wygódce

Oficjalnie mówi się, że go namalowano farbkami i pędzelkiem. Prawda jest taka, że został wyskrobany gwoździem na ścianie z nieheblowanych desek. W młodzińszym porywie bezsilnej złości.

Był przez to mniej okrągły od Muminków, które znamy z książek. Ponadto wcale nie był sympatyczny, lecz wredny, czarny i szpiczasty.

Był rok 1930 albo 1931, dzisiaj nikt już tego dokładnie nie pamięta. Nastoletnia Tove Jansson i jej odrobinę młodszy brat, Per Olov, pokłócili się o jakieś filozoficzne pryncypia. Tove przegrała spór i wybiegła, trzasnąwszy drzwiami. Chciała gdzieś wylać złość. W tamtych czasach fińskie nastolatki nie szły w tym celu na miasto ani na zakupy – najczęściej po prostu siadały w kącie i zaczynały płakać.

Tove siadła z hukiem w czterech kątach. Chwilę wcześniej zatrzęsnęła przed sobą drzwi i zamknęła się od środka na haczyk. W tych drzwiach ktoś wyciął, tradycyjne w takich miejscach, serduszek.

Jej biografowie upierają się, że miała ze sobą pędzelek i farbki.

Bardzo wątpię. Była wściekła i kompletnie nieprzygotowana. Po prostu wyskrobała tego Muminka gwoździem! W każdej wygódce świata łatwo znaleźć jakiś stary gwoździec, który da się wyciągnąć albo ułamać, natomiast na farbki, pędzelek oraz niezbędny w tym kontekście słoiczek z wodą nie dam się nabrać.

Wyskrobywanie Muminka było czymś w rodzaju rzucania uroku. Gdyby Tove akurat wbiegła do kuchni i zamiast na okrągłej dziurze usiadła na krześle, to ulepiłaby z chleba figurkę swojego brata, a potem zaczęła w nią wbijać szpilki. Albo przypalać płomieniem świecy. Przy właściwym zaangażowaniu Per Olov skrecałby się z bólu, a Muminki może nigdy by nie powstały.

Wbrew powszechnemu przekonaniu Tove Jansson wcale nie wymyśliła Mu-



Dolina Muminków

minków – ona im tylko nadała kształt. To jej wuj, profesor Einar Hammarsten, był autorem pomysłu: często straszył niegrzeczne dzieci, że zostaną zaatakowane przez groźnego trolla „mu-u-umina”, który mieszka za piecem i lubi dmuchać ludziom w kark lodowatym oddechem.

Wuj nie miał nic do powiedzenia na temat wyglądu trolla, bo go nigdy nie widział, ale mimo to zapewniał wszystkich, że wielokrotnie stykał się z nim osobiście. Niestety (a może na szczęście) wyłączenie tyłem. Odwracał się wprawdzie gwałtownie, gdy poczuł na karku zimny dmuch, lecz „mu-u-umin” był zawsze szybszy i w porę umykał za piec.

Tove Jansson wspomina „mu-u-umina” kilka razy w swoich pamiętnikach z lat 30. XX w., a po raz pierwszy zaczyna go malować farbkami wodnymi w roku 1932. Podobno.

Najwcześniejszy zachowany obrazek nosi datę 1934 i przedstawia podłużnego czarnego trolla o szpiczastych uszach, ostrym nosie, bez rąk... I bez ogonka!

Autorka mówi o tych wczesnych rysunkach, że przedstawiają „czarne Muminki” – gatunek pierwotny, dawno wymarły. Dzisiaj reprezentuje je już tylko Buka – groźna samotna postać rodzaju żeńskiego (raczej), która nikogo nie lubi. „Tam, gdzie Buka siedzi dłużej niż godzinę, nic już nigdy nie wyrośnie, bo ziemia

zamiera z przerażenia” („Tatusz Muminka i morze”, Nasza Księgarnia 1988, wyd. 2, s. 25).

Znane nam sympatyczne białe Muminki zaczynają się pojawiać w pierwszej połowie lat 40. ubiegłego wieku. Najpierw jako stali rezydenci ilustracji do magazynu „Garm”, a wreszcie jako bohaterowie pierwszej książki o Muminkach wydanej zaraz po wojnie, w grudniu roku 1945.

Od chwili narodzin Muminków nie ma zgody co do ich narodowości – Tove Jansson wprawdzie żyła i tworzyła w Finlandii, sama też była obywatelką tego kraju, ale należała do mniejszości szwedzkiej. W jej domu mówiło się po szwedzku, wszystkie książki napisała po szwedzku, należy więc przyjąć, że Muminki wymyśliła też po szwedzku.

Po dziś dzień ukazało się 13 książek o Muminkach. Na język polski przetłumaczono jednak tylko dziewięć. Może dlatego, że pozostałe cztery to nie powieści, lecz zbiory komiksów. W dodatku spora ich część nie jest autorstwa Tove Jansson, lecz jej drugiego brata – Larsa.

Komiksy powstawały w ramach kontraktu z brytyjską gazetą „The Evening News”. Pod koniec lat 50. Tove znudziła się rutynową robotą i sprawę przejął



– Na pewno nie chce pan pluszowego Paszczaka? A może kryształowy flakonik z wizerunkiem Filifionki ?

Sytuację ratuje położona niedaleko sklepu Dolina Muminków w plenerze. Jest to park rozrywki działający w kurorcie Naantali – fińskim odpowiedniku naszego Sopotu.

Na małej przybrzeżnej wysepce zbudowano naturalnej wielkości dom Muminków. (W spiżarni stoją nawet JA-DALNE „kafitury ślikowe Mamusi”. Słoje wprawdzie przyklejono do półek, żeby ich nikt nie wynosił, ale dzieci i tak odkręcają pokrywki i wyjadają zawartość).

Nieopodal domu stoi szopa Paszczaka, lekko przekrzywiona przez wiatr. Nad brzegiem morza sławna kabina kąpielowa Tatusia wraz z pomostem. Kto czytał książki, ten jest zachwycony. Nawet elementy topografii terenu odtworzono, kopiując pejzaż z oryginalnych ilustracji. A wszystkie mroczne ścieżki pośród chaszczy prowadzą w Różne Bardzo Tajemnicze Miejsca.

Jedno z nich to polanka, na której właśnie wchodzi szereg Hatifnatów. Wschodzą, czyli rozmnażają się na podobieństwo szczypiorku. Są wówczas mocno naelektryzowani, dlatego trzeszczą (co słychać dzięki sprytnie poukrywanym głośnikom). Gdyby ich dotknąć, mogą kopnąć. Prądem, rzecz jasna, bo jeżeli chodzi o nogi, to Stwórca Hatifnatów najwyraźniej o czymś ważnym zapomniał.

Po Dolinie Muminków spacerują żywione postacie z książek. Wśród nich Mała Mi – psotna dziewczynka z rudym kokiem na głowie; Paszczak spacerujący w fioletowej sukni, którą odziedziczył po ciotce; no i oczywiście Muminek, z ogonkiem podwieszonym na agrafce, żeby mu go ktoś nie przydepnął i nie urwał. (Był taki przypadek i ciekawskie dzieci zabrały Mumin-kowi w dziurę po ogonie, a potem cały czar prysł, gdyż wewnątrz Muminka odkryły stelaż z drutów nałożony na chudego studenta, który dorabiał do stypendium).

Ta Dolina Muminków to przedsięwzięcie komercyjne, a nie artystyczne. Tove Jansson miała z nim tyle wspólnego, że przybyła na otwarcie i podobno dobrze się bawiła. Pod koniec życia pisarka jakby się poddała – przestała walczyć w obronie Muminków. Pozwalała innym na dowolne interpretacje i przeróbki swoich powieści.

Może to dobrze, bo dzięki temu dzieci mają swój park rozrywki, a na dorosłych czeka przecież druga Dolina Muminków. Wybudowana w podziemiach Biblioteki Miejskiej w Tampere.

Jest to wystawa ilustracji książkowych przekazanych przez Tove Jansson oraz makiet przedstawiających sceny z życia Muminków. Jedne znamy z książek, inne są do obejrzenia tylko tu.

Wiele ilustracji powstało po to, by zanotować pomysły, których Tove nigdy potem nie wykorzystała – tworzą one nieznaną czytelnikowi, pozaksiążkową historię Muminków. (Dopiero tam dowiedziałem się, że były próby pokazania, jak właściwie wyglądają usta Muminków, jak Muminki jedzą i jak się całują).

Największą atrakcją tej doliny stanowi ogromna makiet Domu Muminków (2,5 metra wysokości), którą można oglądać ze wszystkich stron i poziomów, zaglądając mieszkańcom do okien i szaf. Makietę zbudowano pod nadzorem Tove Jansson. Odtworzono to, co opisała, oraz dodano wszystko to, co sobie wyobrażała, ale jakoś nie umiała w żadnej powieści.

Tove stwierdziła, że dopiero po obejrzeniu makiety dowiedziała się, jak naprawdę wygląda Dom Muminków.

Tove Jansson zmarła 27 czerwca 2001 r., w wieku 86 lat.

Więcej informacji o niej samej (i trochę o Muminkach) można znaleźć w książce „Córka malarza”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Książki o Muminkach w kolejności powstawania:

1945 – „Małe trolle i duża powódź”

1946 – „Kometa nad Doliną Muminków”

1948 – „W Dolinie Muminków”

1950 – „Pamiętniki tatusia Muminka”

1952 – „Hur gick det sen?” – brak polskiego przekładu

1954 – „Lato Muminków”

1957 – „Zima Muminków”

1960 – „Vem ska trosta knyttet?” – brak polskiego przekładu

1962 – „Opowiadania z Doliny Muminków”

1965 – „Tatus Muminka i morze”

1970 – „Dolina Muminków w listopadzie”

1977 – „Den farliga resan” – brak polskiego przekładu

1980 – „Skurken i muminhuset” – brak polskiego przekładu

Lars, który udatnie podrabiał styl siostry aż do roku 1975!

Podróbek, poplonów, a nawet popłuczyn jest więcej.

Na początku lat 90. Tove Jansson sprzedała Japończykom licencję na używanie wymyślonych przez siebie postaci i ostatecznie straciła kontrolę nad tym, co robią Muminki.

Wkrótce potem za pośrednictwem telewizji świat obiegły okropne japońskie kreskówki – pozbawione czaru historie o jakichś Muminkach uzurpatorach, mające niewiele wspólnego z oryginalnymi książeczkami – ot, rysunkowa papka.

Popularność kreskówek spowodowała, że powstał wokół nich spory przemysł zabawkarski zajmujący się przetwórstwem plastiku, pluszu i trykotu.

Zaskakujące to i smutne, ale w firmowym sklepie handlującym wyłącznie Muminkami nie znalazłem książek o Mumin-kach! I to w ich ojczyźnie – Finlandii, czyli w kraju, gdzie Muminki są traktowane podobnie jak u nas „Zemsta” Fredry.

Aż się sprzedawczyni dziwowała. Myszkowały po półkach i na zapleczu, lecz w końcu stwierdziły, że definitywnie nie ma i raczej nie będzie, bo od kiedy prowadzą ten sklep, jestem pierwszym klientem, który pyta o książki.

KATARZYNA PINKOSZ: Ostra białaczka limfoblastyczna to najczęstszy nowotwór u dzieci. A u dorosłych?

PROF. JOANNA GÓRA-TYBOR: U dorosłych ostra białaczka limfoblastyczna (acute lymphoblastic leukemia, ALL) jest chorobą rzadką: zachorowalność to ok. 1 do 100 tys. Pierwszy pik zachorowań występuje w wieku 15–25 lat, a drugi u osób powyżej 75. roku życia, chociaż oczywiście zachorować można w każdym wieku.

Jak każda ostra białaczka ALL stanowi zagrożenie życia. U chorego dochodzi do produkcji dużej liczby nieprawidłowych, niedojrzałych limfocytów, czyli limfoblastów. Niedojrzałe limfocyty nie mogą spełniać swojej funkcji, a jest nią przede wszystkim ochrona organizmu przed infekcjami. Ponadto, komórki białaczkowe „wypierają” ze szpiku wszystko, co powinno być w nim produkowane, m.in. czerwone krwinki, płytki krwi, granulocyty.

W przypadku ostrej białaczki nie sposób nie zauważyć objawów. Jakie są najbardziej charakterystyczne dla ALL?

Choroba ma zawsze dramatyczny początek, objawów nie sposób nie zauważyć. To trzy grupy objawów. Pierwsze: pacjent traci odporność, jest podatny na wszelkie infekcje, występują u niego gorączki bez istotnej przyczyny, zapalenia płuc, gardła, zmiany w jamie ustnej (bakteryjne, grzybicze). Druga grupa to objawy związane z niedokrwistością, takie jak osłabienie, zawroty głowy, omdlenia. Trzecia grupa objawów jest związana ze skazą krwotoczną: to wszelkiego typu krwawienia, od drobnych, śluzówkowych, przez łatwe siniaczenie się, aż do groźnych krwawień np. do ośrodkowego układu nerwowego, przewodu pokarmowego.

Czy trudno ten rodzaj białaczki rozpoznać?

Pacjent często trafia na najbliższy oddział internistyczny z wysoką gorączką, krwawieniem, silną anemią. Już w badaniu morfologicznym widać niedokrwistość, małopłytkowość. Jeśli chodzi o białe krwinki, to może ich mieć zbyt dużą liczbę albo pojawia się leukopenia (mała liczba krwinek białych). Już wynik morfologii wskazuje na konieczność kontaktu z hematologiem i przeniesienia pacjenta na oddział hematologiczny. Tam ma on wykonane badanie szpiku z oceną fenotypową,



Z prof. Joanną Górą-Tybor, hematologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

FOT. ADRIE STOCK

Dać szansę na przeszczep

pozwalającą na określenie, jakiego pochodzenia są blasty. Wykonuje się też wiele specjalistycznych badań genetycznych, ponieważ jest wiele podtypów ostrej białaczki limfoblastycznej. Część z nich wymaga innego leczenia.

Diagnostyka musi być szybko przeprowadzona?

W przypadku ALL liczy się każdy dzień. Pacjent już następnego dnia ma rozpoznanie choroby, a w ciągu dwóch czy trzech dni powinniśmy mieć wynik badania genetycznego. Ważne jest jak najszybsze rozpoczęcie leczenia.

W ubiegłym roku hematolodzy i środowiska pacjentów onkologicznych cieszyły się z refundacji bardzo nowoczesnego leku: blinatumomabu. Tego leku nie można jednak zastosować u wszystkich pacjentów z oporną białaczką. Jak tę chorobę się leczy?

Podstawą jest chemioterapia. To trudne leczenie, ma wiele powikłań, nie każdy pacjent się do niego kwalifikuje, osoby starsze nie są w stanie przeżyć pewnych toksyczności chemioterapii. U większości pacjentów jednak dzięki intensywnej chemioterapii udaje się osiągnąć remisję. Niestety, u części chorych obserwuje się



Tak, obydwie te leki są bardzo skuteczne, przeznaczone jednak dla nieco innych grup pacjentów. Blinatumomabu nie można np. podać pacjentom, u których białaczka zaatakowała też układ nerwowy, co często się zdarza w ostrej białaczce limfoblastycznej. Z kolei inotuzumab jest bardziej hepatotoksyczny. Dlatego najlepiej, gdybyśmy mieli do dyspozycji obydwie przeciwciała: każde z nich można zastosować w nieco innej grupie pacjentów. Obydwie są w stanie przełamać oporność na chemioterapię i być „pomostem” do przeszczepienia szpiku.

Allogeniczne przeszczepienie szpiku jest konieczne?

Tak, te leki są pomostem do transplantacji; chodzi o to, by wprowadzić pacjenta w remisję choroby i przeszczepić szpik. Takie leczenie ma szansę doprowadzić nawet do wyleczenia choroby.

Obydwie przeciwciała są skuteczne nie tylko w opornej i nawrotowej ALL, lecz także w dodatniej chorobie resztkowej po tzw. leczeniu indukującym remisję.

Co to znaczy: w chorobie resztkowej?

Za pomocą wielu badań, m.in. cytometrii przepływowej, jesteśmy w stanie zidentyfikować nawet niewielką ilość pozostałych po leczeniu komórek białaczkowych. Jeśli są one wykrywalne, to mówimy o dodatniej chorobie resztkowej: to bardzo zły czynnik rokowniczy, ponieważ istnieje wówczas duże ryzyko, że choroba nawróci. W takim przypadku również warto zastosować jedno z nowoczesnych przeciwciał monoklonalnych, czyli albo blinatumomab, albo inotuzumab ozogamycyny. Obydwie byłyby cennymi lekami do wyeliminowania choroby resztkowej. Dzięki możliwości ich zastosowania w chorobie resztkowej można by było zmienić los chorych, eliminując ją. Odsetek długich przeżyć i wyleczeń u pacjentów byłby istotnie większy.

Obecnie u tych pacjentów, którzy nie kwalifikują się do podania blinatumomabu, pozostaje tylko chemioterapia, właściwie bez szans na przeszczepienie?

W przypadku chemioterapii mniej osób wchodzi w remisję, jej czas jest krótszy, mamy mniej czasu na przygotowanie pacjenta do przeszczepu szpiku. Możliwość zastosowania inotuzumabu zwiększyłaby szansę na remisję choroby i poddanie pacjenta przeszczepieniu szpiku.

Obydwie nowoczesne przeciwciała były stosowane w Polsce w ramach badań klinicznych w opornej i nawrotowej ostrej białaczce. Znam pacjentów, dla których te leki były pomostem do przeszczepu i którzy wciąż żyją dzięki zastosowaniu tej procedury. U części choroba nie wraca. Im głębsza remisja przed przeszczepieniem, tym mniejsze ryzyko nawrotu. Jednocześnie populacja osób, które mogłyby otrzymać przeciwciała, nie jest duża: to ok. kilkunastu–kilkudziesięciu osób rocznie.

Obecnie, w czasie epidemii COVID, szczególnie ważne jest stosowanie leków, w przypadku których pacjent jak najkrócej musi przebywać w szpitalu. Amerykańskie i europejskie towarzystwa hematologiczne zalecają unikanie częstych lub długotrwałych wizyt w szpitalu. Ma to znaczenie w przypadku tych leków?

Blinatumomab stosuje się w ciągłej infuzji dożylniej przez cztery tygodnie, inotuzumab stosuje się w postaci godzinnych wlewów dożylnych. W przypadku stosowania obydwu leków pacjenci wymagają hospitalizacji, a jej długość zależy od stanu chorego.

Okres COVID-19 jest szczególnie trudny dla pacjentów hematologicznych, gdyż są w grupie najwyższego ryzyka. Jakże są dla nich najważniejsze zalecenia na dziś?

To prawda, zapalenie płuc w przebiegu COVID-19 u tych chorych może mieć wręcz dramatyczny przebieg, podobnie jak w przypadku grypy. Zalecamy przestrzeganie podstawowych zasad: dystansowania społecznego, mycia rąk, unikania kontaktów z innymi osobami. Spacerować – tak, ale w miejscach, gdzie nie ma ludzi. Nie należy się bać pobytu w szpitalu: u każdego pacjenta przed przyjęciem wykonujemy badanie w kierunku COVID-19 i staramy się zapewnić bezpieczeństwo. W przypadku wizyt kontrolnych, gdy dobrze znamy pacjenta, często zapraszamy na telewizyty: przychodzi on tylko na badania, a wyniki omawiamy telefonicznie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

oporność na leczenie, a u części mimo uzyskanej remisji choroba wraca. Sytuacja jest wtedy dramatyczna, ponieważ odporne białaczki bardzo źle odpowiadają na chemioterapię i czas przeżycia pacjentów jest krótki. Dlatego poszukuje się leków, które przełamałyby to złe rokowanie.

Takimi lekami okazały się przeciwciała monoklonalne. W ubiegłym roku programem lekowym w Polsce zostało objęte jedno z takich przeciwciał: blinatumomab. Jest to przeciwciało, które z jednej strony wiąże komórkę białaczkową, a z drugiej strony limfocyt T, który w naturalny sposób walczy z komórkami nowotworowymi. Drugim przeciwciałem skutecznym w opornej i nawrotowej ALL jest inotuzumab ozogamycyny. To przeciwciało, które z jednej strony również wiąże się z komórką białaczkową, a z drugiej zawiera cytostatyk: kalicheamycynę. Jej zadaniem jest zniszczyć komórki białaczkowe.

Inotuzumab może być zastosowany u pacjentów, u których nie można było podać pierwszego przeciwciała?



prof. Joanna Góra-Tybor
jest hematologiem.

JACEK ŚWIAT I WAKACYJNE CZESKIE UTOPENCE

Prowadzę jednoosobowe gospodarstwo domowe, a przy tym mam zupełnie nieuregulowany tryb życia – jeśli nie w Warszawie, to w terenie, mnóstwo różnych poselskich zobowiązań. Nie są to najlepsze warunki do uprawiania sztuki kulinarnej. Koncentruję się więc na potrawach, które albo robi się raz na kilka obiadów, albo można je przechowywać przez długi czas (np. marynowane lub mrożone). A ponieważ są wakacje, warto nadmienić, że lubię kosztować kuchni zagranicznej, wszak jest to jedna z radości podróżowania. Niektóre przepisy udaje się wykorzystać w domu. Takie inspiracje przywoziłem z Grecji, Hiszpanii i Czarnogóry, ale najwięcej mam ich z za południowej granicy – z Czech i ze Słowacji, gdzie bywam najczęściej.

Jest taka czeska potrawa, która się nazywa utopenec,

czyli topielec. Rzecz jest banalnie prosta – to marynowany serdelek. Znakomity dodatek do piwa, ale sprawdź się także przy mocniejszych trunkach na stole. Dzisiaj w Czechach utopenec podaje się w bardziej eleganckiej formie, ale pamiętam czasy, kiedy były żelaznym punktem każdej piwiarni. Na kontuarze stał wielki słoć wypełniony mętnym płynem, w którym pływały serdelki. Pierwszy raz próbowałem ich z duszą na ramieniu, zastanawiając się, coż to za dziwactwo.

Czesi robią utopence ze specjalnych serdelków, których u nas się nie kupi, ale nadadzą się też zwykłe serdelki.

Składniki:

- 1 kg serdelków
- 3 cebule
- 1 czerwona papryka
- 2–3 ogórki konserwowe
- 0,25 l octu 10-procentowego
- 1 l wody
- przyprawy: sól, pieprz, cukier, ziele angielskie, liść laurowy, czosnek

Przygotowanie:

Wodę, ocet i przyprawy (ja rezygnuję z czosnku, za którym nie przepadam) łączymy ze sobą i zagotowujemy. Odstawiamy do wystygnięcia. W słoiku układamy warstwami serdelki, cebulę (pokrojoną w krążki) oraz paprykę (pokrojoną w paski) i zalewamy przygotowaną wcześniej zalewą. Zakręcamy szczelnie i odstawiamy. Po kilku dniach utopence są gotowe do spożycia. Mają tę zaletę, że mogą być przechowywane miesiącami. ©©

oprac. raw

Jacek Świat jest posłem PiS.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wsi spokojna i wesoła

Czasem traumatyczna sytuacja owocuje nieoczekiwanymi pozytywnymi skutkami. Tak stało się w tym roku z pandemią i jej wpływem na sposób spędzania wakacji. Nie wyjechaliśmy za granicę, zostaliśmy w kraju, gdzie trzeba było gwałtownie upchnąć wszystkich miejscowych turystów.

Ci zaś postawieni zostali przed trudnym wyborem: pojechać nad morze (gdyby wszyscy zechcieli tam się znaleźć, na jednego obywatela przypadłoby 12 cm Wybrzeża), w góry (rachunek trudniejszy ze względu na nieregularną kubaturę obszaru, ale też nie za wiele) albo wybrać resztę naszego wcale nie tak małego kraju.

I oto okazało się, że miło można czas urlopu spędzić nie tylko w Jastarni i Zakopanem, ale w Świętokrzyskiem, w Wielkopolsce, na Mazowszu, Kielecczyźnie czy Dolnym Śląsku. Prywatne domki letniskowe położone gdziekolwiek, gdzie w pobliżu znajdował się skrawek lasu, strumyczek czy jeziorko, miały wielkie wzięcie. Na Facebooku selfiki na tle szmaragdowych wód Zanzibaru zostały zastąpione przez zdjęcia stolika pod swoją gruszą. Kto nie żył w PRL, ten nie wie być może, czym były zachwalane przez władze wakacje na wsi. Ich celem był nie tyle wypoczynek mieszczański, ile zapoznanie go z ciężką pracą ludności wiejskiej. Akcja nosiła nazwę „Wczasy pod gruszą”.

Teraz oczekiwania się zwiększyły, standardy poszły w górę, obecność kogoś ciężko

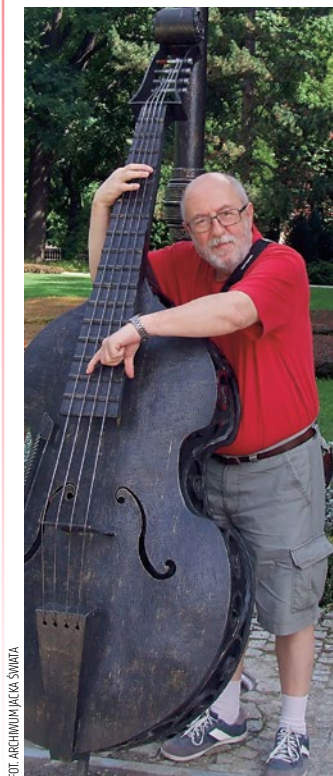


FOT. ADAM STOK

pracującego w najbliższym otoczeniu mogłaby mieszcuchowi zepsuć wakacyjny nastrój. Współczesnym odpowiednikiem wczasów pod gruszą stał się Slowhop. Jeśli państwo jeszcze nie wiedzą, to donoszę, że jest to obecnie bardzo modny adres w sieci, który oferuje „krótki wyjazd w klimatyczne miejsce, chwilowe oderwanie się od rzeczywistości, znalezienie i realizowanie pasji. Slowhop.com jest internetową platformą rezerwacyjną. Pomagamy dotrzeć do Gospodarzy klimatycznych noclegów i organizatorów kameralnych wypraw i przygód, dopytać o szczegóły i zarezerwować miejsce”.

Znajomi, którzy nawet za dopłatą nie pojechaliby do hotelu Gołębiewski, znajdowali swoje „klimatyczne” miejsca właśnie na Slowhopie. Stara obora, produkowane w domu kozie sery, zbieranie grzybów, domowe jedzenie. Cisza, jezioro, żadnej motoryzacji, żadnej mechanicznej rozrywki, żadnej budy z pamiętkami, dyskoteki. Na obiad kasza gryczana, jajka od kury spacerującej po podwórku oraz ogórkowa z ogórków z własnego warzywnika.

Przesadnie tanio nie jest, ale za to jak wytwornie i do tego patriotycznie. Dobrze, bo polskie. Nawet jeśli z obory trochę podśmierduje. ©©



FOT. ARCHIWUM JACEKA ŚWIATA



czwartek
piątek
sobota
od **7:35**
do **9:40**

Polska na dzień dobry
Wakacje

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 885dc2a0e1



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Drewniane zamki kresowe

Drewniane zamki to jedno z najbardziej niesamowitych zabytków I Rzeczypospolitej, których... nie zobaczymy, bo nie przetrwały. Co gorsza, nawet nie mamy świadomości ich istnienia tuż obok dzisiejszych miast i miejscowości południowo-wschodniej Polski. Dworów, zwłaszcza tych z XIX i XX w., chociaż zrujnowanych, pozostawionych na powolną śmierć przez komunę, zachowało się dość, aby zdobyły polski krajobraz. Zamki drewniane przepadły z przyczyn naturalnych; spróchniały i rozpadły się, zanim nasi przodkowie zaczęli dostrzegać w nich arcydzieła sztuki ciesielskiej.

Zamek tego typu był czymś innym niż dwór szlachecki. W dokumentach, jak podaje Władysław Łoziński, określane jako „fortalitium”, a jeśli w jego obrębie znajdowały się obiekty murowane, z przydatkiem: „muratum”. Był to po prostu zameczek, tyle że zbudowany z drewna. Zaopatrzony w wielki dom (czasem na jego miejscu stawiano duży dwór), studnię, kaplicę lub kościół, schronienie dla służby, stajnię, a przede wszystkim – otoczony wałem lub potężnym ostrokołem, najczęściej zaś parkanem. Słowo jest mylące – dziś rozumiemy pod nim ogrodzenie, w XVII w. był to mur z drewnianych kłoców, ułożonych poziomo i łączonych na wpust w szczelinach wyciosanych w pionowych, wkopanych w ziemię balach. Na wschodzie wznoszono te mury z horodni – czyli po prostu skrzyniowych konstrukcji z łączonych na zrąb kłoców. Czasem były puste w środku, innym razem napełnione ziemią lub kamieniami. Fortalicjum zawsze zaopatrzone było w baszty i czatownie, często też oblane wodami fosi utrudniając dostęp.

Zameczek taki, o ile wierzyć rekonstrukcjom Kazimierza i Ta-



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

deusza Mokłowskich, był zwykle arcydziełem sztuki drewnianej, bo budowali go wszak ci sami cieśle, którzy wznosili istniejące do dziś cerkwie i kościoły Małopolski, Podkarpacia, Podlasia i Lubelszczyzny. Jak podaje Łoziński: „Zameczków małych było bez liku; w ziemi halickiej najwięcej. Spotykamy je w miejscowościach, w których nikt dotąd nie przypuszczał ich istnienia, bo ślad ich zaginął w tradycji, a zachował się już tylko w aktach”. Na ziemiach dzisiejszej południowo-wschodniej Polski autor wymienia przynajmniej 49 drewnianych zamków. Wzniesiono je m.in. w Bereźnicy, Bolestraszcach pod Przemyślem, Krzywcu, Dołhohuczach, Komarnie, Nowosiólkach, Nozdrzcu, Oleszycach, Sośnicy, Śliwnicy, Tyrawie, Tarnawie, Trzciancu, Wojtkowej, Zboiskach i innych miejscowościach, w których po owych drewnianych konstrukcjach nie pozostał nawet ślad. Zameczki opisane powyżej były zwykle dobrze uzbrojone, strzeżone przez hajduków i czeladź. Dawały dobre schronienie w razie najazdu Tatarów, kozackiej lub chłopskiej ruchawki, napadu tołhajów i beskidników, obronę przed zajazdem sąsiada, a także przed wizytą własnych, skonfederowanych chorągwi koronnych i innych swawolnych kompanii. Nie mogły jednak długo bronić się

przed dużymi oddziałami wojskowymi wyposażonymi w artylerię. W Bobulińcach, na dzisiejszej Ukrainie, zajętych i zdobytych w 1630 r. przez Ludwika Wdzygę, znajdowały się 24 hakownice

(ciężkie strzelby z hakami służącymi do zaczepiania ich o mury), było też 12 śmigownic (lekkich działek), 50 kobył niemieckich (wczesnych muszkietów), 35 polskich, 20 wileńskich,

6 toruńskich muszkietów, 8 janczarek, 22 guldynki, a dodatkowo bandolety, strzelby na ptactwo i zapas prochu. W Orsku, zameczku Bolestraszczyckich, znajdowały się na składzie: 2 działa żelazne, 2 moździerze, 7 hakownic na wózkach, 15 śmigownic spiskich, 40 kobył, dużo mniejszej strzelby, ponadto 20 kamieni prochu, 4 cetnary ołowiu do odlewania kul, 2 tys. gotowych ładunków.

Jak długo można było opierać się w takim drewnianym zameczku sąsiadom, staroście lub Tatarom? Barbara z Czuryłów Stadnicka w 1658 r. napadnięta pod nieobecność męża w Bylicach przez Jana Potockiego wytrzymała trzydniowe szturm.

Do dzisiejszego dnia nie zachował się niestety żaden, absolutnie żaden drewniany zameczek. Niestety, jego klimatu nie pokazują wcale dzisiejsze rekonstrukcje słowiańskich grodów i gródków. Prędzej znajdziemy go w starych zespołach kościelnych, np. w kościele św. Joachima w Skawinkach z 1733 r., kościele Wniebowzięcia w Haczowie czy XVII-wiecznym kościele pw. św. Mikołaja z Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. ©©



I RZECZYPOSPOLITA

Babulince

RYS. PEGAZ



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Bzycząca obsesja

Jest taki rysunek Marka Raczkowskiego, na którym ojciec z synem przychodzi do sklepu i proszą o środek na komary. Obaj są straszliwie pokąsani. I ojciec mówi: „Chodzi nam o taki środek, który nie tylko zabija komary. Chcemy, aby przed śmiercią cierpieły”.

No więc ojciec z tego rysunku to ja. Zresztą syn też pasuje. Obu nas komary lubią. Szczególnie frustrujące jest to, że jednocześnie zupełnie ignorują moją żonę. Każde gryzące robactwo ciągnie do mnie niczym artyści do państwowych dotacji. Jeśli w promieniu wielu kilometrów znajduje się chociaż jeden komar, to przyleci do mnie i mnie ukłuje. Omijając jednocześnie mą małżonkę i jej odkryte ramiona.

Nic dziwnego, że wywołało to u mnie rodzaj obsesji. Po trafie w pokojach hotelowych spędzać noce na uganianiu się z ręcznikiem za bzyczącym wrogiem. W tropiki jadę obławowany rozmaitym sprzętem odstraszającym lub mordującym komary. Na miejscu szukam zresztą miejscowych sposobów radzenia sobie z samicą widliszka. W sklepach szukam komarobójczych gadżetów. Normalni ludzie testują wina, a ja repelenty.

Ostatnio podjąłem działania na większą skalę. W czasach, kiedy w mediach dobrze płacili, nabyliśmy działkę nad Świdrem. Po jednej z deszczowych wiosen zamówiłem firmę odkomarzającą, ale ostatnimi czasy stwierdziłem, że to zbyt osobista sprawa. I sam się do tego zabrałem. W tym roku

maj i czerwiec był wilgotny, więc cholerstwa się namnożyło. Kupiłem zatem większy opryskiwacz ciśnieniowy (taki na pompkę), acz marzyły mi się urządzenia do wytwarzania zabójczej mgły. Albo chociaż opryskiwacz spalinyowy. Ponieważ jednak żona i tak uważa mnie za wariata, przestałem na skromniejszym ekwipunku.

Trawy nie koszę, rośliny przycinam rzadko, ale odkomarzanie przeprowadzam regularnie. Ostatnio w ciągu kilkudniowego pobytu wykonałem dwa solidne opryski, a wieczorami na tarasie i tak odpalałem spirale odstraszające. No i rzecz jasna używałem repelentów – innych na skórę, innych na odzież. Za takimi zasiekami mogłem się w końcu wyluzować i cieszyć otaczającą mnie naturą. I faktycznie – to nie tylko moja opinia – po moich zabiegach komary zniknęły. Natomiast zaktywizowały się ćmy, które napłynęły w ilościach wręcz biblijnych. Ćmy jednak zupełnie mi nie przeszkadzają. Lubię je.

Poczułem się tak pewnie, że w dniu wyjazdu uciąłem sobie poobiednią drzemkę na hamaku, bez podpalania odstraszających spiral. I to był błąd. Bezczelne bydlę ucięło mnie w czubek nosa. Jakby chciało pokazać, gdzie ma moje wysiłki.

Ja się jednak nie poddam. W tym roku będę już tylko kontynuował opryski, ale w przyszłym sięgnę po broń biologiczną i osiedlę we włościach jerzyki oraz nietopere. To będzie antykomarowa Linia Maginota. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wszystko jest OK!

To prawda banalna jak przepis na ruskie pierogi, ale warto dla higieny intelektualnej raz na jakiś czas wyjść z ideowej strefy komfortu, porozglądać się i sprawdzić, co słychać po drugiej stronie „barykady”. Ja w takich chwilach zabieram się do lektury mediów społecznościowych, np. Aborcyjnego Dream Teamu. Jak radzą sobie walczące o prawo do aborcji na życzenie aktywistki? Proszę zapiąć pasy.

„Chcemy Wam pokazać wg. nas wspaniałe zdjęcie, które jest częścią The Abortion Project. To zdjęcie pokazuje osobę siedzącą w wannie zaraz po skutecznej aborcji farmakologicznej” – czytamy pod fotografią opublikowaną na początku sierpnia. Jak się dowiadujemy, przedstawiona na nim kobieta ma na imię Heather Heather nie siedzi jednak po prostu w wannie. Ona trzyma w dłoniach zakrwawiony zarodek, przyglądając mu się z uwagą. Gdy kobieta w towarzystwie przyjaciółki dokonywała aborcji w hotelowej łazience, „mąż w tym czasie był w domu i opiekował się ich czwórka dzieci” – precyzuje Aborcyjny Dream Team. Aktywistki dodają również, że osoby, którym pomagają, mają bardzo odmienne doświadczenia aborcji farmakologicznej. Różnie podchodzą do krwawienia w trakcie poronienia i „wydalenia zarodka”, „Niekłóre z Was nie chcą wiedzieć ani widzieć, inne z kolei dopóki nie zobaczą, to stresują się, czy na pewno się udało. Są też takie osoby, które po prostu podchodzą

do tego z ciekawością i chcą obejrzeć każdy skrzep, każdą kroplę krwi i zarodek. I to jest ok!” – czytamy.

Generalnie wszystko, co jest związane z aborcją, zawsze i bezwarunkowo jest OK! Cały ten zabieg niewiele się bowiem różni od zażycia suplementów diety. „Czasem aborcja farmakologiczna odbywa się w pracy, podczas zajęć szkolnych, w trakcie odbierania dziecka z przedszkola czy szkoły, czy gotowania obiadu” – dowiadujemy się ze strony grupy. Ot, między kotлетem z ciecierzycy a humusem, po prostu „wydała się zarodek”. A później można sobie na niego popatrzeć, nie pomijając żadnego skrzepu. W pewnym momencie ten pluszowy świat, w którym wszystko jest indywidualne, akceptowane, normalne, OK i tak dalej, zaczyna się rozjeżdżać. „[...] ważne, żeby w miarę możliwości zadbać o własną wygodę – czyli mieć dostęp do środków przeciwbólowych, łazienki. Dobrze jest też mieć koc w razie dreszczy, termofor albo butelkę z ciepłą wodą. Idealnie jest mieć wsparcie, jeśli tego potrzebuje – koleżanki, przyjaciółki, kogoś bliskiego” – doprecyzowuje pod zdjęciem z Heather Aborcyjny Dream Team. Jak połączyć silny ból, dreszcze, leżenie na kocu i okładanie się termoforem z gotowaniem obiadu – nie wiem. W ostatnim zdaniu wszystko wraca jednak do normy. „A Ty gdzie zrobiłaś swoją aborcję?” – pytają aktywistki. Szkoda, że nie dodały: „Wrzućcie zdjęcie!”. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Piłkarskie cnoty

Przypatrujemy się przygodzie piłkarskiej Roberta Lewandowskiego. Kibicujemy jego pogoni za dwoma półbogami futbolu: Messim i Ronaldo. Warszawiak z Bayernu Monachium jest dziś chyba najbardziej rozpoznawalną wizytówką Polski. Na pewno sympatyczny zawodnik Polski się nie wstydi, inaczej niż tytuł przemądrzałych celebrytów. Przeciwnie, dumnie ją reprezentuje.

Etos patriotycznej reprezentacji nie jest w polskiej piłce przypadkowy. Kiedy mijamy kolejne sierpniowe rocznice walki o niepodległość, warto o tym przypomnieć. Na przykład nazwa warszawskiej Legii (w drugiej reprezentacji tego klubu strzelał Lewandowski pierwsze gole) zrodziła się spontanicznie wśród najodważniejszych ochotników polskiej wolności. Stało się to w roku 1916 w Kostiuchnowce

i wzięcia udziału w jeszcze ważniejszej – na polu bitwy o Polskę.

Przygotowując na zaproszenie kronikarza futbolu, Andrzeja Górzewskiego, wstęp do jego monumentalnej encyklopedii rozgrywek o mistrzostwo kraju, uświadomiłem sobie, jak bardzo piłka i niepodległość łączyły się u ich zarania. Te rozgrywki także zbliżają się do swego jubileuszu. W roku 1920 ich nie rozstrzygnięto, bo piłkarze poszli na front, by bronić Polski przed najazdem. Dopiero w roku następnym, po pokoju ryskim i trzecim powstaniu śląskim, można było wyłonić pierwszego mistrza: Cracovię. W tej drużynie nie było mniej patriotów niż w Legii. Z klubem z południowej strony krakowskich Błoń było związanych aż 17 (na 144 w ogóle) członków Pierwszej Kompanii Kadrowej, która ruszyła 6 sierpnia 1914 r. z Oleandrów, by walczyć o Niepodległą. Same Oleandry, miejsce koncentracji ochotników niepodległości, były z kolei miejscem pierwszego stadionu Wisły. I z tego klubu także wyszło wielu dzielnych obrońców ojczyzny. Choćby najśłynniejsi: Henryk Reyman. Bronił Przemyśla i Lwowa przed Ukraińcami, granicy z Czechosłowacją na Spiszu i Orawie, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, w pierwszym i trzecim powstaniu śląskim. Kiedy mógł, wracał do gry na boisku, by wreszcie zdobyć, w 1927 r., upragnione mistrzostwo ze swoją Wisłą. Wcześniej udało się ta sztuka Wacławowi Kucharowi i jego Pogoni Lwów. Bronił razem z braćmi, tak jak on związany z Pogonią – Tadeuszem, Władysławem, Mieczysławem – ich rodzinnego miasta w 1918 r., brali potem wszyscy udział w wojnie polsko-bolszewickiej. I wygrali ją, dla Lwowa, dla Pogoni, dla Polski.

Z kolei z założonej na przekór Niemcom w roku 1912 Warty Poznań, także odznaczającej się w pierwszych rozgrywkach o mi-

strzostwo Polski, niemal wszyscy piłkarze brali najpierw udział w powstaniu wielkopolskim. I też je wygrali. Tak można wymieniać i przypominać bez końca w klubach niemal z każdego miasta i miasteczka odradzającej się Polski. To bowiem przykłady typowe w pierwszych pokoleniach polskich piłkarzy.

Wyjątkowy jest może ten jeden, wart przywołania, by uświadomić nam, jak zdumiewające sytuacje zdarzały się na tym wschodnioeuropejskim „polu karnym”. Oto Paweł Mironowicz-Akimow, urodzony w Moskwie, stuprocentowy Rosjanin. Powołany do Armii Czerwonej, szedł z frontem zachodnim Tuchaczewskiego w 1920 r. z zamiarem przejścia „przez trupa białej Polski” na Berlin. Jednak tak jak cały front został zatrzymany pod Warszawą. Dostał się do niewoli polskiej w bitwie pod Radzyminem. Podobnie jak tysiące innych czerwonoarmistów znalazł się w obozie internowania (grał wtedy w drużynie Internowni Toruń). Nie chciał wrócić do ojczyzny opanowanej przez komunistyczny terror. Wybrał Polskę i Legię, bodaj jako pierwszy grający w naszej lidze obcokrajowiec. Znakomity bramkarz otrzymał obywatelstwo RP. Jako obywatel stanął do szeregu w Wojsku Polskim we wrześniu 1939 r. Nie złożył broni. Bił się dalej o Polskę, jako żołnierz Brygady gen. Maczka we Francji w 1940 r. I znowu, od 1944 r., z dywizją Maczka – od Falaise do Bredy. Kapral Akimow miał zdobywać dla Lenina Warszawę, stał przez kilkanaście lat na bramce warszawskiej Legii, by zdobyć w końcu najwyższy polski order wojenny – Order Virtuti Militari – za walkę o Polskę, „za wolność naszą i waszą”...

Cnoty wojennej piłka dziś nie wymaga. Jednak pamięć o bohaterach boisk i pól bitewnych może dobrze służyć także skromniejszej, ale jakże potrzebnej cnotce patriotyzmu czasu pokoju. ©



A u nas jak za dawnych czasów,
nie, tylko bolszewicy, przełknęli
mięszewnikom
i na odwrot!

na Wołniu, trzy miesiące przed największym bojem, jaki stoczyły w tym miejscu trzy brygady Legionów... Tam grali sami legioniści (ci od Piłsudskiego i ci od Hallera) i stąd wzięła się nazwa klubu.

Powstała nieco wcześniej warszawska Polonia swą manifestacyjną nazwę wybrała przecież także na przekór rosyjskim zaborcom. Było wtedy oczywiste, że piłkarz to patriota. Gotowy do walki nie tylko na boisku o punkty dla swojej drużyny, lecz także do przerwania tej walki

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



NOWOŚĆ!



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

RYSZARD WOLAŃSKI
„EUGENIUSZ BODO.
JUŻ TAKI JESTEM
ZIMNY DRAŃ”

~~628~~ zł



240,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
388 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Tanku**JEMY** **HOT DOGI** za 1 grosz!

Kupujesz min. 25 l paliwa
oraz kawę i dosta**JESZ**
HOT DOGA za 1 grosz!
Twoje dzieci też!



Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi
(1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.

grasa.pl/85dc2a0e1

 **LOTOS**